

Margit Sandemo

MORZE MIŁOŚCI

Saga o Królestwie Światła 20

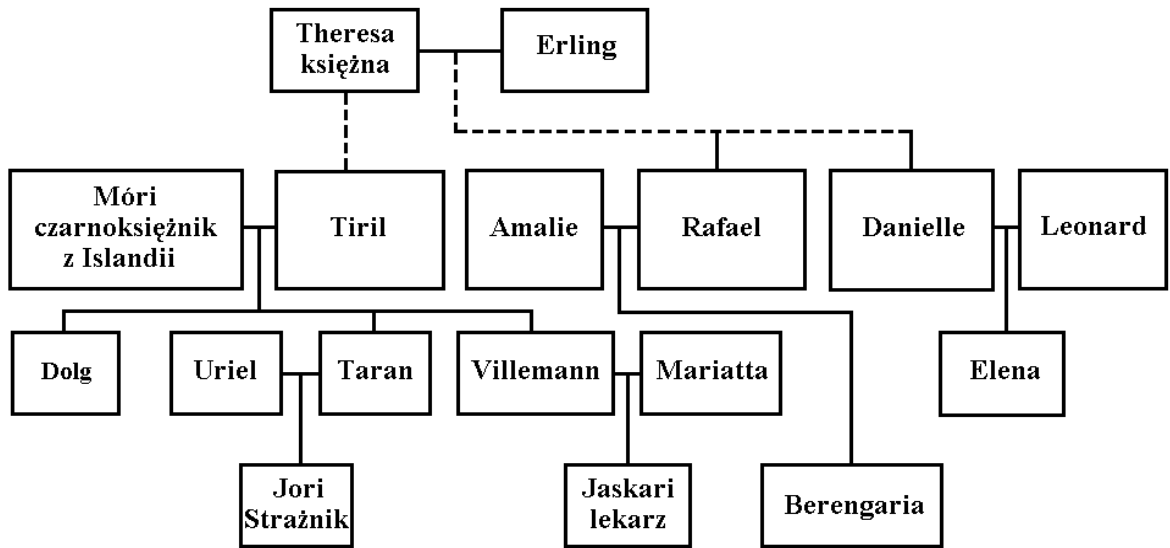
Z norweskiego przełożyła

IWONA ZIMNICKA

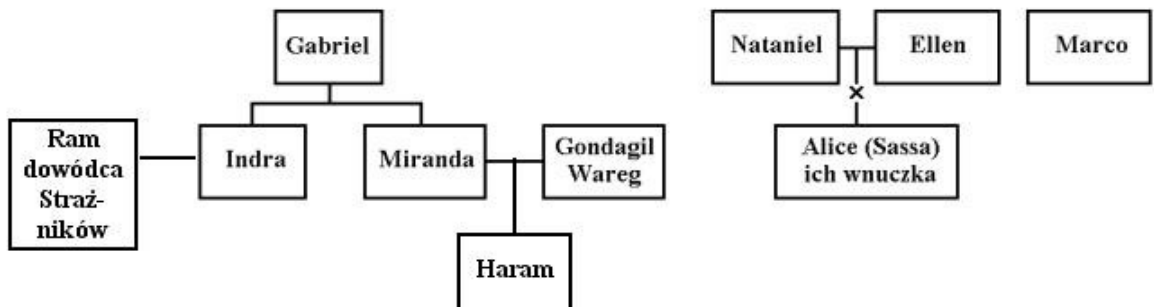
POL - NORDICA

Otwock

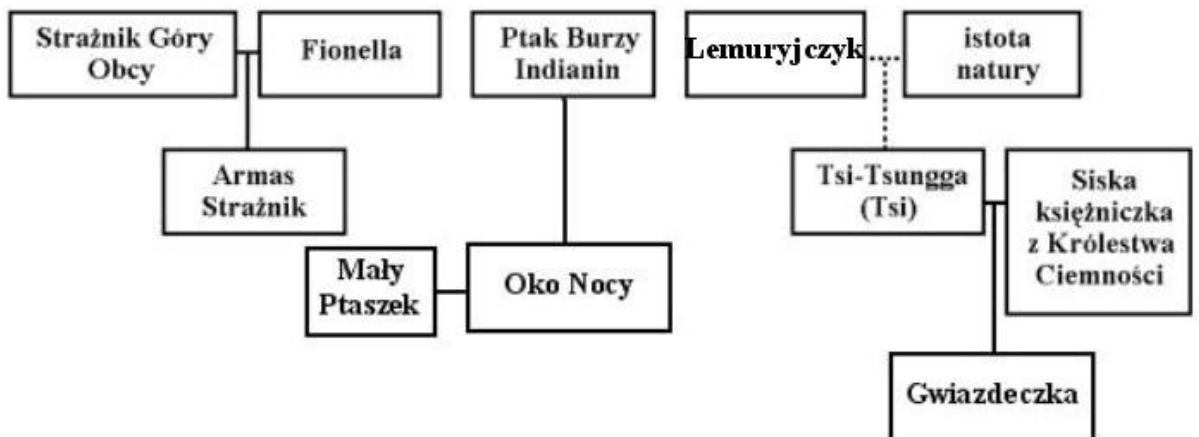
RODZINA CZARNOKSIĘŻNIKA



LUDZIE LODU



INNI



Poszukiwacze Przygód, przebywający na powierzchni Ziemi:

Faron, Obcy

Marco z rodu Ludzi Lodu, księżę Czarnych Sal

Sol z rodu Ludzi Lodu, będąca jednocześnie człowiekiem i duchem. Obiecała, że nie będzie już działać jako czarownica, przyrzeczenie to zamierza jednak teraz złamać.

Kiro, Strażnik, mąż Sol

Armas, niezdecydowany pół - Obcy

Sardor, Strażnik

Nim, Strażnik

Ram, dowódca Strażników

Gia, dorosła Gwiazdeczka

Berengaria, z rodu czarnoksiężnika

Dolg, syn czarnoksiężnika, rozstał się z życiem i jest teraz elementarnym duchem

Algol, Strażnik

Zinnabar, Strażnik. Wszyscy Strażnicy są Lemuryjczykami.

Wnętrze Ziemi
(jedna połowa)



STRESZCZENIE

Sytuacja tych Poszukiwaczy Przygód, którzy przebywają w świecie na powierzchni Ziemi, stała się krytyczna.

Móri i Berengaria wciąż nie zostali odnalezieni. Jedynie Dolg, elementarny duch, wie, gdzie się znajdują; zabrał ze sobą Marca i dorosłą Gwiazdeczkę, nazywaną teraz Gią, by próbować ich uratować.

Ram i Indra kierują się nad leśne jezioro w Czechach, dawnej Bohemii, gdzie

przebywają przyjaciele. Gondolę Rama śledzi jednak wrogi samolot, Maszyna Śmierci, a on i Indra o tym nie wiedzą.

Realizację planu Królestwa Światła rozpylenia na powierzchni Ziemi eliksiru, usuwającego nienawiść i wrogość z ludzkich serc, utrudniają Talornin i Lenore, przybyli z Bliźniaczej Planety. Grożą wypuszczeniem śmiertelnośnego wirusa, przetrzymują zaginionych, a ich Maszynę Śmierci pilotują żądni krwi mężczyźni. Talornin został zwabiony do mistycznej twierdzy przez znającą się na czarach czeską królową Libuszę, która żyła w VI wieku. Libusza poprosiła Faroną o zajęcie się jej potomkinią Lisą, będącą jej wcieleniem. Lisa jest narkomanką i Armas, któremu wyznaczono zadanie pilnowania dziewczyny, nie może jej znieść. Lenore znajduje się teraz poza twierdzą. Sol z Ludzi Lodu, współpracująca z Libuszą, zamierza się nią „zająć”. Na swój sposób.

Kiro, Faron oraz Strażnicy Sardor i Nim kierują się na górski płaskowyż, na którym stoi twierdza.

Twierdza jest jedynie ułudą, magicznym wytworem czarodziejskiej mocy Libuszy, lecz o tym ani Talornin, ani Lenore nie wiedzą.

1

Kiro dotarł do krawędzi płaskowyżu i tam stanął, osłonięty kilkoma drzewami. Nie odwracając się, gestem podniesionej ręki zatrzymał tych, którzy nadchodzili za nim: Faroną, Sardora i Nima.

- Co, na miłość boską...? - szepnął Nim.

- Niech Sol robi swoje - mruknął Faron.

On widział Libuszę, był bowiem jej przyjacielem i zaufanym, pozostali jednak dostrzegali tylko Sol i Lenore, stojące przed niezwykle prastarą twierdzą, którą można by niemal nazwać zamczyskiem. Dwie znające sztukę czarowania kobiety miały wokół siebie dostatecznie dużo wolnej przestrzeni, i było to najwyraźniej bardzo potrzebne, bo Sol na serio przystąpiła do walki.

- Za to, że podłożyłaś ogień w domu Rama i Indry! - zawołała do Lenore.

Z jej podniesionej ręki wystrzeliły iskry, które węzowym ruchem pomknęły ku

ofierze. Lenore podskoczyła wysoko, chcąc uniknąć syczących drobinek ognia, ze świstem mknących ponad ziemią.

- Skacz, babciu! - zawołała Sol roześmiana.

- Nie jestem żadną babcią! - wrzasnęła Lenore.

- Och, to tylko odrobina czarnego humoru, moja droga! Nie pamiętasz tej historyjki o dzieciach, które prowadziły swoją ślepą babcię po ulicy i miały ją uprzedzać słowami „skacz, babciu” przed krawężnikami albo jakąś inną nierównością na drodze? One jednak mówiły tak przez cały czas, nawet wtedy gdy nie było żadnych przeszkód.

- Nie opowiadaj mi niemądrych historyjek i skończ z tą dziecinadą! Myślisz, że nie wiem, że to wszystko jest tylko iluzją?

- Oczywiście, dokładnie tak samo, jak było z babcią. Ale, wobec tego, dlaczego tak podskakujesz?

Lenore uświadomiła sobie, jak głupio się zachowała, i próbowała uciec, ale Sol błyskawicznie posłużyła się inną czarodziejską sztuczką i kamieniste podłoże, oddzielające uciekinierkę od lasu, natychmiast rozżarzyło się jak płynna lawa.

- Za to, że włamałaś się do mojego domu i ośmieliłaś się mnie zaatakować!

- Nie oszukasz mnie! - zawołała Lenore i wbiegła na rozpaloną do czerwoności, bulgoczącą lawę.

Zaraz też zaczęła głośno krzyczeć z bólu i gwałtownie podskakiwać raz na jednej, raz na drugiej nodze, starając się lądować na palcach. Z gorącą podeszwą oderwały jej się od butów, przerażona wróciła więc na swoje dawne miejsce. Sol pozwoliła lawie zniknąć, lecz Lenore nie podejmowała już ryzyka kolejnej próby ucieczki.

- Skąd bierzesz odwagę na to, żeby być jej mężem? - szepnął Sardor do Kira.

- Sol jest wspaniałą żoną i słynie z wierności w stosunku do przyjaciół.

Powszechnie wiadomo, że jest gotowa uczynić dla nich wszystko.

- Zechciej jej więc powiedzieć, że i ja jestem przyjacielem!

- Ona o tym dobrze wie.

Sardor poczuł się spokojniejszy. Sol tymczasem spróbowała innych sztuczek. Teraz spomiędzy szczelin w kamiennych blokach na ziemi wypełzły całe gromady skorków.

- Za to, że zapaskudziłaś nam ściany obrzydliwymi słowami! - mruknęła.

Ach, jakże Lenore krzyczała! Jej przerażone wrzaski dotarły chyba aż do Pragi. Strącała i uderzała insekty pełzające po jej nogach, błagając Sol, by przestała.

- W porządku - oświadczyła czarownica. - Jeśli obiecasz, że oddasz ampułkę z wirusem Laurentiusa.

- Przecież ja jej nie mam! - zawołała Lenore. - Zabierz je ode mnie, one wpełzają mi do uszu, są wszędzie!

- To przyjemne, prawda? Gdzie wobec tego znajduje się ampułka?

- Ja tego nie wiem, przecież mówię!

- A gdzie są Móri i Berengaria?

- W tym samym miejscu! - zawyła Lenore.

- W tym miejscu, którego nie znasz? O, nie, stać cię na więcej!

Kolejny rój wstrętnych stworzeń z wyraźnie zaznaczonymi szczypcami na odwłoku zaczął wić się wokół pięknej złej kobiety.

- Sol! - ostrzegawczo krzyknął Faron. Obcy zorientował się bowiem, że Lenore jest w szoku i wkrótce może nastąpić u niej całkowite załamanie.

- Dobrze, Faronie - zgodziła się Sol i obrzydliwe robactwo od razu zniknęło.

Lenore, usłyszawszy imię Faron, odwróciła się zaraz w jego stronę. Pomimo hysterii, w jaką wpadła, zdążyła jeszcze zauważyć, że Faron jest nadzwyczaj przystojnym mężczyzną o, łagodnie mówiąc, niezwykle egzotycznym wyglądem.

Oto łakomy kąsek do zdobycia! Nieodparty urok Lenore bez wątpienia skutecznie zadziała.

- Pomóż mi! - poprosiła najbardziej kokieteryjnym tonem i spróbowała podbiec w kierunku mężczyzny, rękami wciąż odganiając ewentualne zapomniane owady. -

Przecież ta kobieta oszalała!

Daleko jednak zająć nie zdążyła. Lenore nie uczestniczyła w wyprawie w Góry

Czarne, Sol natomiast tam była i, niewiele się namyślając, wyczarowała potworne czarne ptaki, które z wysoka znurkowały teraz ku Lenore, chwytając ją za ramiona. Inne, trzepocząc skrzydłami, zagroziły jej drogę ku mężczyznom.

- Za to, że włamałaś się do domu Gorama i Lilji, ty złodziejko! - zawołała Sol.

Lenore poczuła, jak ostre szpony szarpia cienką, delikatną skórę na ramionach, z której była taka dumna. Z bólu na moment przejaśniło jej się w głowie.,

- Dobrze, dobrze, zaprowadzę was do Móriego i Berengarii! - krzyknęła, nie mając wcale takiego zamiaru.

Jeśli tylko będzie miała okazję przyłączyć się do nich... Na pewno zdoła uczynić z potężnego Farona swego sprzymierzeńca, to bez wątpienia nie będzie trudne, a wtedy Talornin wraz ze swoimi planami może sobie uciekać tam, gdzie pieprz rośnie.

Wizje ustały. Czarne ptaszyska zniknęły.

- Wspaniały pokaz! - Libusza ściszone głosem pochwaliła Sol.

- Moc wciąż jest we mnie - odparła z dumą czarownica z rodu Ludzi Lodu. - A w gniewie staje się po dwakroć silniejsza.

- Oczywiście - przyznała Libusza.

Ona sama miała pewne problemy z wykorzystaniem swojej magicznej mocy, która działała niejako w przeciwnych kierunkach: twierdza miała pozostawać widoczna, gondola Kira zaś - niewidoczna. To wymagało od Libuszy nie lada wysiłku.

Lenore chwiała się na nogach, była bowiem kompletnie wycieńczona. Ze zdumieniem patrzyła na swoje poparzenia, znikwały tak samo jak skaleczenia na barkach. Buty leżały nieco dalej na płaskowyżu, one również wyglądały na całe. Ustał też wszelki ból.

Przekleństwo, pomyślała Lenore. Dałam się zwieść tej wiedźmie.

Gdy sobie to uświadomiła, jej przewrotna inteligencja znów zaczęła pracować i Lenore uczyniła to, o czym już dawno powinna była pomyśleć: wyciągnęła pistolet ze śmiertelnie niebezpiecznymi gazowymi nabojami i wycelowała go w Sol.

Ale Kiro okazał się szybszy. Przez cały czas trzymał w pogotowiu swą

obezwładniającą broń, bo nawet przez sekundę nie zaufała Lenore.

Strzał trafił ją w ramię. Ręka z pistoletem opadła, a broń potoczyła się na ziemię.

Nabój nie zdążył opuścić magazynka.

Podnieśli nieprzytomną Lenore z ziemi, nie mogli jej przecież tak zostawić.

- No, a Talornin? - spytał Kiro, oglądając niebezpieczny gazowy pistolet; w końcu zdecydował się zagrzebać go pod kamieniem. - Gdzie on jest?

- W twierdzy - odparła Sol, która już do nich zeszła. - Nim nie musimy się przejmować, tę sprawę przejmie Libusza.

Sol nie była w pełni usatysfakcjonowana. Choć wreszcie znów mogła zająć się magią, co sprawiło jej prawdziwą przyjemność, wciąż przecież nie policzyła się z Lenore...

Akurat teraz jednak nie było na to czasu. Lenore leżała nieprzytomna, a poza tym Libusza ściągnęła na siebie uwagę wszystkich, również Sol. Potężna czarodziejka, królowa z minionych czasów, pozwoliła, by gondola Kira znów ukazała się ich oczom.

Sol i Faron ciepło pożegnali się z Libuszą, obiecując, że nie pozostawią Lisy samej sobie, dopóki całkiem nie uwolni się od narkotyków i w głowie nie pojawią jej się szlachetniejsze myśli. Równie szlachetne jak Libuszy, wtedy gdy była królową Bohemii i uczyniła tak wiele dla swego kraju.

Kiro zabrał wszystkich na pokład swojej gondoli i sprowadził ją na dół do pozostałych pojazdów.

Gdy już wylądowali i skierowali się ku gondoli Armasa, przewieszona przez ramię Sardora Lenore na powrót się ocknęła. Postawiona na ziemi, uświadomiła sobie własne żalosne położenie i natychmiast zmieniła ton. Odgrywała teraz słabą i bezbronną, potrzebującą męskiego wsparcia. To Sol była łajdaczką, ona sama zaś osobą boleśnie pokrzywdzoną. Miała nadzieję, że mężczyźni to rozumieją. Drżąc uśmiechając się do Farona, zagadnęła:

- My się chyba jeszcze nie znamy? Jestem Lenore.

- Dobrze o tym wiem - odparł surowo Faron. - Wskaż nam teraz drogę do Móriego

i Berengarii.

Mógł chyba okazać jej większą przychylność?

- Ile twój partner Talornin wie o tym wszystkim? - pytał Faron równie ostrym głosem jak poprzednio. - Czy to on przechowuje wirusa? Lenore wcale nie obchodził los jej partnera, poczuła ochotę na innego mężczyznę, Talorninem mogła przecież zająć się później.

- Ja nie mam o niczym pojęcia - odparła beztrąsko, zaglądając Faronowi głęboko w oczy.

Sol znów ogarnął gniew. Chcąc zakończyć swe czary mocnym akcentem, mruknęła półgłosem:

- Za to, że chciałaś zwabić niewinną Lilję do lasu i skazać ją na zatracenie!

Po słowach więdźmy z. Ludzi Lodu ciało Lenore wydało z siebie bardzo nieprzyzwoity odgłos.

Lenore była tak wstrząśnięta, że aż dech jej zaparło ze wzburzenia. Próbowwała skoczyć swej przeciwniczce do oczu, lecz Kiro natychmiast stanął między nimi.

- Wystarczy już tego, Sol! - oświadczył stanowczo Faron, ale tak jak inni mężczyźni nie potrafił zachować całkowitej powagi. - Nie będziemy o tym pamiętać, Lenore. A teraz już ruszamy.

Weszli do gondoli. We wnętrzu pojazdu Lenore aż drgnęła. Do diaska, to ten dureń Armas, w dodatku na jej widok tak się skrzywił, jakby spróbował octu. A obok niego siedzi jakaś godna pożałowania dziewczynina. Taka blada, oczy ma podsinione i cała się trzęsie jak osika na wietrze. Po cóż oni ją ze sobą zabrali? No cóż, przynajmniej nie musi jej uważać za rywalkę.

Lenore przyjrzała się po kolei wszystkim mężczyznom w gondoli. Jak zwykle szukała spojrzeń wyrażających bezgraniczny podziw.

Kochajcie mnie, wielbicie, zasługuję na to!

No, oczy Armasa w każdym razie nic takiego nic' mówiły, ale przecież z nim już skończyła. Kiro sprawiał wrażenie, jakby świata nie widział poza tą idiotką, tą więdźmą Sol. Dwaj Strażnicy, jak oni się, do diabła, nazywają, zajęli się

maszynerią, a Faron...

Jakiż on przystojny!

Och, oczywiście nie słyszał tego, co się jej przydarzyło w lesie, niemożliwe, by tak było, bo przecież patrzył teraz prosto na nią.

Ale jakąż surowość miał w oczach!

- Zaprowadź nas wprost do Móriego i Berengarii, inaczej cię unicestwię!

Lenore pobladła. Doskonale wiedziała, że Faron jako Obcy jest w mocy to zrobić.

Czy on nie widzi, kogo ma przed sobą? Najpiękniejszą kobietę w całym Królestwie Światła, pożądaną przez wszystkich! Czy nie wiedział, ilu mężczyzn leżało u jej nóg, błagając o łaskawość? Czyż nie zdobyła sobie sławy najbardziej ognistej kochanki w całym wszechświecie? Czyż wszyscy mężczyźni nie pragnęli nosić jej na rękach, tak by jej pięknych stóp nie pobrudziła ziemia?

Kokieteryjny, dziecinnie bezbronny uśmiech Lenore nie zrobił wrażenia na

Faronie, akurat bowiem w tej chwili jeden ze Strażników zawołał:

- Ram nas wzywa!

2

Maszyna Śmierci, trzymając się w bezpiecznej odległości od gondoli Rama, czekała niewidoczna w ukryciu.

Pilotowali ją ludzie, którzy trafili do Królestwa Światła nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Ani trochę nie pasowali do tamtego wspaniałego świata, zachowywali się tak okropnie, że zesłano ich na Bliźniaczą Planetę, a oni poprzysięgli za to odwet. Dlatego też przyłączyli się do Talornina, gdy przygotowywał bunt i utworzył swą własną grupę.

Wybiła wreszcie godzina zemsty.

- Dlaczego tak zwlekamy? - wykrzyknął ze złością jeden z pilotów. - Bierzemy ich!

Tak ich kopniemy w tyłek, że się rozerwą na strzępy!

Już kładł rękę na wyrzutni pocisków.

- Nie! Wstrzymaj się! - syknął drugi, o włos inteligentniejszy od tamtego. - Talornin bardzo wyraźnie nam przykazał, żebyśmy pozwolili się doprowadzić do

właściwego miejsca. Potem będziemy mogli rozprawić się ze wszystkimi za jednym zamachem i zabierzemy wtedy jego i tę przeklętą Lenore. Wydaje się, że oni na dobre utknęli.

- No tak, ale przecież nie możemy ich znaleźć - zauważył jego towarzysz, niechętnie podporządkowując się poleceniu. Podjął też próbę nawiązania kontaktu z Talorninem. Bez rezultatu, linia wciąż była głucha.

- Żadne połączenie nie funkcjonuje - oświadczył z kwaśną miną, nic z tego nie rozumiejąc. - Uważaj, podlatujesz zbyt blisko!

Za późno. Ram i Indra już ich zauważyli.

- Co teraz zrobimy? - spytała Indra,omal nie łamiąc sobie karku podczas prób przyjrzenia się morderczemu samolotowi. - Zestrzelimy ich?

- Nie mamy takiej broni.

Wezwali przyjaciół z gondoli na ziemi. Od razu ich usłyszeli.

- Ściga nas ta śmiercionośna maszyna - meldował Ram. - Prawdopodobnie chcą, żebyśmy ujawnili im miejsce waszego pobytu. Nie schodzimy więc w dół, postaramy się ich zgubić.

Faron odpowiedział pytaniem:

- Gondolą? Drodzy przyjaciele, to się wam nie uda. Zresztą jest już na to za późno, widzę was... Waszych prześladowców także. Oni więc na pewno widzą i nas.

- Gondole muszą stać się niewidzialne - zawołał Armas przerażony. - Sol, pospiesz się!

Czarownica pokręciła głową.

- To specjalność Libuszy, a jej już tu nie ma, powróciła do własnego stulecia, spokojna, bo przekonana, że my zajmiemy się Lisą.

Armas prychnął ze złością, spoglądając na skuloną postać na siedzeniu tuż obok niego.

Nawet w tak rozpaczliwej sytuacji nie przestawał myśleć o sobie i własnych

problemach. Ani przez chwilę nie czuł się dobrze. Jakoś się nie składało, żeby wreszcie wyruszyć na ratunek pięknej Berengarii, a na dodatek pojawiła się jeszcze Lenore, chyba tylko po to, by znów wrócił smak upokorzenia.

- Nie możemy zwracać głowy Libuszy - stwierdziła Sol. - A próby naśladowania przez nas jej magicznych zaklęć oznaczałyby brak szacunku dla niej. My, czarownice, także mamy swój kodeks honorowy - zakończyła dumnie.

Z mieszaniną zdziwienia, ulgi i zatroskania patrzyli, jak gondola Rama skręca, odciągając tym samym Maszynę Śmierci od okolicy. Piloci najwyraźniej byli do tego stopnia zajęci ściganiem Rama i Indry, że nie zwrócili uwagi na wszystkie inne gondole, parkujące nad leśnym jeziorem.

- Oby Święte Słońce nie opuszczało Rama i Indry! - mruknął Faron.

- Oby - kiwnął głową Kiro. - Ale my nie możemy tu zostać.

- Masz rację. Opuścimy teraz to miejsce. Podzielimy się na gondole, a potem znów skontaktujemy się z Ramem i Indrą, i jeśli to będzie możliwe, również z Markiem. Musimy działać, trudno, najwyżej mu przeszkodzimy, jemu i Dolgowi. Najważniejsze, byśmy odnaleźli tę dwójkę zaginionych.

Twarz miał napiętą i pobladłą ze strachu.

Nastąpiła już noc, kiedy Talorninowi wróciła wreszcie przytomność.

Dookoła niego było tak pusto i cicho. Wiał lekki chłodny wiatr, a podłoże, na którym leżał, nagle okazało się nierówne i twarde.

Otworzył oczy.

Wokół panowała też ciemność. Gdzieś z bliska dochodził szum lasu. Z wolna wracała mu pamięć.

To musiał być zły sen, prawdziwy koszmar, pomyślał, cały drżąc.

- Lenore?

Nikt nie odpowiedział.

Jeszcze raz zawołał ją po imieniu, echo odbiło się od wysokich skalnych ścian.

Gdzie ja jestem? zastanawiał się. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam - ale to

oczywiście fragment tego koszmaru - to to, że krążyłem po jakiejś strasznej zaklętej twierdzy, wypilem zawartość amfory...

Wciąż czuł w ustach gorzki, zgniły smak stojącej bagiennej wody i skrzywił się z obrzydzeniem. Cmoknął językiem, by się go pozbyć.

A potem znalazłem olbrzymi skarb.

Nie, na razie to wszystko jest rzeczywistością, dopiero od tego momentu zaczął się koszmar.

Bo skarb rozpułynał mi się w palcach.

A potem... potem znalazłem lustro.

Na wspomnienie ohydnej postaci, która ukazała się w zwierciadle, ogarnęły go mdłości.

Dobrze, że to był tylko zły sen!

Postanowił, że musi z powrotem wejść do twierdzy i odnaleźć skarb. To przecież bezcenne bogactwa.

Talornin podniósł się w ciemności.

To straszne, jak trudno mu iść. No a twierdza? Gdzie ona jest?

Powinna być tutaj, bo właśnie tu wysoka skała rysowała się czernią na tle rozgwieżdżonego nieba.

Co się dzieje z jego nogami? Pochylił się, chcąc rozetrzeć kolana.

Jęknął przeciągle, zszokowany.

To wcale nie był żaden sen. W panice obmacywał dłońmi to, co kiedyś było jego ciałem. Znał historię tamtych dwojga, którzy napili się wody. Słyszał o pajęczycy, która miała wiele przypominających szpony odnóży. Przebywała wtedy w grocie z ziemi i kamieni i dlatego przeobraziła się w istotę podobną do skorpiona.

Słyszał też o wodnym potworze, którego skóra zmieniła się w rybią łuskę, płuca w skrzela, a twarz w rybi pysk. Stało się tak, ponieważ znalazł się w grocie częściowo wypełnionej wodą.

On natomiast, Talornin, znajdował się w twierdzy wybudowanej w epoce wędrówki ludów. Logiczne więc chyba, że taki właśnie, a nie inny obraz ujrzał w

zwierciadło? Rozmyślał tak, ogarnięty rozpaczą, obmacując przy tym własne ciało. Czuł sztywną skórzaną zbroję, pochodzącą z prastarych czasów, pamiętał, jak zapatrzył się we własne puste oczy, widział strzępki skóry zwisające spod resztek rzadkich włosów. Zobaczył w lustrze upiora jakiegoś starożytnego rycerza. Ohydny wizerunek, przerażający obraz. Oszalały ze strachu wzbraniał się przed dotknięciem własnej twarzy. Czuł ciężar skórzanej zbroi, utrudniającej mu chodzenie, poruszał się sztywno i ciężko. Wyczuwał kości ręki. Czy starczy mu odwagi, żeby dotknąć twarzy? W żadnym lustrze nie chciał się już więcej przeglądać, ale musiał przecież wiedzieć, co się z nim stało.

Palce zbliżyły się do twarzy, zadrżały.

Może najpierw powinien spróbować dotknąć włosów? Miał przecież kiedyś takie długie, piękne włosy, gęste i błyszczące.

Podniósł dłoń nad głowę. Gołą, to czuł. Nie miał pojęcia, jak wyglądali wojownicy z epoki wędrówki ludów, czy nosili jakieś kapelusze. On w każdym razie niczym jej nie nakrywał.

Ostrożnie przysunął dłoń jeszcze bliżej głowy, poczuł muśnięcie włosów. Całe szczęście, że przynajmniej one tam są! Przycisnął rękę.

Ach, nie!

Kosmyki. Tu i ówdzie jedynie rzadkie kosmyki, dokładnie tak, jak widział to w lustrze.

Nie miał teraz odwagi dotknąć swojej twarzy.

Oddychał ciężko, nie mając pojęcia, co ze sobą zrobić. Twierdza, po której błądził, zniknęła, okazała się jedynie uludą, wytworem wyobraźni.

Ale o to, o swoją przemianę, o swą tragedię nie mógł obwiniać tej wiedźmy.

Przecież sam z własnej nieprzymuszonej woli, z żądzy zysku, wypił zawartość amfory.

Uczył to, by zyskać bogactwa.

Bogactwa, które nie istniały.

Studnia pragnień w grocie zła okazała się prawdziwym diabelstwem.

Talornin wiedział, że Shira z Ludzi Lodu w czasie swej wędrówki po grotach w poszukiwaniu jasnej wody oparła się pokusie. Podobnie było z Indianinem, Okiem Nocy, i tym pięknym diabłem z grotty zła, który przyczynił się do tego, że amfora wpadła w ręce Talornina.

Wydał z siebie wrzask przerażenia i strachu, ale nikt go nie usłyszał.

Nagle obudziła się w nim nadzieja.

Czyż ten wodny potwór nie stał się na powrót zwykłym człowiekiem? Jak to z nim było?

Tego Talornin nie wiedział, dotarli do niego bowiem zaledwie urywki opowieści o niebezpiecznej wyprawie Dolga, Gorama i Lilji wzdłuż kręgu polarnego.

Wyobrażał sobie jednak, że tamten mężczyzna napił się cudownego eliksiru Madragów.

Talornin stał nieruchomo, zatopiony w przynoszących otuchę myślach. Gdzie są jego rzeczy? Ubrania? Wyposażenie, które zabrał ze sobą do twierdzy? Miał przecież przy sobie flaszeczkę z wywarem, oczywiście, że tak było.

Oddychał prędko. Musi to znaleźć...

No nie, ubranie przecież wciąż miał na sobie, pod tą przeklętą sztywną skórzaną zbroją, której nie był w stanie sam z siebie ściągnąć. Co to będzie, jeśli przyjdzie mu...

O, nie, żadnych niemądrych i prozaicznych myśli! Gdzie może być jego sprzęt? Dość dobrze widział po ciemku, przebywał przecież w ciemności już od jakiegoś czasu. Czy tam, na tamtym występie, coś nie leży? Coś, co wśród całego tego mroku jest jeszcze ciemniejsze?

O, tak, to jego rzeczy, całe szczęście! Jest też buteleczka z uzdrawiającymi kroplami Madragów.

Wyjął ją drżącymi dłońmi i wyrwał korek. Nareszcie znów będzie sobą!

W ostatniej chwili się powstrzymał.

Wielkie nieba, co też on chciał zrobić? Przecież razem z Lenore dodali do eliksiru ciecz, zawierającą śmiertelny wirus, żeby rozpylić go nad ziemią, jeśli okaże się to

konieczne, a przynajmniej żeby móc tym grozić.

A gdyby tak się tego napił?

Na myśl o tym, co mogło się stać, pod Talorninem ugięły się kolana i osunął się na kamienistą ziemię. Niestety, nie zdołał uklęknąć, przeszkodziła mu w tym zbroja, i runął jak długi, mocno się tłukąc.

Z rozbitym solidnie łokciem i guzem na głowie zdołał jakoś z powrotem stanąć na nogi. Musi coś zrobić, nie może dłużej zostać na tym pustkowiu.

To wszystko przez Sol! To jej wina, że tak długo błąkał się po tej strasznej twierdzy, to jej czary stworzyły zaklęte zamczysko.

Mylił się, twierdza była dziełem Libuszy, lecz jej Talornin nigdy nie miał okazji zobaczyć.

Musiał jakoś dotrzeć do swojej gondoli, to znaczy do wspaniałego pojazdu Marca.

Lenore na pewno już tam na niego czeka. Czy ona nie mogła mu jakoś pomóc?

No, jeszcze dostanie za swoje!

Musiał zejść na brzeg jeziora, bo tam właśnie stała gondola.

Zajęło mu to sporo czasu. Kiedy Talornin z mozołem schodził w dół w tej przeklętej zbroi, odkrywał pewne zmiany, które się dokonały w tym jego nowym ja. Zaczynał się dobrze czuć w nowej skórze. Zorientował się, że rycerz, w którego ciało wstąpił, był zły. Czy zresztą w szóstym wieku istniało już rycerstwo? Nie pamiętał, ale uznał, że będzie się nazywał rycerzem, to brzmi przecież imponująco.

Czuł, że w duszy żarzy mu się zło. Doskonale, będzie dzięki temu silniejszy w walce ze swymi współczesnymi wrogami.

Gdzie oni właściwie są? Razem z Lenore udało im się zabić jednego, jakiegoś Strażnika, lecz ilu wrogów mogło poza nim znajdować się tu, w pobliżu?

Dotarł już prawie na sam dół, lepiej się teraz skradać.

Dość prędko się zorientował, że nad jeziorem nie ma ani jednej gondoli.

Absolutnie żadnej. Nie było także Lenore ani innej żywej duszy.

Czyżby przeniósł się w czasy rycerza?

Nie, twierdza wszak zniknęła, za to na ziemi dostrzegał ślady stojących tu wcześniej pojazdów.

Z wolna zaczynał sobie zdawać sprawę ze swego położenia. Został zupełnie sam w nowej - czy też bardzo starej - postaci, na kompletnie nieznanym mu pustkowiu, bez jedzenia, bez niczego.

Ale on przecież był silny! Poza tym miał wirusa. Grożąc nim, mógł zdobyć władzę nad całym światem.

Prędzej czy później na pewno znajdzie Lenore, albo jeszcze lepiej - Maszynę Śmierci.

Ona stanie się jego ciałem. Za jej pomocą zawojuje cały świat.

Na niebie ukazał się księżyc. Księżyc w pełni. Świetnie, od razu wszystko lepiej widać.

Krocząc ciężko i sztywno, Talornin rozpoczął wędrówkę ku zamieszkanym traktom.

Tkwiące w nim zło, które jeszcze się zwielokrotniło, gdy wstąpił weń duch złego rycerza, a także za sprawą katastrofalnej wody ze studni pragnień, przydawało mu niezłomnej mocy, której tak bardzo potrzebował. A poza tym miał przecież swój śmiercionośny gazowy pistolet.

Talornin stał się po dwakroć niebezpieczną osobą.

Prawdziwą chodzącą maszyną śmierci.

3

Berengaria nie wiedziała, jak bliska jest śmierci. Straciła wszelkie poczucie czasu i przestrzeni. Mózg miała zamroczony z głodu, pragnienia, wycieńczenia i od bólu, przenikającego stopy i cały lewy bok, bo skulona nie mogła się ruszyć. Nie wiedziała już nawet, czy Móri jest przy niej, czy też została zupełnie sama.

Straciła zdolność dostrzegania czegokolwiek wokół siebie.

Jej myśli wędrowały własnymi ścieżkami, automatycznie, trochę tak jak sny. W głowie jej szumiało, nad niczym nie miała już kontroli.

Moje życie, co ja zrobiłam z moim życiem? dręczyło ją pytanie. Tak wiele

pragnęłam, tyle chciałam, a wszystko popadło w ruinę, wszystko...

Tyle miłości gotowa byłam dać, a nikt, absolutnie nikt nie chciał jej przyjąć.

Oko Nocy, bohater mego dzieciństwa i pierwszej młodości. Kiedy przyszło co do czego, wybrał inną.

Z tym ciosem naprawdę trudno było się pogodzić.

Ale właściwie tamta przyjaźń, tamto oddanie odegrało już swoją rolę do końca.

Czyż nie dojrzałam do prawdziwszego, silniejszego uczucia, aniżeli uwielbienie dla bohatera? Oko Nocy z upływem lat także się zmieniał, zarówno pod względem wyglądu, jak i usposobienia. Kiedy więc zostałam przez niego odrzucona, odezwała się we mnie raczej urażona duma.

Berengaria spróbowała przesunąć odrobinę jedną stopę w bok, by zmniejszyć choć trochę nacisk na nią, lecz to się nie udało. Jęknęła cicho, tracąc resztki otuchy, nie starczało już jej sił nawet na to, by się złościć.

Zawsze wierzyłam, że będziemy razem, na całą wieczność, ale to były tylko mrzonki młodej dziewczyny. Nigdy nie zdołałabym się podporządkować wszystkim tym plemiennym obyczajom Indian. Na to byłam zbyt samowolna. Niestety, doskonale o tym wiem, bo za dobrze znam samą siebie. Poza tym wszyscy mi to powtarzali.

Co ja zrobiłam ze swoim życiem?

To zresztą jest już bez znaczenia, bo nigdy nie wyjdę stąd żywa.

Wydawało mi się, że zakochałam się w Armasie, ale chciałam chyba tylko zrobić na złość całemu światu, pragnęłam po prostu uciec w inny romans.

Jakaż byłam niedojrzała!

Ale on nie musiał chyba odczuwać obrzydzenia na sam mój widok.

Prawdę powiedziawszy, Armas nigdy nie za bardzo umiał zachowywać się właściwie wobec innych. Ani trochę nie zna się na ludziach.

Mimo wszystko to bardzo boleło. Znów odzywała się urażona próżność.

Potem jednak pojawiła się prawdziwa miłość.

Berengaria aż jęknęła na samo wspomnienie.

Czy ja zawsze muszę tak źle wybierać? Czy zawsze muszę szukać skrajności?
Jak gdybym z góry wiedziała, że zdobycie serca akurat tego mężczyzny to prawdziwa utopia? Czy taki już los przypadł mi w udziale, by kochać to, co nieosiągalne?

Najpierw Indianin, obciążony niezmienną od stuleci tradycją. Potem pół - Obcy, rozpieszczony chłopak, którego ojciec ma wygórowane ambicje. No a teraz...? Teraz chodzi o prawdziwą miłość, mam tego pewność.

Ta miłość, ta tęsknota i marzenie, przepływa przeze mnie niczym fala rozpaczy, lecz jednocześnie to właśnie ona dodaje mi sił, tak po prostu jest. Właściwie dawno już powinnam nie żyć, bo mam uczucie, jakby wszelkie siły opuściły moje ciało.

Jedyne, co mi zostało, to gorące pragnienie, by jeszcze raz go zobaczyć.

Po prostu zobaczyć i poczuć miłość, która płonie w moich żyłach. Usłyszeć jego głos, poczuć przeszywający mnie dreszcz. Nic więcej.

Bo czyż on z dobitną wyrazistością nie okazał, jaki dystans nas dzieli? Czyż nie dal do zrozumienia, że gardzi roztrzepaną, rozchichotaną Berengarią?

Jestem już teraz dorosła, przestałam być dziecinną trzpiotką, spróbuj to zrozumieć!

Ale dla niego to nie ma już najmniejszego znaczenia.

Dlaczego on nie przychodzi?

Ile czasu upłynęło od chwili, gdy Móri powiedział, że słyszał Dolga? Przecież Dolg musi wiedzieć, gdzie nas szukać!

Czas płynie bez zegara, bez minut i godzin, w głowie wszystko mi się mąci, niczego już nie wiem.

Tak mnie wszystko boli, nie mogę się poruszyć, utknęłam. Nogi mam skute, ręce unieruchomione za plecami. Tak okropnie mi niewygodnie i tak strasznie chce mi się pić.

Nie mam już siły wołać.

I tak nikt nie przyjdzie.

Święte Słońce wyrządziło nam straszną krzywdę. To przez nie wciąż tutaj leżę, gdyby nie ono, dawno już bym umarła.

Dochodzi do mnie jakiś głos, ale nie słyszę, co mówi.

To Móri! A więc mimo wszystko tu jest, mruczy coś.

Marco? Czyżby mówił o Marcu i Dolgu?

Teraz zamilkł, nie usłyszałam, co o nich powiedział. Czy oni tu są?

Nie, nikt tu nie przychodził, odkąd zabrali Armasa.

Ale oni nas widzą, wiem o tym, chociaż nie mam siły otworzyć oczu. Pamiętam, że od czasu do czasu otwierał się ponad nami jakiś właz w dachu, czułam, że ktoś nas obserwuje.

Ale to było już dawno.

Dlaczego on nie przychodzi?

Straciłam wszystko, pozostało jedynie niespełnione pragnienie, by znów go zobaczyć. Ono mnie wypełnia po brzegi niczym morze miłości, niczym nadziejsko piękny przebłysk jutrzeńki z mgiełką unoszącą się nad łąkami, kroplami rosy w pajęczynach. Jest świeże, mocne i czyste, czyste jak morze, jak wschód słońca, jak...

Nie, zaczynam już bredzić. Moje myśli tracą jakikolwiek sens.

Czuję tylko owo gorące, niespełnione pragnienie.

Móri znów się odzywa.

Gia? Co to jest? A może kto? Dolg, Marco i Gia? On wyczuwa ich wołanie.

Wyczuwa? Chciał chyba powiedzieć, że słyszy?

Ale Móri to przecież czarnoksiężnik, pewnie chodzi więc o telepatyczne przekazywanie myśli.

Niewiele nam to pomoże.

Dlaczego on nie przybywa?

4

Indra miała Sol na łączach.

- Szkoda, że nie mogliśmy wylądować - powiedziała. - Marzyłam o tym, żeby

przynajmniej raz dać Lenore po gębie. Pochyl się, Ram, strzelają! Nie, nie trafili, najwidoczniej za długo zwlekali. Słyszałam, że ty natomiast serdecznie zajęłaś się tą panią. Opowiadaj!

Sol uczyniła to z radością.

Indra wybuchnęła śmiechem.

- Wspaniale, naprawdę wspaniale! Ram, gdzie oni się podzieli? Aha, są tam! To znaczy, że chcą spróbować przemieścić się teraz przed nas? Żałuję, że nie mam twoich zdolności, Sol!

Fakt, że Indra prowadziła rozmowę jednocześnie z dwiema osobami, w niczym Sol nie przeszkadzał, zaniepokoiła ją natomiast Maszyna Śmierci, krążąca wokół gondoli Rama niczym rozjuszona osa. Nie powiedziała jednak o tym głośno, nie chciała niepotrzebnie dolewać oliwy do ognia.

- Będziesz jeszcze miała okazję wymierzyć Lenore prawdziwie soczysty i jak najbardziej ziemski cios, Indro. Z podbitym okiem będzie jej bardzo do twarzy.

- Z największą przyjemnością!

- Jesteśmy już w powietrzu, cała armada gondoli. No, ale Faron chce teraz, żeby Ram podał mu waszą pozycję, musimy więc chyba zakończyć tę naszą sadystyczną orgię marzeń.

Rozmowa poprawiła Indrze humor. Przestała już postrzegać ich sytuację w zupełnie ciemnych barwach. Śmiercionośna maszyna nie atakowała, śledziła ich tylko albo raczej usiłowała naprowadzić gondolę Rama na inny tor lotu.

Indra nie wiedziała, że dwaj skorumpowani piloci, pozbawieni kontaktu z przełożonym, nie mieli pojęcia, co robić. Nie otrzymali żadnych wytycznych do dalszego działania poza tym, by śledzili gondolę, aż zaprowadzi ich nad leśne jezioro w Górach Kruszcowych.

Wyglądało jednak na to, że gondola zamierza opuścić te rejony. Znajdowali się teraz nad równinami Saksonii, Łaba rozlewała się tu szeroka i spokojna, a paskudne dzielnice fabryczne Drezna, otaczające niezwykle piękne centrum miasta, słały w ich stronę chmury zanieczyszczającego dymu.

To akurat pilotów nic nie obchodziło, mieli swoje własne kłopoty. Nic nie układało się po ich myśli, nie funkcjonowały także aparaty, zdolne sparaliżować działanie maszyn wroga, tak jak się to im udało zrobić z gondolą Faroną.

Piloci nic z tego nie potrafili zrozumieć, nie mieli nawet odwagi uruchomić wyrzutni pocisków ze strachu, że i ona nie zadziała jak należy.

Kiro wykonał naprawdę kawał dobrej roboty...

A kiedy na horyzoncie za ich plecami pojawiły się cztery nowe gondole, pilotów zaczęła ogarniać panika.

Wprawdzie gondole nie były dla nich groźne, lecz brak jakichkolwiek wskazówek i konieczność uruchomienia własnych szarych komórek okazały się dla nich przeszkodą nie do pokonania.

- Strzelaj w tył! W sam środek! - zawołał pilotujący maszyną.

Kolega usłuchał go i, rzecz niesłychana, pocisk wystrzelił, tak jak powinien.

- Hura! - zawołali. - Dość tego, do diabła, dostaną teraz za swoje!

Gdyby choć przez chwilę się zastanowili, dotarłoby do nich, że widzą przecież te właśnie gondole, których poszukiwali w górach, ale teraz ich umysłami oładnęła już wyłącznie żądza walki.

Na szczęście Faron miał dość rozumu w głowie, by w doskonale wyposażonej gondoli Marca umieścić Kira, Kiro zaś świetnie wiedział, jakie kroki należy podjąć. Natychmiast wystrzelił pocisk obronny, który w połowie drogi spotkał się z pociskiem wystrzelonym z Maszyny Śmierci. Nic dziwnego - oba nakierowane były na poszukiwanie źródła ciepła. Nastąpił wybuch, który niemalże oślepił i wrogów, i przyjaciół.

Piloci samolotu zaklęli, lecz zaraz musieli skupić się na czymś innym. Oto bowiem gondola Rama weszła w zakręt i zawróciła. To Indrze przypomniało się nagle, że tak naprawdę nie skończyli przecież rozpylać eliksiru nad Czechami. Z Niemcami natomiast sprawa była już zakończona.

Piloci nie wiedzieli, co dalej.

Oni także zawrócili, śledząc pojazd Rama, i w locie wystrzelili kolejny pocisk w

stronę gondoli, które niemal już ich dogoniły.

Również ten pocisk udało się Kirowi zneutralizować, na tym jednak zapas rakiet obronnych się wyczerpał. Kiro leciał wszak gondolą Marca, a nie była to maszyna przystosowana do ataku, wybudowano ją z przeznaczeniem do pokojowych misji.

- Teraz wystarczy jeden pocisk i jesteśmy straceni - oświadczył Kiro przez mikrofon. Jego głos docierał do wszystkich gondoli.

Maszyna Śmierci siedziała na ogonie pojazdu Rama i Indry, pilot trzymał już palec na przycisku uruchamiającym wyrzutnię pocisków skierowanych w ich stronę.

Najwidoczniej zdawał sobie sprawę, że przynajmniej oni nie mają czym się bronić.

Właśnie wtedy Indrze przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Do diabła! - mruknęła. - Ram, ja to zrobię!

- Co takiego? - spytał, nie odrywając wzroku od swoich aparatów.

- To przynajmniej nie zaszkodzi.

Zbiornik z eliksirem Madragów był już wyjęty i przygotowany do rozpylania nad Czechami, nad tymi okolicami, w których jeszcze tego nie zrobiono. Indra ustawiła go na wyjątkowo gruby strumień płynu i z satysfakcją patrzyła, jak kieruje się na Maszynę Śmierci depczącą im po piętach.

- Indro, co ty wyprawiasz? - zawołał Ram, kiedy wreszcie się odwrócił. - To zmarnowane krople, na nich nie podziałają. Poza tym ten ich samolot jest chyba hermetyczny.

- Mam nadzieję, że nie aż tak.

Ram, patrząc na szaloną Indrę, pokręcił tylko głową.

Piloci w Maszynie Śmierci odruchowo zasłonili się rękami, gdy jakaś biaława ciecz rozprysnęła się o przednią szybę, zasłaniając im wszelki widok niczym olbrzymia ptasia kupa. Wiatr jeszcze ją rozmazywał.

Lecz nie dość na tym. Oślepiąca Maszyna Śmierci nurkowała już stromo w dół w stronę groźnej ziemi. W ostatniej chwili zdolali wyprostować lot i zwolnić.

Teraz obaj wychylili się przez boczne okienka, żeby usunąć zanieczyszczenie,

trochę pochlapali sobie przy tym twarze, ale przednia szyba była wreszcie czysta. Odetchnęli z ulgą.

I oto niespodziewanie do ich świadomości zaczęło przenikać jakieś niezwykle uczucie. Popatrzyli na siebie.

- Co my właściwie robimy? - spytał jeden.

- Talornin to snob nad snyby! - oświadczył jego kolega.

- Prawdziwy łajdak! A Lenore jest jeszcze gorsza.

- Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego, brzydzi mnie to. Zrywamy się stąd!

- Świetny pomysł! Uciekamy!

Strasznie się im spieszyło, by uciec jak najdalej od Maszyny Śmierci, zastanawiali się nawet, czy by nie wyskoczyć, tak bardzo ją znienawidzili. Opanowali się jednak i skierowali samolot ku polanie w lesie wśród gór. Znajdowała się w pobliżu niewielkiego miasteczka, do którego zamierzali się udać.

Jak szaleńcy zrywali z siebie kombinezony pilotów i wkładali prywatne ubrania.

Nie myśląc o niczym innym, biegiem rzucili się do ucieczki, byle jak najdalej od złowrogiego statku powietrznego. Zabrali ze sobą jedynie trochę rzeczy osobistych i niewielką ilość prowiantu.

Maszyna Śmierci zablęśla jeszcze w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Na temat losu pilotów można jeszcze dodać, że stali się oni porządnymi obywatelami. Osiedli wśród innych dobrych ludzi i żyli spokojnie.

A wszystko to zasługa eliksiru Madragów, który prysnął im na twarze, gdy wychylili się przez boczne okienka Maszyny Śmierci.

- Gdzie się podział ten samolot? - zastanawiała się Indra.

- No właśnie, to ciekawe, po prostu zniknął - odparł Ram.

Narodził się z innymi. Nie, nikt nie zauważył, gdzie się skierowała Maszyna Śmierci. Po prostu nagle zniknęła z nieba. Zupełnie nieoczekiwanie.

- Noc nadchodzi - zauważył Kiro. - Chyba wylądujemy, żeby trochę odpocząć.

Faron nie chciał się na to zgodzić, pragnął szukać dwojga zaginionych. Ponaglał

go niepokój, czuł, że nie ma już czasu do stracenia.

Kiro usiłował go uspokoić:

- Skontaktujemy się z Markiem, to bez sensu tak latać w kółko i szukać zupełnie na oślep.

Cóż, trudno odmówić temu racji, Faron wreszcie ustąpił.

Znaleźli odosobnioną, nie zamieszkaną dolinę i w niej wylądowali. Kiro wraz z Faronem natychmiast zajęli się nawiązaniem łączności z Markiem, innym natomiast przydzielono różnorakie zadania. Armasowi ku jego narastającej złości jak zwykle przypadło w udziale zajęcie się wycieńczoną Lisą. Sol z Indrą przygotowywały jedzenie w największej gondoli, pozostali natomiast kontrolowali stan pojazdów.

- Sprawiedliwy podział zajęć według płci - burknęła Indra rozgoryczona.

- Uważasz, że zajmowanie się mechanizmami jest zabawniejsze? - spytała Sol, która dość beztrosko rozrzucała na stole papierowe talerzyki. Niekiedy udawało jej się trafić dokładnie we właściwe miejsce, innym razem zupełnie pudłowała.

- Nie, ale mężczyznom zdaje się to sprawiać przyjemność i na tym polega różnica, chociaż... - Indra uśmiechnęła się. - Nakrywanie uroczystego stołu też bywa bardzo miłe.

- Tym razem czeka nas raczej spartańska uczta - mruknęła Sol i w przypiływie poczucia winy zaczęła zbierać z podłogi pogięte talerzyki i je prostować.

- Postaramy się najlepiej jak umiemy, a resztę odbijemy sobie po powrocie do Królestwa Światła, tam dopiero wyprawimy ucztę!

Umilkły. Doskonale zdawały sobie sprawę, jak niepewne są losy świata. A jeśli wszystko potoczy się źle, to co się wówczas stanie z Królestwem Światła?

Kirowi, pilotującemu gondolę Marca, udało się uzyskać jakieś bardzo niewyraźne połączenie.

- To może być sam książę - szepnął do Farona. - Ale, gdzie, w imię niebios, on się znajduje?

Niemożliwe było wychwycenie jakichkolwiek słów, bez względu na to, jak

rozpaczliwe próby podejmowali.

Wreszcie jednak rozległ się jakiś inny głos, czysty, wyraźny głosik, który doskonale było słyhać pomimo dzielącej ich wielkiej odległości.

- Halo? Czy to jacyś przyjaciele?

Kiro i Faron popatrzyli na siebie.

- Gia! - ucieszyli się jednocześnie.

Powiedzieli, kim są, i to najwidoczniej uspokoiło dziewczynę.

- Marco jest w transie - wyjaśniła. - I trochę tak, jakby go tu nie było.

Pojęli, dlaczego tak trudno było im go zrozumieć. Rozmawiał z nimi, pogrążony w transie, bez słów.

- Czy on jest razem z Dolgiem? - dopytywał się Faron.

- Tak. Zapowiedział, że się z nim skontaktuje, a ja mam siedzieć tu i się nie ruszać

- rzekł w odpowiedzi bardzo samotny głosik.

Kiro aż przełknął ślinę.

- Gia, a gdzie ty jesteś?

- W prowincji Guilin, wysoko na szczycie bardzo wąskiej góry, w świątyni.

- W Chinach - szepnął Faron. - Niemal po drugiej stronie globu. Cóż, dalej już być nie mogło.

Przed oczami stanęła mu ta wspaniała okolica, jedna z najpiękniejszych na świecie, wysokie szczyty wznoszące się niekiedy pionowo ponad polami ryżowymi i brzegami rzek. Czego, na miłość boską, szukał tam Marco?

Wypowiedział to pytanie na głos.

Gia odparła:

- Marco mówił, że Dolg powiedział, że tu będziemy najbliżej.

- Najbliżej czego? - spytał Faron z napięciem w głosie.

- Móriego i Berengarii.

Faron wypuścił powietrze z płuc.

Gia ciągnęła:

- Dolg mówił, że Marco nie może do nich dotrzeć fisy... fsy...

- Fizycznie?
- Tak, właśnie tak.
- Czujesz się samotna, Gio? - spytał Kiro.
- Bardzo - odparł żalony głosik.

Wymienili pytające spojrzenia i jednocześnie kiwnęli głowami.

- Przybędziemy - obiecał Kiro. - Przybędziemy tak prędko, jak tylko będziemy mogli.

- O, tak, dziękuję - westchnienie ulgi Gii słysząc było nawet u nich w odbiorniku.

Zdecydowali, że prześlą się kilka godzin, by potem jak najszybciej przelecieć do Chin na pomoc Gii.

W Chinach zakończono już rozpylanie eliksiru, nie mieli więc czego się obawiać ze strony tamtejszych władz. Nie bardzo jednak się orientowali, jak poza tym wygląda sytuacja w tym kraju.

- Co zrobimy z Lisą? I z naszym więźniem? - spytał Sardor.

Lenore! Całkiem o niej zapomnieli. Sardor przyprowadził ją ze swojej gondoli, gdzie zamknęli ją w komórce, skuta, z rękami w kajdankach.

Upokorzona Lenore nie kryła wściekłości, gdy podeszła do zastawionego stołu. Wyglądała bardzo nieporządnie, lecz to nie było przecież jej winą. Ponieważ dużo wiedziała, postanowili w końcu, że zabiorą ją ze sobą, wciąż jako więźnia.

Lenore musiała jeść w kajdankach po tym, jak próbowała rzucić się na Sol, która chciała przysunąć jej chleb. Koszyk z pieczywem poszybował do sufitu. Kiedy jednak Lenore zobaczyła dookoła siebie tylko gniewne spojrzenia, uspokoiła się przynajmniej na zewnątrz. Teraz z kolei znów zaczęła się wdzięczyć do mężczyzn, zwłaszcza do Farona. Sol i Indry ostentacyjnie nie zauważała, a Lisę od samego początku traktowała jak powietrze.

Ani razu nie spytała o Talornina, a oni także nie przejmowali się jego losem.

5

Chociaż wysłannicy Królestwa Światła nie zauważyli, co się stało z Maszyną

Śmierci, zauważył to Talornin.

Nie widział wprawdzie, jak samolot ląduje, bo w tym czasie wciąż leżał nieprzytomny w zaklętej twierdzy, która tak naprawdę nie istniała.

Lecz gdy z mozołem wędrował w dół po nierównych zboczach, a noc miała się już ku końcowi, w mocnym blasku księżyca spostrzegł, że w dole coś błyszczy.

Stał przez chwilę, niczym straszna zjawą z otchłani upiorów, i nie był w stanie opanować zaskoczenia. Nie widział zbyt dobrze, oczy miał słabe, a raczej były to jedynie puste oczodoły, więc tym bardziej nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Czy to nie Maszyna Śmierci tam stoi?

Potężne moce są po mojej stronie, pomyślał triumfalnie, bo jak inaczej wyjaśnić to, że samolot na mnie czeka?

Ale, uf, jak strasznie tam stromo! I jak wolno się poruszał w tym przeklętym skórzanym pancerzu!

Jedną przynajmniej pozytywną rzecz zdołał zauważyć: nie odczuwał żadnych przyziemnych ludzkich potrzeb, ani głodu, ani pragnienia, ani konieczności poszukiwania ustronnego miejsca w porę i nie w porę. To rzeczywiście prawdziwe szczęście, bo zbroi nie dawało się zdjąć, stanowiła część jego nowego wcielenia. Doskonale się czuł w skórze budzącego grozę niezniszczalnego rycerza. Wiedział przecież, że wodny potwór stał się na powrót człowiekiem, w takim razie i on chyba może na to liczyć.

Najpierw jednak wykorzysta do końca swe obecne, doprawdy wspaniałe, położenie. Był silny, niezmiernie silny, a jeszcze dowodząc Maszyną Śmierci...

Niepokonany!

Kolana nie chciały mu się zginać, przy każdym kroku skórzany pancerz trzeszczał i schodzenie w dół po stromych zboczach było prawdziwym koszmarem. Jak strasznie wolno się poruszał!

Ale przecież cały czas spuszcza się w dół.

Nie pomyślał o tym, że zapewne istnieją inne, o wiele łatwiejsze zejścia, miał w głowie tylko jedno: schodzić w dół. Nie chciał żadnych kompromisów.

Im bardziej się zbliżał, tym większej pewności nabierał, że naprawdę ma przed sobą Maszynę Śmierci. A wokół niej nie widać żywej duszy. Drzwi były otwarte, samolot sprawiał wrażenie opuszczonego.

Tym lepiej.

W tych samych rozświetlonych blaskiem księżyca godzinach Armas w jednej z gondoli miał sporo roboty.

Z Lisą było naprawdę źle. Jej ciało wprost krzykiem domagało się narkotyków, lęk i niepokój nie dawały jej spokoju. Zlewał ją zimny pot, przez cały czas nie przestawała walczyć, chcąc uciec.

Armas musiał wreszcie wezwać na pomoc Faroną.

Wysoki Obcy stanął przed Lisą i popatrzył na nią z góry. Zatroskany pokręcił głową.

- Musimy zawieźć ją do szpitala - jęknął Armas wycieńczony, potargany, w poszarpanym ubraniu.

- To oznacza dla niej długotrwałe bolesne udręki, zanim wreszcie wydobędzie się z uzależnienia.

- Ale, do pioruna, nie możemy przecież jej ze sobą zabrać! Aż do Chin? Nie, to niemożliwe. Spójrz tylko na nią, spójrz, co ona robi!

- Z abstynencją nie ma żartów, Armasie - pouczył chłopaka Faron. - Musimy zawieźć ją do Marca. Jedynie on jest w stanie jej pomóc, prędko i w humanitarny sposób.

- Zabrzmiało to tak, jakbyś mówił o uśmiercaniu kurczęcia!

- Dobrze wiesz, że wcale nie mam na myśli. Obiecałem Libuszy, że zajmę się Lisą, i akurat tego przyrzeczenia zamierzam dotrzymać.

A ja mam za to płacić, pomyślał Armas z kwaśną miną, lecz głośno nic nie powiedział.

Zamiast tego oświadczył:

- Skoro ta niemądra dziewczyna sama wplątała się w takie kłopoty, to niech teraz sama się z nich wyplącze!

Faron nie tracił cierpliwości.

- Armasie, tak silna abstynencja jak ta, którą przechodzi Lisa, może prowadzić do śmierci. To prawdziwy szok dla organizmu, niezwykle poważny stan.

- I ja mam się tym zająć?

- Nie. Przyniosłem silnie działającą tabletkę przeciwbólową, można ją niemal porównać do narkotyku. Nie całkiem, ale jest czymś podobnym. Powinna ją uspokoić przynajmniej na jakiś czas.

Dlaczego nie przyniosłeś jej wcześniej? miał ochotę spytać Armas. Zanim dziewczyna podarła mi ubranie i mało nie zadusił ją strach!

Pomimo bowiem, iż Armas krzyczał i złościł się na Lisę, to wbrew sobie trochę też jej współczuł.

Lisa wprost rzuciła się na tabletkę, połknęła ją czym prędzej, popijając odrobiną wody, i Faron odszedł. Armas znów został sam z furją.

Lisa jednak dość prędko się uspokoiła. Wciąż drżała na całym ciele, ale jej krzyki przeszły w szloch, a potem wtuliła się w ramię Armasa i zmoczyła mu łzami całą koszulę. Nie przejął się tym zbytnio, bo koszula właściwie i tak nie nadawała się już do użytku.

Berengario, powtarzał w myślach. Już się zbliżamy, wytrzymaj! Twój bohater jest już blisko!

Ostre światło księżycy splywało na nich przez przezroczysty otwór w dachu.

Rysowało we wnętrzu gondoli osobliwe wzory, przydając również całej okolicy tajemniczego zaczarowanego charakteru niczym w nierzeczywistym świecie.

Armas, nie zastanawiając się nad tym, co robi, objął dziewczynę, a ona przysunęła się jeszcze bliżej, szukając pociechy i ochrony. Chłopak niemal wzruszył się okazanym mu zaufaniem.

- Wszystko na pewno będzie dobrze, przekonasz się - powiedział nieśmiało, a ona, o dziwo, nie obrzuciła go tym razem stekiem wulgarnych wyzwisk. Była już kompletnie wycieńczona, po części odstawieniem narkotyku, a po części walką, jaką toczyła, i własnymi krzykami.

Armas usiłował przemawiać do niej tak spokojnie jak umiał, czuł, że drżenie wstrząsające całym ciałem powoli ustaje. Chyba jednak mimo wszystko nadawał się na pocieszyciela.

- Widzisz, Liso - przemawiał do dziewczyny - wcale nie wyznaję tak surowych moralnych zasad, jak mogłoby się wydawać. Musiałem po prostu jakoś zareagować, kiedy tak się z tobą ułożyło. Mnie samemu było trudno, zrozum. Miałem problemy z dziewczynami, które się za mną uganiały, zdobyłem w tej dziedzinie nie najlepsze doświadczenia. Właśnie dlatego starałem się utrzymać taki dystans między tobą a mną, nie miałem ochoty na kolejne podobne historie. Bo widzisz, ja już jestem zajęty, zupełnie gdzie indziej. Jestem pewien, że ją polubisz.

To najgorsze, co można powiedzieć dziewczynie, która jest zainteresowana chłopakiem, ale nie ma u niego żadnych szans. Armas ze swym brakiem znajomości ludzkiej duszy nie potrafił tego zrozumieć, ale Lisa nic nie powiedziała. Oddychała teraz spokojniej, nareszcie.

Armas zerknął na nią.

Spała. Spała i nie słyszała ani słowa z jego wyjaśnień.

Syn Strażnika Góry poczuł się urażony. Wyjrzał przez okno i zobaczył, że jedna z gondoli unosi się w powietrze i mija go, nie zakłócając ciszy świtu. Potem i on zasnął, ramieniem obejmując Lisę, z głową wtuloną w jej włosy.

To Strażnik Nim wybrał się na przejażdżkę gondolą. Chciał przyjrzeć się okolicy, niepokoiło go, co się stało z Talorninem. Nie obchodził go los byłego głównodowodzącego w Królestwie Światła, obawiał się natomiast, że Talornin może narobić kłopotów okolicznej ludności.

Przyjaciele twierdzili, że zajmie się nim Libusza. No i dobrze, ale Nim nie widział żadnej Libuszy, słyszał jedynie, że to znająca się na czarach kobieta z odległej przeszłości. Nie dziwiło go to, od dawna wszak mieszkał w Królestwie Światła wraz z wszystkimi jego mistycznymi i mitycznymi istotami.

Płaskowyż, na którym przebywali wcześniej, leżał pusty. Zamczysko zniknęło, pozostały po nim jedynie niepozorne szczątki.

Talornina dotąd nie zauważył. Gdzie mógł podziąć się ich potężny wróg?

Chyba nigdzie, z tego co Nim mógł dostrzec. Ale na jednej z polan zauważył co innego... Dwukrotnie przeleciał nad okolicą, żeby się upewnić. Wrócił potem do towarzyszy, którzy już się obudzili, i złożył raport.

- Maszyna Śmierci? - z niedowierzaniem powtórzył Kiro. - Opuszczona?

- Na to wygląda - odparł Nim, dumny ze swego odkrycia. - Wydaje się, że piloci porzucili ją, uciekając na łeb na szyję. Drzwi były otwarte, a dookoła leżały porzrzućane ubrania.

Faron wolnym ruchem odwrócił się ku Indrze i popatrzył na nią z uśmiechem.

- Zdaje się, że twój przysznic okazał się bardzo skuteczny. Doskonała robota, Indro! I ty świetnie się spisałeś, Nimie! Anektujemy ją, prawda?

Wszyscy uznali to za znakomity pomysł. Ram i Indra nie wybierali się wraz z nimi do Chin, musieli bowiem kontynuować swoją „działalność misyjną” - rozpylanie eliksiru, ale Maszynę Śmierci koniecznie chcieli zobaczyć.

Wszyscy tego chcieli, być może z wyjątkiem Lenore i Lisy, lecz ich nikt nie pytał o zdanie.

Talornin dostrzegł gondolę krążącą wokół Maszyny Śmierci i natychmiast schował się w krzakach między drzewami.

Do diabła! Musi dotrzeć do samolotu pierwszy, bo przecież istnieje niebezpieczeństwo, że pilot tej gondoli powróci! Talornin przyspieszył marsz i wreszcie znalazł się na jako tako płaskiej ziemi. Jeszcze tylko kawałek i...

Ach, nie, ta gondola wraca, w dodatku nie sama! Aż pięć tych przeklętych pojazdów unosiło się w powietrzu, i to akurat teraz, kiedy od samolotu dzieliła go jedynie polana. Nie, oni nie mogą mu odebrać jego śmiercionośnej maszyny, przecież ona tak bardzo jest mu potrzebna. Musi wrócić do bazy i...

Wylądowali.

Opuścili gondole. Ilu ich właściwie jest?

To ci idioci z grupy Poszukiwaczy Przygód. Spostrzegł Rama i Indrę. O, to będzie prawdziwa przyjemność skończyć z nimi. I Faron. Faron zajął jego miejsce w Królestwie Światła. Jest jeszcze paru Strażników, ale oni to żadna przeszkoda! Ale zjawiała się również Sol. Talornin poczuł nieprzyjemne pieczenie w żołądku. To mu się ani trochę nie podobało.

Jeszcze parę osób, ale one zupełnie się nie liczą. Na pewno bez trudu uda mu się je zastrzelić.

Dziewczyna, która ledwie trzyma się na nogach. Syn Strażnika Góry musi ją prawie nieść.

I Lenore? Skuta kajdankami? Ach, doprawdy!

Przeszli za samolot. Musi poczekać, aż znów wyjdą. Okazał się nie dość szybki, tak bardzo go zdziwiła i rozgniewała cała ta scena.

Sztywnymi rękami wyciągnął gazowy pistolet.

To Kirowi przypadł w udziale zaszczyt zbadania instrumentów w Maszynie Śmierci. Pozostali oglądali ją bardziej pobieżnie.

- Dużo tu miejsca - skonstatował Faron. - Jak sądzisz, Kiro, zdołasz nią manewrować?

- Powinno się udać. To doprawdy imponująca maszyna, tylko stanowczo za dużo w niej broni.

- Broń zniszczymy. Czy ten samolot jest szybszy od gondoli?

- O wiele szybszy, wprost trudno je porównywać.

- Zawiezie nas do Chin?

- Bez kłopotu. Nie potrzebuje paliwa.

- Doskonale. Wobec tego wybieramy tych, którzy się tam wyprawiają. Oczywiście Kiro, no i ja sam.

Co do tego Faron nie miał najmniejszych wątpliwości, musi pojechać.

Podjął:

- Niestety, musimy zabrać również Lenore, potrzebujemy jej informacji o tym, gdzie mogą znajdować się zaginieni. Obecność Sol jest zawsze konieczna. Czy zostało miejsce dla kogoś jeszcze, Sardorze?

Armas zawołał z zewnątrz:

- Ja też muszę jechać!

- Ach, tak? A to dlaczego? - zdziwił się Faron.

- Ponieważ...

Nie, nie mógł powiedzieć, że Berengaria czeka, aż on przybędzie jej na ratunek.

Przecież tylko on o tym wiedział.

Przeczuwał, że w przeciwnym razie czeka go marny los: będzie musiał zajmować się Lisą przez całą wieczność. Spróbował niewinnego podstępu:

- Ale czy ty, Faronie, nie obiecałeś Libuszy, że zajmiesz się Lisą? A teraz chcesz ją opuścić. Czy ona nie powinna jak najprędzej trafić do Marca?

Faron zacisnął szczęki.

- Masz rację, wobec tego ona też pojedzie z nami!

Jeśli Armas przypuszczał, że w ten sposób otrzyma bezpłatną miejscówkę, to na pewno bardzo się rozczarował. Nikt nie prosił już o jego pomoc w opiece nad Lisą.

- Faronie, nie możecie ciągnąć ze sobą tylu zbędnych osób - zaprotestowała Indra. - I Lisa, i Lenore, na co wam to? Przypuszczam, że nie uda wam się wydusić z Lenore ani słowa, ona jest więc niepotrzebna. Zabierz raczej ze sobą...
Co to było?

Zaczęli właśnie okrążyć Maszynę Śmierci, by przejść na jej drugą stronę, gdy nagle dostrzegli lekkie poruszenie wśród drzew.

- To pewnie jakiś ciekawski wędrowiec zapuścił się do lasu - stwierdził Ram. -

Lepiej, żebyśmy jak najprędzej stąd wyruszyli.

- Nie! - zawołała Sol. - To było coś strasznego! Coś nieludzkiego...

Istota wolno poruszała się wzdłuż skraju lasu między drzewami. Momentami stawała się widoczna.

- To coś jest tam!

- Nie, ale...

- Ach, do pioruna!

Przez moment ukazała się wyraźniej.

Niejednemu ścisnęło się w brzuchu.

Istota zaraz zniknęła im z oczu.

- Co to mogło być? - jęknął Nim. - To przypominało... to niczego nie przypominało!

- Człowiek z minionych czasów? - zastanawiała się Indra. - Jakie to okropne, czy on był żywy?

- Mam wrażenie, że widziałem jakąś olbrzymią postać w za małej, za ciasnej zbroi

- odparł Kiro. - Ale czy był żywy? Nie, to niemożliwe, z taką twarzą?

- A więc upiór? - spytał Armas lekko drżącym głosem.

Zapamiętali niemal zupełnie łysą czaszkę, z której zwisały jedynie rzadkie żółtawoszare kępkę włosów, pamiętali puste oczodoły, które mimo wszystko zdawały się widzieć, i zęby szczerzące się spod odpadających płatów skóry.

Potem zaś dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie, i to tak błyskawicznie, że nie zdążyli zarejestrować, co się stało, zanim było już za późno.

Tuż koło ucha Faroną przemknęła kula. Na szczęście strzelec okazał się tak niezdarny, że nie zdołał wcelować w żadnego z ludzi ani też w żadną z gondoli.

Pocisk więc ze świstem przeleciał przez całą polanę i nie czyniąc żadnej szkody, upadł na ziemię w lesie po przeciwnej stronie polany.

- Ten odgłos... - powiedział Sardor. - Czy to może być...

- Gazowy pistolet Talornina? - z niedowierzaniem dokończył Faron.

- To niemożliwe.

W tym samym czasie ktoś zauważył, że Lisie udało się uciec. Zorientowała się widać, że nikt na nią nie patrzy, i na chwiejnych nogach z prędkością, na jaką było ją stać, ruszyła do lasu.

- Liso! - wrzasnął Armas. - Uważaj!

Budzący wstręt upiór, czy co też to było, dawno już zniknął im z oczu. Słyszeli jednak jego stapanie pomiędzy drzewami, najwyraźniej chciał odciąć drogę

uciekającej dziewczynie.

Wszyscy zaczęli nawoływać Lisę, zachęcając ją do powrotu.

Było już jednak za późno: Usłyszeli, że Lisa krzyczy ze strachu.

A potem rozległ się wrzask, głuchy i okropny:

- Zatrzymajcie się! Już ją mam! Oddajcie mi Maszynę Śmierci, a jeśli się ruszycie, ona połknie wirusa!

- To naprawdę Talornin - szepnął Faron zaszokowany. - Mówi naszym językiem.

No tak, obaj byli Obcymi, choć jedynie Faron miał w żyłach czystą krew.

- Jesteśmy za daleko, co możemy zrobić? - jęknął Ram, bojąc się o życie Lisy.

- Nie wiem. On ma wszystkie atuty po swojej stronie.

- Przeklęta dziewczucha! - prychnęła Sol. - Armasie, co ty wyprawiasz?

Wszyscy ze zdumieniem popatrzyli na chłopaka.

Armasa zaś ogarnął palący gniew. A w takich stanach jego niezwykle zdolności ujawniały się najmocniej.

Obliczył odległość dzielącą go od Talornina i Lisy i zorientował się, że stoją w pobliżu skalnej ściany. Dostrzegł także półkę kilka metrów powyżej.

Armas namierzył się i bez najmniejszych problemów skoczył prosto na nią. Jego ojciec Strażnik Góry nigdy nie miał okazji zobaczyć, jak syn demonstruje tę bardzo osobliwą umiejętność, słyszał o niej tylko i nie bardzo chciało mu się w to wszystko wierzyć.

Szkoda, że nie był teraz świadkiem wyczynu syna!

Armas ze skalnej półki miał niemal w prostej linii widok na Talornina. A Talornin wolno kręcił głową, najpewniej zadając sobie pytanie, co to takiego przefrunęło ponad nim.

W głowie Armasa wirowały myśli o wodnym potworze, którego obezwładniły pistolety Poszukiwaczy Przygód. Wobec tego, uznał, tę przerażającą istotę również powinno dać się unieszkodliwić.

Gdybyż tylko Lisa nie krzyczała tak strasznie przez cały czas. Potworna istota musiała przytrzymać ją obiema rękami, a nie miała już trzeciej, żeby zakryć

dziewczynie usta.

Ani czwartej, którą mogłaby wyciągnąć pojemnik z wirusem...

Armas wycelował i strzelił. Z cichym plaśnięciem obezwładniająco nabój trafił w porośniętą rzadkim włosem czaszkę „rycerza”.

Talornin uderzył w krzyk ze strachu i wściekłości. Puścił Lisę i zrobił kilka chwiejnych kroków, pragnąc uciec z tego miejsca.

Armas nie zajmował się nim dłużej. Czym prędzej zeskoczył na dół i pociągnął Lisę za sobą.

- I co ci z tego przyszło? - syknął do niej.

Dziewczyna była zbyt sparaliżowana lękiem i zaskoczona bohaterskim czynem Armasa, by stawiać jakikolwiek opór. Dała się bez sprzeciwów pociągnąć ku sprzymierzeńcom z Królestwa Światła.

Armasa obsypano pochwałami.

- A co z Talorninem? Zdołałeś go obezwładnić? - dopytywał się Faron.

- Trochę, ale wydaje mi się, że niewystarczająco. Sądzę, że zdołał uciec. Trafiłem go w głowę, a z niej niewiele już zostało.

- Odlatujcie stąd czym prędzej! - ponaglał Ram. - Natychmiast wyruszajcie. My z Indrą zajmiemy się Talorninem.

- Sami sobie z nim nie poradzicie - przestrzegł Faron. - Sol, ty zostaniesz. Tylko ty jesteś w stanie go pokonać. Żałuję, bo bardzo chciałbym zabrać cię ze sobą.

Sardorze, ty także zostaniesz, żeby pomóc Sol.

Wtrącił się Armas:

- Rozumiecie chyba, co się stało z Talorninem? - spytał i zaraz sam odpowiedział:

- Musiał się napić wody z amfory.

- Oczywiście - stuknęła się w głowę Sol. - Jesteś prawdziwym geniuszem, Armasie.

- Tak, tak, wiem o tym - uśmiechnął się chłopak, którego od czasu do czasu podejrzewali o brak poczucia humoru. Najwyraźniej jednak je miał. - A ponieważ Talornin znajdował się w twierdzy, uległ przemianie odpowiedniej do otoczenia.

Bogowie jedni wiedzą, jakież to średniowieczny wojak był przed nim właścicielem tej zbroi. Ale wodnego demona udało się obezwładnić, pomyślałem więc, że z nim również się to uda... Powinienem być lepiej wcelować.

- Zrobiłeś jedyną słuszną rzecz - pocieszył go Faron. - Wsiadajcie już teraz do maszyny. A wy, kiedy już się uporacie ze wszystkim tutaj, zabierzcie gondole do bazy. My też tam przylecimy.

- Z Mórím i Berengarią - dodał Armas, z trudem skrywający dumę.

Kiro mocno uściskał Sol, prosząc, by była ostrożna.

Wsiedli potem do Maszyny Śmierci wszyscy, którzy mieli nią polecieć: Kiro jako pilot, Faron, Armas (liczył na to, że Faron nie zauważy, iż się tam przekradł) i Nim. A także osoby, których nie pytano o zdanie: Lisa i Lenore. We wnętrzu pojazdu zrobiło się bardzo ciasno.

Maszyna wzniosła się nad ziemią, z początku dość nierównym lotem, kołyszącym, ale Kiro już wkrótce odzyskał nad nią pełną kontrolę.

Talornin patrzył, jak samolot znika z prędkością rakiety. Wędrując przez las, nie posiadał się z wściekłości, nie odchodził jednak za daleko. Ratunek mogła dla niego stanowić gondola, jeśli tylko uda mu się wyprowadzić w pole tych nieinteligentnych młodych ludzi, którzy tu zostali.

6

Mała delikatna Gia z niepokojem patrzyła na wuja Marca, który z zamkniętymi oczami siedział tuż obok na podłodze pagody niczym kamienny posąg.

Wiedziała, że nie powinna go budzić. Ale Marco znajdował się w stanie transu już niewiarygodnie długo. Gia bardzo zgłodniała i przypuszczała, że on także. A jeśli umrze z głodu?

Najostrożniej jak umiała, wyciągnęła trochę jedzenia i picia z podręcznej lodówki, którą ze sobą zabrali. Wyprawa po prowiant do gondoli nie należała do najprzyjemniejszych, od ziemi Gię dzieliła przepaść, a po wąskiej skale nie bardzo było jak stąpać, bała się też spoglądać na rzekę płynącą głęboko w dole.

Próbowała jeść bezszelestnie, lecz i tak wydawało jej się, że Marco musi słyszeć

jej mlaskanie bez względu na to, jak ostrożnie gryzła i jak bardzo się starała zamykać usta. W butelce chlupnęło, gdy odrywała ją od warg, i bardzo ją to przestraszyło, ale on nawet nie drgnął.

Czy może włożyć mu do ust kawałek chleba?

Nie, oczywiście, że nie.

Ale tak bardzo się o niego bała.

Jakież on ma piękne usta!

Patrzenie na księcia sprawiało jej wprost boską przyjemność.

Gia знаła wuja Marca przez całe swoje krótkie życie i właściwie nigdy dotychczas nie zastanawiała się nad jego wyglądem. Prawdę mówiąc, był pierwszą osobą, jaką ujrzała, gdy przyszła na świat i po raz pierwszy w życiu otworzyła oczy.

Potem... Marco wyjechał i bardzo długo nie wracał.

Dopiero gdy znów się z nim spotkała, zrozumiała, jak bardzo za nim tęskniła. Jego widok wypełnił ją spokojem i radością. Niepokój, jaki odczuwała podczas jego nieobecności, stał się nagle ze wszech miar zrozumiały. Marco zawsze stanowił opokę w jej dość pogmatwanym życiu. Pogmatwanym dlatego, że nie bardzo wiedziała, gdzie jest jej miejsce. Żyła wśród ludzi, lecz dorastała prędko jak elf. Znała las i przyrodę tak dobrze, jakby stanowiła jej część, lecz od matki uczyła się o świecie ludzi. Oczywiście była przede wszystkim człowiekiem, lecz dziedzictwo po ojcu dominowało w niej pod tak wieloma względami. Wszystko to razem było ogromnie trudne.

Gia z powrotem spakowała jedzenie. Nie miała śmiałości wracać do gondoli z torbą. Bała się, że góra pęknie na pół, jeśli tylko się ruszy.

Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie tego dnia, kiedy Marco wrócił.

Spotkała go w lesie, koło domku babci. Nie poznał jej wtedy, a jej wielką przyjemność sprawiło drażnienie się z nim.

Gdy jednak zrozumiał, kim była, wyglądał na dziwnie rozczarowanego. Radość w jego oczach jakby przygasła, wydawał się wręcz smutny. Czyżby dlatego, że okazała się Gwiazdeczką?

To nie było ani trochę miłe.

Gia znajdowała się w trudnym okresie przełomu. Jej dzieciństwo i pierwsza młodość przeminęły stanowczo zbyt szybko, nie potrafiła jakby za sobą nadażyć.

O tym rozmawiała już z Markiem, o tym, że zaczęła rozglądać się za chłopcami, czując się zarazem nieprzyjemnie dziecinna.

Odkąd dorosła, miała problemy z nazywaniem go wujem. Matka chciała, by nadal tak się do niego zwracała, ale dziewczynie wydawało się to niestosowne.

Marco się poruszył, Gia popatrzyła na niego z uwagą.

- Co ty powiedziałaś, Gia? „Mam wrażenie, jakby przestał być wujem”?

Dziewczyna zaczerwieniła się ze zmieszania.

- Tak powiedziałam? Na głos? - Zdradziła się przy tym, że naprawdę o tym myślała, i chcąc odwrócić uwagę od siebie, dodała prędko: - Masz ochotę na kanapkę?

- O, tak, bardzo dziękuję. A kto taki przestał już być wujem?

- A, mówiłam coś przez sen - odparła bez troski. - Prawdopodobnie jakaś postać ze snu. Proszę, tu jest twoja butelka.

Marco posilał się w milczeniu. Kiedy skończył jeść, Gia spytała, jak mu się powiodło przekazywanie myśli.

- To ogromnie trudna sprawa - wyjaśnił. - Nie mogę bowiem nawiązać bezpośredniego kontaktu z Mórím i rozmowa musi się odbywać za pośrednictwem Dolga, który krąży w pobliżu i jest w stanie lepiej wychwycić sygnały ojca. Ale to wszystko jest takie niewyraźne. Muszę zaraz do tego wrócić, potrzebna mi tylko była chwila przerwy.

- Bardzo dobrze, że zrobiłeś sobie tę przerwę. Trochę się tu czuję samotna.

Jakbym siedziała na rozchwianym piedestale. To właściwie okropne.

Marco uśmiechnął się.

- Skoro ta góra wytrzymała wiele tysięcy lat, to na pewno będzie w stanie utrzymać i nas.

Gia miała wątpliwości. Wydawało jej się, że wszystko się kołysze.

- Marco, dlaczego nigdy się nie ożeniłeś? - spytała nagle, badawczo przyglądając mu się w półmroku.

- Co takiego? O, to długa historia.

- Jesteś przecież taki ładny.

- To twoim zdaniem wedle takiego kryterium należy oceniać, czy się żenić czy nie? Zresztą mężczyźni nie bardzo lubią, kiedy nazywa się ich ładnymi. Raczej przystojnymi, interesującymi...

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie!

Marco popatrzył na nią tak, jakby się zastanawiał, ile może zdradzić temu eterycznemu dziecku.

Gia zdawała się czytać w jego myślach i powiedziała zrezygnowana:

- Marco, ja już nie jestem dzieckiem. Muszę się czegoś dowiedzieć o miłości i podobnych sprawach. Wszyscy, których o to pytam, odpowiadają wymijająco, że ja tego nie rozumiem. Kogo więc mam pytać, jeśli nie ciebie? Jesteś przecież jakby moim ojcem chrzestnym, prawda?

Marco skrzywił się.

- Można i tak powiedzieć - westchnął. - Przypuszczam, że masz prawo wiedzieć. Ale potem muszę znów nawiązać kontakt z Dolgiem.

Gia, ucieszona, przysunęła się bliżej i wtulona w jego ramię gotowa była słuchać.

- Widzisz, Gio, ja i Dolg mieliśmy ze sobą coś wspólnego. Shira także, przed wieloma, wieloma laty. Wszyscy troje byliśmy Wybranymi, dlatego też zostaliśmy pozbawieni pewnej strony naszej ludzkiej osobowości. Nie potrafiliśmy kochać. Miłość i erotyzm były nam całkowicie obce, nie umieliśmy tego nawet zrozumieć. Niekiedy tylko z niejasną tęsknotą uświadamialiśmy sobie, że czegoś nam brak.

- Dlaczego milczysz, mów dalej!

- Dobrze. W przypadku Shiry to Mar zwiódł ją i dał jej się napić niczym nie rozcieńczonej jasnej wody. Shira utraciła wtedy wiele ze swych magicznych zdolności, ale potrafiła już kochać.

- Aha, Mar. Niegłupio zrobił.

- To prawda, lecz nie miał pojęcia, do jakich następstw to może prowadzić. Najpierw przeraził się, że ona się w nim zakochała, gdy jednak dobrze się nad sobą zastanowił, zrozumiał, że i on od dawna ją kocha.

- To bardzo piękna historia. A co z Dolgiem?

- Ach, Dolg! - Marco zasmucony zapatrzył się w noc. - Dolg zawsze był samotny. W konsekwencji opuścił nas, taki był jego wybór.

- A ty? - pytała dalej Gia drżącym głosem. - Ty chyba nie masz zamiaru nas opuszczać?

- Nie - uśmiechnął się Marco z lekką goryczą. - Ten szaleniec, twój ojciec, z dobrego serca zmusił mnie do wypicia jasnej wody.

- To chyba dobrze?

- Nie wiem, Gio.

Dziewczyna uklękła, próbując w gęstniejącym mroku zajrzeć mu w oczy.

- Ale ty potrafisz teraz kochać, prawda? Chodzi tylko o to, żeby znaleźć odpowiednią dla ciebie osobę? A może sam ją już znalazłeś?

- Owszem, niestety, tak.

- Dlaczego niestety?

- Dlatego, że ona nie jest przeznaczona dla mnie. Ja jestem bardzo wiekowym, dwustuletnim starcem, ona zaś to najcudowniejsza istota na ziemi.

- To chyba nie jest Lenore? - spytała przerażona Gia, znów siadając przy Marcu.

- Ach, nie, niech mnie Bóg strzeże! Ach, Gio, czuję się teraz po dwakroć bardziej samotny, kiedy zrozumiałem, co miłość potrafi dać człowiekowi. I musiałem z niej zrezygnować. Samotność wprost rozrywa mnie na strzępy.

- Biedny, stary, dobry, przystojny Marco! - powiedziała Gia ze współczuciem, przysuwając się, jeśli to możliwe, jeszcze bliżej niego. - Pamiętaj, kiedy się czujesz samotny, że zawsze masz przecież mnie. Ze mną możesz rozmawiać o wszystkim, jestem twoją najlepszą przyjaciółką, dobrze o tym wiesz.

- Wiem, Gio, wiem - odparł, a dziewczynę zdziwiło, że głos tak nagle mu się zmienił.

Za późno uświadomiła sobie, że zapomniała mu opowiedzieć o swojej rozmowie z Faronem i Kirem, teraz Marco już wpadał w trans, a ona nie miała śmiałości mu przeszkadzać.

7

Do Guilin w południowych Chinach dotarli tuż przed wschodem słońca.

- Ach, ratunku! - westchnął Armas.

- Fantastyczny widok, prawda? - uśmiechnął się Faron.

Kiro zmniejszył nieco prędkość, by mogli napawać się widokiem niesamowitego krajobrazu. Formacje przypominające głowy cukru w ilości setek, a raczej tysięcy, wystawały sponad porannej mgły, unoszącej się nad polami ryżowymi. Światło świtu sprawiało, że okolica wydawała się wprost zaklęta, jak gdyby znajdowali się w świecie rodem z baśni.

Wschodziło słońce, chmury połyskujące niczym macica perłowa, czerwienią i złotem odbijały się w sztucznych i naturalnych zbiornikach wodnych.

Minęli jakąś rzekę, czy była to Li czy też jakaś inna, nie wiedzieli. W dole, na wyłoczonej wodzie, z cieni pod szczytami wyłoniły się rybackie łodzie. Były to tylko powiązane pęki bambusowych tyczek, poruszane za pomocą wiosel, z jednym wiosłem sterowym. Rybacy nosili na głowach tradycyjne stożkowate kapelusze ze słomy, chroniące ich przed promieniami słońca, a na brzegach ich koszyków siedziały kormorany, które łowiły dla nich ryby.

Nawet wciąż dygocząca jak liść Lisa musiała przyznać, że tego widoku nie da się porównać z żadnym innym.

Tabletka Farona przestawała już działać i dziewczyna znów cała się trzęsła w bezlitosnej abstynencji. Przez kilka godzin zachowywała się niemal zupełnie normalnie, choć była bardzo blada i zlewały ją zimne poty, lecz rozmawiała z nimi, nie przeklinając i nie domagając się narkotyków. Wprawdzie spała przez większość czasu, lecz Armas miał też okazję porozmawiać z nią całkiem sporo o życiu, a także o innych ważnych sprawach, na przykład o Berengarii oczekującej swego bohatera, Armasa. Lisa pytała go też o ten jego niezwykły skok, a on

usiłował jej to wszystko wyjaśnić.

Nie wiedział, czy mu uwierzyła. Wszystkie opowieści o czarnoksiężnikach i strasznych duchach wydawały jej się jeszcze bardziej przerażające niż nawet jej najgorsze narkotykowe odjazdy.

Ale przecież na własne oczy widziała, jak skakał. Widziała także potwornego upiora, który objął ją rękami, a na jego wspomnienie ogarnęły ją mdłości.

Wszystko, co przeżywała, wydawało jej się nierzeczywiste. Ten samolot, który ze świstem pędził naprzód, wszystkie te olbrzymie postaci. Armas, prawdę mówiąc, był z nich najbardziej ludzki, odruchowo przysunęła się bliżej niego.

- Ciekawe, gdzie może być Gia? - zastanawiał się Kiro.

- Straciłem z nią połączenie, wydaje mi się, że ona po prostu śpi - uśmiechnął się Faron. - Kiedy z nią ostatnio rozmawiałem, język jej się trochę plątał, ale mimo wszystko zdołała jakoś podać w miarę dokładną pozycję. Jest w pobliżu miasta Guilin. Tam, po drugiej stronie rzeki, wznosi się niesamowita góra, wąska jak szydło, cienka i wysoka, a na jej szczycie jest świątynia czy pagoda z czerwonym dachem. Sądzę, że ona przebywa właśnie tam.

- Ale czy to nie jest zbyt ryzykowne? Przecież mogą się tam pojawić jacyś ludzie?

- Nie rozpoczął się jeszcze sezon turystyczny, a przypuszczam, że mieszkańcy miasta mają ważniejsze zajęcia, aniżeli wspinaczka po pionowych skałach. W każdym razie my jesteśmy najzupełniej bezpieczni, skoro przybywamy o tak wczesnym poranku.

- To chyba to miasto, Guilin?

- Z całą pewnością. I... poczekajcie chwilę... tam... to musi być ta skała!

Krażąc, zbliżali się w jej stronę. Miasto ledwie zaczęło budzić się do życia, jedynie tu i ówdzie pojawili się rowerzyści, zmierzający do pracy o tak wczesnej porze.

Maszyna Śmierci leciała tak cicho, że żaden z nich nie zadarł głowy i nie popatrzył na niebo.

Kiro najostrożniej jak potrafił wylądował na szczycie skały.

- Nie za wiele tu miejsca - oświadczył.

- To prawda, dobrze, że przylecieliśmy sami.

Gondola Marca już tam stała, trafili więc we właściwe miejsce.

Wszyscy razem skierowali się ku altanie. Nie bardzo wiedzieli, jak powinni nazwać tę budowlę, na pewno było to coś w rodzaju świątyni. Lenore także im towarzyszyła. Ręce wciąż miała skute w kajdankach, a na jej twarzy malowało się oburzenie. Lisa natomiast zrezygnowała z oporu, czuła się fatalnie i nawet na krok nie odstępowała Armasa.

W altanie ujrzeli idylliczny obrazek. Marco siedział w pozycji lotosu plecami do ściany, Gia zaś spała spokojnie z głową na jego kolanach. Zorientowali się natychmiast, że Marco jest w transie.

- Trwa to już tak długo, że musimy się 'włączyć - zdecydował Faron i strzelił palcami.

Marco otworzył oczy i Gia też się przebudziła. Zaspana wyglądała bardziej dziecinnie niż na swoje osiemnaście, dziewiętnaście lat.

- To naprawdę wy? - uśmiechnął się Marco.

A Lenore natychmiast poczuła wzbierające w niej pożądanie. Od dawna już pragnęła podbić serce księcia Czarnych Sal, lecz nigdy jakoś nie miała okazji, by zostać z nim sam na sam. Tak właśnie postrzegała całą tę sprawę. Teraz wreszcie pora dać mu taką możliwość. Och, naprawdę, ma w kim wybierać! Może powinna doprowadzić do pojedynku Marca z Faronem? Obserwowanie mężczyzn walczących o jej względy zawsze dawało jej tyle uciechy.

- Jak tu dotarliście? - zastanawiał się Marco.

- Gia nas poprowadziła. Bo ty byleś, można powiedzieć, odcięty od rzeczywistości - odparł Faron.

Marco trochę zdziwiony popatrzył na Lenore i Lisę, ale nic nie odrzekł.

- Nawiązałeś kontakt z Mórim i Berengarią? - wypytywał go Faron.

- Tak, wiem już, gdzie są. Porozumiałem się z Mórim za pomocą telepatii, jest naprawdę w krytycznym stanie, ale niestety, fizycznie nie mogę do nich dotrzeć.

- A Berengaria?

- Nie wiem, niczego nie słyszałem. Dolg jest przy nim, to znaczy nawet on nie może do nich dotrzeć, ale nawiązał bezpośredni kontakt z ojcem.

Marco wstał, Gia także, poprawiała teraz włosy i ubranie.

- Dziękujemy ci, Gio - powiedział Faron ciepło. - Bardzo nam pomogłaś.

Dziewczyna rozjaśniła się. Nagle jednak szeroko otworzyła oczy.

- Ojej! Cóż to za maszyna?

- Wielkie nieba, to przecież Maszyna Śmierci! - wykrzyknął Marco i natychmiast do niej podbiegł.

- Tak, zarekwirowaliśmy ją - oświadczył Kiro z dumą.

Marco popatrzył na niego.

- A gdzie reszta? Gdzie Sol?

Musieli opowiedzieć mu o Talorninie. Marco nie wiedział, czy ma się śmiać czy płakać. Przede wszystkim chyba się zaniepokoił, Talornin w swej obecnej postaci mógł oznaczać katastrofę dla całej Ziemi.

- Sol bardzo chciała przylecieć tu z nami - powiedział Kiro. - Ale tam była bardziej potrzebna.

- Tu też jest bardzo potrzebna - odparł Marco przygnębiony. - Zamiast...

Zdecydował się nie kończyć zdania, uznał, że tak będzie lepiej. Rozjaśniony wskazał na Maszynę Śmierci.

- Bardzo się tym ucieszyłem, bo wiecie, co to może oznaczać?

- Nie?

Marco podszedł do samolotu i lekko go poklepał.

- Zdaje mi się, że możemy dotrzeć do Móriego i Berengarii. Tym pojazdem, nieprawdaż, Lenore? - dokończył, złowrogo błyskając oczami.

- Ja... ja nic o tym nie wiem - odparła, przerażona jego groźną miną.

- Och, doprawdy, wiesz, i to dobrze!

Odwrócił się do przyjaciół.

- Więźniowie znajdują się na stacji kosmicznej, w statku, który krąży gdzieś w przestrzeni nad tymi okolicami. To musi być pojazd, którym Talornin i jego

kompania przybyła na Ziemię.

- Ojej! - westchnął Armas. - Wobec tego możemy...

Lenore podjęła decyzję. Wysunęła się w przód, mówiąc:

- Masz rację, książę Marco. Oddaję się do twojej dyspozycji. Możemy oboje tam polecieć, znam pozycję tego statku. Nikt więcej się nie zmieści.

- Chwileczkę! - wykrzyknął Faron.

Lenore odwróciła się do niego. Jej piękne oczy błysnęły uwodzicielsko.

- Owszem, możesz polecieć jeszcze i ty, lecz nikt więcej.

- Nim, zaknebluj tę kocicę! - nakazał Faron zimnym głosem. - Ale faktem jest, że należy niestety ograniczyć liczbę pasażerów. Trzeba przygotować miejsce także dla Móriego i Berengarii, bo przecież musimy sprowadzić ich tu z powrotem.

- Ale wobec tego... - zaczęła Lenore. Dalej słyszeć już było tylko mamrotanie, bo Nim potraktował polecenie zwierzchnika dosłownie i zawiązał jej usta.

Rozzłoszczona usiłowała go uderzyć skutymi rękami, lecz to nie na wiele się zdało.

Armas spoglądał na miasto Guilin, które nie miało w sobie nic szczególnego, i powiódł wzrokiem po tym bardziej kontrastującej z nim niezwyklej okolicy.

- Niech nikt nie mówi, że nie zwiedziliśmy świata - mruknął. - Kalifornia, Góry Kruszcowe, Chiny, co tam!

- A teraz jeszcze kosmos! - uśmiechnął się Faron z nieco krzywą miną.

Marco nie krył niepokoju.

- Dolg twierdzi, że statek kosmiczny ma liczną załogę.

- To niedobrze - westchnął Faron. - Jest nas zbyt mało, tych, którzy mogą się do czegoś przydać. Ale czy oni mają na Ziemi kogoś jeszcze?

- Nie, było ich tylko czworo. Talornin, Lenore i tych dwóch pilotów.

Armas oderwał wreszcie wzrok od niezwyklego widoku.

- Marco - powiedział poważnie. - Mamy jeszcze inny problem. Lisa potrzebuje twojej pomocy.

- Widzę - odparł książę i uważnie przyjrzał się dziewczynie. - Ale czy mamy na to

czas?

- Gdybyś mógł jej pomóc teraz, to nie musielibyśmy już zabierać jej ze sobą.

Lisę ogarnął gniew.

- Miałabym siedzieć tutaj na jakimś górskim szczycie w Chinach, nie wiedząc, czy wy w ogóle wrócić? O, nie, dziękuję! Skoro już mnie tu przyciągnęliście, to doprawdy musicie do końca wziąć za mnie odpowiedzialność!

Popatrzyli na nią w zamyśleniu.

- Coś w tym jest - przyznał Kiro.

- Bez wątpienia - zgodził się Marco.

- A poza tym ja też mogę się do czegoś przydać, jak tylko będę w lepszej formie.

- To znaczy, jak dostaniesz swoją działkę? - chłodno spytał Armas.

- Ach, zamknij się wreszcie, co ty o mnie wiesz?

Kłótnię przerwał Kiro, który zawołał nagle:

- Cicho bądźcie, Sol nadaje!

Wszyscy odwrócili się w jego stronę, bardzo pragnęli się dowiedzieć, jak potoczyły się losy przyjaciół, których pozostawili w czeskich górach.

8

Ci, którzy pozostali w Czechach, mieli, jak się okazało, twarde orzech do zgryzienia.

Na samym początku Sol poprosiła Rama i Indrę, by z gondoli namierzyli upiornego rycerza.

- Ale tylko po to, żeby się zorientować, gdzie on się znajduje - pouczyła. - Inaczej będzie to jak pościg za zwierzęciem z helikoptera, a więc rzecz zupełnie niedopuszczalna i absolutnie niezgodna z pojęciami honoru całej grupy Poszukiwaczy Przygód.

Ram i Indra nie musieli lecieć daleko. Wprawdzie Talornin próbował się schować, lecz jego łysa czaszka jaśniała wśród krzaków.

- On nie opuścił tej okolicy - donieśli czym prędzej Sol i Sardorowi. - Czai się w pobliżu gondoli Gorama. Prawdopodobnie zaplanował sobie, że ją ukradnie.

- Jeśli myśli tak jak my, to potrzebuje albo niebieskiego szafiru, albo eliksiru Madragów, a najlepiej niczym nie rozcieńczonej jasnej wody, by móc z powrotem stać się Talorninem. Przypuszczam więc, że będzie chciał przedostać się do Królestwa Światła - doszła do wniosku Sol.

- I, jak wiemy, on zna uniwersalny kod, pozwalający mu wejść absolutnie wszędzie - uzupełnił Sardor. - Zamykanie gondoli w niczym więc nie pomoże. Czy mam przestawić pojazd Gorama do sąsiedniej doliny?

Ram rozważał tę kwestię.

- Wtedy Sol straci pomocnika w twojej osobie. Zaczekaj, wylądujemy i pomożemy Sol, a w tym czasie, gdy my będziemy zajmować się Talorninem, ty i Indra zaprowadzicie każde swoją gondolę do bazy w Austrii i natychmiast tu wróćcie, przywożąc innych Strażników, którzy nam pomogą. Przylećcie jedną gondolą, Sardorze. Musimy sprowadzić wszystkie pojazdy do bazy.

Sardor właściwie poczuł ulgę, gdy powierzono mu funkcję pilota. Miał już bardzo złe doświadczenia ze śmiercionośnymi nabojami Talornina. Obiecał, że najpierw zabierze gondolę Gorama.

Indra natomiast była i zła, i wystraszona. Zła dlatego, że nie pozwolono jej uczestniczyć w pościgu, a wystraszona dlatego, że nigdy dotychczas nie prowadziła tak skomplikowanych gondoli. Ta malutka, którą przemieszczała się z miasta do miasta w Królestwie Światła, była dziecinnie prosta w obsłudze w porównaniu z tymi tutaj. Ram jednak najwyraźniej miał o Indrze wysokie mniemanie i to było budujące. W dodatku zapewne chciał odsunąć ją jak najdalej od niebezpieczeństwa. Bardzo się o nią niepokoił. Wiedziała, dlaczego.

Talornin w swojej kryjówce oceniał sytuację. Wydawała się najzupełniej jasna. Na pewno zdoła dotrzeć do zielonej gondoli, zanim ktokolwiek go dostrzeże. Dobrze się schował. Gdyby udało mu się pośląć choćby małą porcję śmiercionośnego gazu w stronę przynajmniej części tych łajdaków, byłoby jeszcze lepiej.

Pewną trudność sprawiało mu rozglądanie się po polanie, przeszkadzało mu w

tym to całe mnóstwo liści. Dostrzegał jednak wrogów między gałęziami. Było ich teraz nie tak znów wielu, czyżby się podzielili? Właściwie widział tylko dwoje.

Nie, jednego. Jednego jedynego?

Leżał cicho i czekał. Gdzie się podziała reszta?

Jak trudno cokolwiek zobaczyć! Cóż za przeklęty las, naprawdę musi być aż taki gęsty? A ponadto nie dało się zaprzeczyć, że wzrok bardzo mu się pogorszył.

Był zdania, że prezentuje się teraz doskonale - uważała tak dusza rycerza z minionych czasów, która w niego wstąpiła - lecz oczywiście o wiele lepiej powrócić do ciała prawdziwego Talornina. Tak byłoby pod każdym względem wygodniej.

Łączyło się to jednak z koniecznością powrotu do Królestwa Światła i zabranie stamtąd niebieskiego szafiru, bo skoro kamień uratował wodnego potwora, zapewne pomoże i jemu. To chyba logiczne.

Talornin nie brał pod uwagę faktu, że pomiędzy nim a wodnym potworem istnieje zasadnicza różnica co do stopnia tkwiącego w nich zła. Niebieski szafir nie zawsze zgadzał się na współpracę. Prawdę powiedziawszy, nie było ani trochę pewne, czy dla Talornina zechce cokolwiek uczynić.

Teraz dawny dowódca Strażników lepiej widział tego, który stał między gondolami.

To Ram, ten okropny waśniak, który sprawił mu w Królestwie Światła tyle kłopotów. Owszem, Ram zawsze posłusznie wykonywał rozkazy zwierzchnika, lecz jego oczy wyrażały co innego. Pogardę, litość... Talornin zacisnął pięści z wściekłości, jaka pojawiła się w nim na to wspomnienie. Litość? W stosunku do głównodowodzącego w Królestwie Światła? Poza tym właśnie przez Rama usunięto go ze stanowiska, a na jego miejsce wyznaczono tego prostaka Farona. Takiego upokorzenia nigdy nie puści w niepamięć.

Nagle Talornin instynktownie schylił głowę. Zielona gondola uniosła się w górę i zaraz potem jeszcze jedna poszła w jej ślady.

Przeklął w duchu. Teraz trudniej mu już będzie dotrzeć do innych gondol, stały za daleko. Zostały dwa albo trzy pojazdy. Czy może tylko jeden? Nie widział tego zbyt dobrze.

Lecz jeśli Ram jest tam tylko w pojedynkę, to oznacza, że odleciała ta okropna Sol. To najlepsze, co mogło się stać. Talornin miał teraz wolną rękę, z Ramem poradzi sobie bez najmniejszego trudu, wystarczy jeden mały strzał i koniec z nim. Gdyby tylko zdołał się ustawić pod odpowiednim kątem!

Odłożył torbę z całym sprzętem, by lepiej wycelować.

Ach, jakże nienawidził tych istot! Z nich wszystkich pozostał jedynie Ram, ale zaraz go dopadnie. Tamci zwiedli go, przekradli się po cichu za gondole, wsiedli do nich i odlecieli. Nienawidził ich.

Przeklęty Ram, czy on nie może ustać spokojnie choć przez chwilę? Zniknął mu z oczu, ale nie, znów się pojawił, był teraz znacznie bliżej. To świetnie, będzie mógł...

Co znów? To przecież Sol! Skąd ona się tu wzięła? Czyżby jednak nie odleciała z tamtymi gondolami?

Co ona trzyma w ręku? Talornin poczuł, że aż do szpiku kości przenika go zimny dreszcz. Ach, nie, to niemożliwe!

Podniosła tę rzecz w górę, jakby właśnie jemu chciała ją pokazać, i wybuchnęła śmiechem. Ram także się śmiał.

Talornin odwrócił się gwałtownie i sięgnął ręką po swoją torbę.

Nie było jej tam, gdzie ją zostawił.

Właśnie ją trzymała w ręku Sol!

Torba! Płacz ścisnął go w gardle. Torba ze śmiertelnościami wirusem, z całym zapasem amunicji, ze wszystkimi tymi maleńkimi ampułkami, zawierającymi gaz, którego celem było zabijać. Pistolet wprawdzie trzymał w ręku i zostało w nim jeszcze kilka naboju, lecz niezbyt wiele. Jeden, dwa, trzy, cztery. To już wszystko. Ale jak mogło do tego dojść?

O, wiedział o tym aż za dobrze. Ram odwrócił jego uwagę, stał tam, pozwalając do siebie mierzyć, ale przez cały czas się poruszał, uniemożliwiając mu oddanie celnego strzału z takiej odległości.

A w tym czasie Sol, ta przeklęta wiedźma z rodu Ludzi Lodu, będąca

jednocześnie człowiekiem i duchem, stała się niewidzialna i mogła bez najmniejszego problemu podejść do niego i zabrać torbę, którą tak bezmyślnie odłożył.

Co za cios! Jakież upokorzenie!

Ale wciąż miał w ręku pewien atut. Uwięził wszak tamtych dwoje, a ich, doprawdy, nie tak łatwo będzie odnaleźć. O, nie! Ci wstrętnei Poszukiwacze Przygód mogą sobie jeszcze snuć płonne nadzieje.

Da znać, żeby więźniów natychmiast zgładzano. Taka będzie, kara za kradzież popełnioną przez Sol.

Podniósł się z zarośli i natychmiast im to wykrzyczał.

- Ach, tak? - odparł Ram. - A w jaki sposób zamierzasz o tym powiadomić?

Do diaska, przecież oni zerwali wszelką łączność!

- Mam swoje sposoby - odrzyknął tym głuchym, przytłumionym głosem, którym mówił, odkąd przybrał postać rycerza.

Sol zawołała kpiąco:

- A gdzie masz te swoje sposoby, Talorninie? W tych swoich ciasnych portkach? Przekłete babsko! Miała rację, pozbawiła go wszelkich możliwości, odebrała wszystko, co nosił w torbie.

Znów przykucnął, mając poczucie, że akurat to niewiele mu pomoże. Przekłeta czarownica mogła w każdej chwili pojawić się za jego plecami, choć właśnie w tej chwili stała na polanie razem z Ramem.

Przez głowę przemknęła mu pocieszająca myśl: wciąż jeszcze zna uniwersalny kod.

Przechowywał go przecież we własnym mózgu.

Talornin zorientował się, że ma teraz podzieloną osobowość. „Rycerz” z VI wieku nie grzeszył rozumem i popełniał kolosalne głupstwa, był także na wskroś zły.

Natomiast pół - Obcy Talornin wciąż był istotą szlachetną, tak przynajmniej o sobie myślał, chociaż aureola wokół jego głowy zaczynała już ciemnieć, to musiał przyznać. W każdym razie potrafił jeszcze logicznie myśleć.

I podczas gdy oni tam stali, na tyle osłonięci, by jego pociski nie mogły do nich dotrzeć, Talornin usiłował zrozumieć, jak mogło do tego wszystkiego dojść.

Przecież on odpowiadał kiedyś za całe Królestwo Światła, był sławny i otaczano go szacunkiem!

To wszystko musiało się wziąć z jego słabości do matki Lenore. Obiecał jej, że pomoże Lenore wspiąć się na wyżyny i zapewni małżeństwo ze wznoszącą się gwiazdą, Ramem.

Od tamtej pory Lenore zaczęła go wykorzystywać. Tak, oczarowała go jej uroda. Lecz uroda nie zawsze oznacza tego samego co dobroć. Cóż, tym akurat nie bardzo się przejął. Przeciwnie, chodzenie na skróty uważał za doskonały sposób osiągnięcia zwycięstwa.

Teraz nie był już tego tak do końca pewien, wszystkie te skróty zaprowadziły i jego, i Lenore wprost na zatracenie.

Ale wielki Talornin nie został jeszcze pokonany. Ach, gdyby tylko mógł wypłatać się z tej przykrej sytuacji. Doprawdy, bardzo kłopotliwej. Czajenie się w krzakach, jakież to niegodne przywódcy Królestwa Światła!

Co? Co oni teraz robią?

Ram rozmawia z kimś przez telefon. Ale przecież to niemożliwe, skoro wszelka łączność została odcięta!

A może oni jednak mogą porozumiewać się między sobą?

Talornin wprost pienieł się z wściekłości. Że też musi narażać się na coś podobnego! Nie zasłużył na to. On, twórca szeroko zakrojonego planu jednoczesnego podbicia trzech światów: Ziemi, Bliźniaczej Planety i Królestwa Światła, nie powinien być zmuszony do zmagania się z takimi głupstwami. To nie jego rolą jest samotnie walczyć z wrogiem gdzieś w jakimś lesie w Europie, na prawdziwym pustkowiu, bez jakichkolwiek środków. On powinien odnosić triumfy w wielkim mieście, ubóstwiany przez ludzi...

Nie, ubóstwiany to niewłaściwe słowo. Budzący przerażenie!

Talornin podniósł głowę. Tak, wszyscy będą się go bać!

Jakież to cudowne uczucie.

I nagle... przez głowę przemknęła mu myśl, co powinien teraz zrobić.

- I jak? - spytała Sol, gdy Ram zakończył rozmowę. - Co powiedziała Indra?

- Startują już z bazy. Ale trochę czasu upłynie, zanim tu dotrą. Indra, Sardor i dwaj Strażnicy, Zinnabar i Algol. Ustaliliśmy, że wszyscy powinni się tu zjawić.

- Zinnabar i Algol? To oni towarzyszyli Jaskariemu i Joriemu, prawda? Na początku w Ameryce Południowej, a później w norweskim hotelu wysokogórskim?

- Wszystko się zgadza. Są więc zahartowani, i wiedzą, o co chodzi.

- Doskonale, to się może przydać.

Nagle Sol zmarszczyła czoło.

- Ram... Gdzie podział się Talornin?

Ram popatrzył w kierunku zarośli.

- Z pewnością już go tutaj nie ma. Chodź!

A Talornin wykonał sztuczkę, którą posługiwali się Obcy, a która i jemu jako pół - Obcemu również niekiedy się udawała. Powinien był pomyśleć o tym już wcześniej, lecz umysł rycerza sparaliżował jego zdolność rozumowania. Musi czym prędzej pozbyć się duszy tego wojaka. Owszem, tkwiące w nim zło mogło się przydać, lecz głupota? O, nie, co to, to nie.

Podczas gdy para na polanie zajęta była rozmową z Indrą, Talornin z pewnym wysiłkiem zdołał przeniknąć do umysłów swych przeciwników i zatrzymać ich na krótką chwilę. Trwało to dostatecznie długo, by nie zdołali zauważyć, jak się przemieszcza.

Jego plan polegał na tym, by podkraść się do jednej z gondoli, ale ci przekłeci idioci zbyt szybko zauważyli jego nieobecność. Nadbiegli czym prędzej.

Ba! Gdyby zrobili tylko to, być może zdążyłby wprowadzić plan w życie. Oni jednak najwyraźniej go przejeździ. Odcięli mu drogę do polany, na której parkowały gondole, i teraz zresztą już go widzieli.

Talornin miał jednak nad nimi sporą przewagę. Pozostawało mu teraz tylko jedno

wyjście. Musi uciekać dalej w stronę doliny. Z miejsca, w którym się obecnie znajdował, prowadziła tam płytka rozpadlina.

Biegł na dół ile sił w nogach, chwilami nawet zbyt szybko, bo ślizgał się na wilgotnych sosnowych szpilkach i zjeżdżał w dół siłą ciężenia. Raz po raz leciał na łeb na szyję, ciasna skórzana zbroja cała aż trzeszczała, ale nie chciała ustąpić. Wydawało mu się, że wszędzie ma już odciski. Przewagę jednak jako tako udawało mu się zachować.

Sol przeklinała nierówny teren, depcząc po piętach Ramowi. Wystające gałązki drapały ją po rękach i nogach, gałęzie jakby rozzłoszczone uderzały po twarzy, bo Ram nie miał czasu na żadne uprzejmości.

Doskonale wiedziała, że mogłaby przybrać swoją postać ducha i w ten sposób zniknąć Talorninowi z oczu, chciała jednak być razem z Ramem. Po pierwsze, z szacunku dla niego, pod drugie zaś, ze względu na siebie samą. Talornin był odrażający, wstrętny, gdy patrzyło się na niego z bliska, tego już doświadczyła. Nie знаła jednak jego wszystkich możliwości, odkąd w tak straszny sposób się odmienił.

Ale niedługo już go dogonią...

I wtedy oboje niemal jednocześnie poślizgnęli się na zdradzieckim dywanie z gładkich, długich szpilek. Sol próbowała sobie pomóc, czepiając się czegokolwiek rękami, lecz sprawiło jej to tylko ból. Dalej leciała w dół, gdyż akurat w tym miejscu było stosunkowo stromo i rosły strzeliste sosny, sypiąc dookoła śliskimi igłami chyba od stuleci.

A potem stało się to, do czego za wszelką cenę nie należało dopuścić. Bezradnie zjeżdżając w dół, na moment przestali uważać na poczynania wroga, i Talornin zniknął im z oczu. Zdażył jeszcze tylko wystrzelić do Rama.

Jeden ze śmiercionośnych pocisków trafił najwyższego dowódcę Strażników.

Sol uderzyła w krzyk. Słyszała, że Talornin dalej pędzi w dół w oszalałym tempie, lecz musiała pozwolić mu odejść. Uklękła tuż przy Ramie.

- Ach, Marco, Marco! Powinniśmy mieć tu teraz Marca!

Ram popatrzył na nią czarnymi oczyma, ledwie mógł mówić.

- Indra... Pozdrów Indrę i powiedz jej, że ja...

- Wiem, Ramie, powiem jej wszystko. Ale tak cię proszę, zostań tu ze mną, nie możesz... Na miłość boską, co ja mam robić?

Sięgnęła po telefon i wezwała Kira. Kiro był daleko w Azji, ach, dlaczego nie tutaj!

- Sol - szepnął Ram. - Sol, to bardzo ważne. Czy ty i Kiro zajmiecie się...

- Tak, tak, zajmiemy się Indrą.

Ram usiłował powiedzieć coś jeszcze, lecz Sol usłyszała zaledwie końcówkę.

- ... tyle im dać. Całe morze miłości.

- Kiro - jęknęła Sol w telefon. - Kiro, do diabła, odpowiadaj!

Las wznosił się wokół niej milczący, Ram nie mógł już dłużej mówić, oczy miał zamknięte. Talornin odszedł daleko, ale wreszcie w aparacie rozległ się ukochany głos Kira.

9

Stali skupieni wokół Kira, żeby lepiej słyszeć, zarówno Faron, Armas, jak i niechętna Lisa, Marco, Gia i Nim. Lenore siedziała na progu pagody, skuta, cały czas pod obserwacją. Udawała ani trochę nie zainteresowaną tym, co się dzieje, ale w rzeczywistości wyteżęła słuch.

W dole miasto Guilin tętniło gorączkowym życiem o tych wczesnoporannych godzinach, ale ich w tej wieży z kości słoniowej czy też raczej z wapienia to nie obchodziło.

Sol przedstawiła katastrofalną sytuację, jaka zapanowała w czeskich górach, i Marco zaraz włączył się do rozmowy:

- Sol, słuchaj mnie, wszystko będzie dobrze! Przeszukasz najpierw torbę

Talornina, sprawdzisz, czy nie ma tam jakiegoś antidotum. Powinien mieć coś takiego, bo przecież sami mogli zostać trafieni gazem. Tylko pamiętaj, nie ryzykuj, musisz być absolutnie pewna. Talornin to szczywany lis, może mieć wiele dziwnych rzeczy w tych swoich pudełkach i tubkach. Ja zaraz wsiadam do Maszyny Śmierci razem z Kirem, a Indra i Strażnicy już niedługo powinni wrócić do ciebie z bazy.

Że cię nie znajdą? Będziesz musiała krzyżeć. Wydaj z siebie prawdziwie czarnoksięski okrzyk, słyszałem już, na co cię stać. Wszystko na pewno się ułoży. Nie, inni zostaną tutaj, bo to stąd musimy lecieć w górę.

- W górę? - rozległ się zdumiony głos Sol.

- Później do tego wrócimy, najpierw Ram. Ram i Lisa.

Dodał jeszcze pospieszne „do zobaczenia”.

Armas popatrzył na niego z ostrożną nadzieją.

- Lisa?

- Tak, ona poleci z nami. Mogę się nią zająć podczas podróży. Wiem, wiem, Faronie, powinniśmy już startować, ale nie możemy przecież zostawić Rama własnemu losowi.

- Oczywiście, do tego nie wolno dopuścić - przyznał szczerze zmartwiony Faron. Ale dłonie drżały mu ze zdenerwowania. Niedawno przecież usłyszeli głos Dolga, brzmiała w nim prawdziwa desperacja: „Pospieszcie się, pospieszcie, bo czas ucieka”.

Faron na próżno usiłował walczyć ze ściśniętym gardłem, nie chciało się rozluźnić.

Sol, popłakując, gorączkowo przeszukiwała doskonale wyposażoną torbę Talornina. Pomimo jednak niecierpliwego pośpiechu, miała dość rozumu, by bardzo ostrożnie brać do ręki to, co wyglądało na niebezpieczne. Ampułki z trucizną, rozmaite słoiki i buteleczki. Któraś z nich mogła wszak zawierać kulturę wirusa.

Zirytowana burczała pod nosem, układając w rzędki na ziemi rzeczy wyciągnięte z torby.

- Maszynka do golenia, na co mu ona? Przecież on nie ma ani jednego włoska na brodzie. Plaster? O, tyle nie wystarczy, żeby owinać to twoje paskudne truchło. Ampułki, i znów ampułki, czy ty je kolekcjonujesz? To niebezpieczne rzeczy, mój drogi! Ach, doprawdy, Talorninie, jak można wkładać brudne majtki luzem do

torby? Fuj! Muszą tak leżeć już od pewnego czasu, nie mogłeś mieć z nich żadnego pożytku jako zasznurowany w gorsecie pan zamku, który błądzi po bezdrożach. Jakieś urządzenia techniczne, nie mam o nich zielonego pojęcia...

Ach, Ramie, nie umieraj, oddychaj! Oddychaj, do stu diabłów! O, tak, tak już lepiej, wytrzymaj jeszcze trochę. Niedługo przybędzie Marco!

Taką przynajmniej mam nadzieję. Jak zdołam wśród całego tego bałaganu znaleźć antidotum na truciznę? Przecież ja nawet nie potrafię przeczytać tych liter, to język Obcych. A jeśli zaaplikuję mu coś niewłaściwego?

Strzykawki, ich nie mam odwagi dotykać. Och, niechże wreszcie ktoś się zjawi!

Morze miłości, tak powiedział Ram. Ależ czyż większość przyjaciół z ich kręgu nie żyła właśnie w takich warunkach? Sol czuła, że otacza ją bezmiar miłości Kira.

Ram i Indra wprost ubóstwiali się nawzajem, Jori i Sassa żyli tylko dla siebie, a także Jaskari znalazł wreszcie swą Alteę i ofiarował jej miłość, która tak długo w nim narastała. Oko Nocy sprawiał wrażenie szczęśliwego w małżeństwie, Elena i Misza nie odrywali od siebie oczu, Tsi - Tsungga wprost bezwstydnie rozpieszczał Siskę, a ona dla niego gotowa była na wszystko. Miranda i Gondagil wycofali się z działań grupy, żeby przez cały czas móc być razem. Podobnie Oriana z Thomasem i Paula z Helgem.

Torba Talornina była pusta. Sol podniosła wzrok.

Zaledwie kilkoro przyjaciół nie trafiło do tego morza miłości.

Marco, skazany na wieczną samotność. Dolg, on już zrezygnował z poszukiwań.

Berengaria, wiecznie poszukująca. I Armas, który zawsze pudłował, dokonując niewłaściwych wyborów. On i Berengaria jechali na tym samym wózku. Dlaczego nie mogli się zejść?

No i jeszcze Faron, ale on się nie liczy. Podobnie jak towarzyszący mu teraz czterej Strażnicy. Zresztą być może któryś z nich był już żonaty, Sol bardzo mało wiedziała o ich życiu osobistym. Sardor, Nim, Algol i Zinnabar, porządne chłopcy, wszyscy jak jeden mąż, lecz pod tym względem się nie liczą.

Ale dlaczego nikt się nie pojawia? Przecież Ram umiera!

Maszyna Śmierci na pełnym gazie sunęła ku Czechom.

Lisa czuła się zniewolona strachem, który zdawał się naciskać na nią ze wszystkich stron, jednocześnie zaś groził, że rozerwie ją na kawałki od środka.

Nie była w stanie myśleć jasno, jakiś głos przemawiał do niej, lecz w głowie grzmiało tak potężnie, że głos nie był w stanie przekrzyknąć gromów, docierał do niej jedynie pod postacią nieartykułowanego szumu wśród nieustannego huku maszynowni.

Oczy, takie piękne i zdecydowane... Przetarła własne, by lepiej widzieć. Twarz jak ze snu o szlachetnych świętych albo mrocznych aniołach. Nieziemska. Wargi o idealnym kształcie, to one mówiły. Do niej: Nie słyszała, jakie słowa wypowiadają, a bardzo chciała usłyszeć. Zaczęła krzyczeć i na oślep wymierzać ciosy.

Armas też był blisko, przytrzymał ją za rękę.

On jest silny!

Marco, tak ma na imię ten, który teraz mówi. Widziała go już od dawna, przyciągnął jej wzrok. Był jakiś taki nieprawdopodobny, nierzeczywisty.

Znów wsiedli do tego niesamowitego, mknącego ze świstem pojazdu.

Nie było z nimi tej strasznej kobiety o wygłodniałych oczach modliszki, dzięki Bogu. Och, chyba kogoś ugryzłam! Przepraszam, nie jestem już dłużej w stanie zapanować nad swoimi nerwami.

Jestem tu chyba tylko ja i ten Armas, boski Marco i jeszcze jeden, ten, który pilotuje samolot. Kiro? Tak, Kiro.

Reszta została.

Och, chyba mogę myśleć jaśniej. To dziwne.

„Przypilnuj Gii w moim imieniu”, tak powiedział Marco. Chodziło mu o tę drobną istotkę, która mówiła tak prędko i tak dużo. Nim miał pilnować tej okropnej kobiety - kocicy. Nosiła imię Eleonora czy jakieś podobne.

Taka jestem zmęczona, co ten Marco mówi?

Dlaczego Armas jest z nami?

Pewnie po to, żeby mnie przytrzymywać, tak przypuszczam. Jakie to okropne! To jego ugryzłam. Poznaje to po jego minie, tak groźnie marszczy brwi. Och! Widzę już teraz o wiele lepiej.

I słyszę lepiej, ten hałas w głowie trochę chyba ścichł.

Lisa miała wrażenie, że jej ciało z wolna jakby opada na siedzenia, na których leżała. Opuszczało się coraz niżej i niżej, w jakiś cudowny spokój.

Przestała się już bać!

Strach z niej spłynął, zniknął gdzieś, i ten z zewnątrz, i ten ze środka.

Czuła, że zaraz wybuchnie płaczem.

- Płacz, Liso! - odezwał się ten życzliwy ciemny głos, po którym natychmiast rozpoznała Marca. Skąd mógł wiedzieć, że zaraz popłyną jej łzy?

Ale kiedy wybuchnęła przeraźliwym szlochem, wcale nie Marco, tylko Armas mocno ją przytulił.

I Lisa nie czuła już żadnej tęsknoty za narkotykami, to było ze wszystkiego najdziwniejsze.

- Tak, jesteś od nich wolna - oświadczył Marco, który, jak się wydawało, potrafił odczytać każdą jej myśl. - Wolna, by móc wypełnić życzenie twej prapraprababki Libuszy i przyczynić się do stworzenia lepszego świata.

Uśmiechnął się.

- Ale wystarczy, jak zajmiesz się swoim krajem. Albo choćby maleńką jego częścią, tą, gdzie mieszkasz.

I nagle Lisa już wiedziała, czego chce.

- Czy nie mogłabym jechać z wami? Przecież wy bardziej pomagacie światu niż ktokolwiek inny! Tak bardzo pragnę zostać jedną z was, czy będzie mi wolno?

Wysoki Marco stanął przy niej.

- Na razie nie możemy na to odpowiedzieć, Liso. Czekają nas potwornie trudne zadania, a ty nie możesz nam w nich przeszkadzać.

- Nie będę - zapewniła czym prędzej.

- To dobrze. Zobaczymy, do czego się nadasz. Ale najpierw musimy wrócić do

twojej ojczyzny.

Talornin, ogarnięty dzikim szałem, usiłował odciąć skórzaną zbroję od ciała. Ona jednak wydawała się zrobiona z twardej gumy. Nóż się po niej ślizgał, Talornin spróbował więc palcami uchwycić skórzaną plecionkę i rozerwać ją samą tylko siłą mięśni, lecz nic nie pomagało. Zbroja tkwiła na nim jak ulana, dosłownie. Wiedział doskonale: zbroja stanowiła część tej potwornej całości, tego upiora, w którego się zmienił. On jednak, wciąż żywy, znajdował się gdzieś w jej wnętrzu, choć nie dawało się go dostrzec.

Rycerz z minionych dziejów czuł się świetnie, przepelniała go żądza niszczenia. Talornin był bezradny, wiedział, że jego własna zła strona zyskała teraz przewagę, udzieliły mu się intencje rycerza, stał się o wiele bardziej zły, aniżeli kiedykolwiek naprawdę był.

Znajdował się teraz w dole na równinie, dotarł do niedużego miasteczka.

Właściwie okazało się wcale nie takie znów małe, stała tu nawet jakaś fabryka i była też główna ulica., w którą Talornin teraz skręcił.

Mój ty świecie, dlaczego oni tak krzyczą, pomyślał. Tchórzliwe gady! Naprawdę jest o co tak wrzeszczeć? Rozbiegają się jak gdaczące kury, uciekające przed wozami zmierzającymi na prerię, widziałem to w tysiącach westernów.

Prychnął ze złością. Przecież prezentował się wspaniale, nieprawdaż? Owszem, włosów i skóry trochę mu ubyło po tak wielu stuleciach, ale dzięki temu wygląda przecież jeszcze lepiej. Wystarczy tylko spojrzeć na kości ręki, tak właśnie powinna się prezentować zgrabna dłoń, a nie jak u przekarmionych ludzi, którzy pod skórą mają mięso, to doprawdy ohydne!

Wyszczrzył wszystkie zęby, duże, mocne zęby. I nawet jeśli brakowało mu paru w dolnej szczęce, to co z tego? I jeśli z jego nosa zostały jedynie dwie dziurki, to doprawdy, czy to powód, żeby mdleć?

Jakiś mężczyzna w czarnym płaszczu z fioletowym kołnierzem zbliżył się do niego, niosąc przed sobą krzyż. Talornin złapał go za rękę i wyrzucił go w

powietrze tak, że człowiek ten wylądował w fontannie. Czy ktoś jeszcze się odważy?

Ulica opustoszała.

Tkwiącego w Talorninie rycerza ogarnęła teraz żądza zemsty. Gdzież oni się wszyscy pochowali? Wydał z siebie głuchy ryk, który echem poniósł się między domami.

Gdzie wszyscy ci nędznicy?

Gruchnął jakiś strzał, jakaś kula odbiła się od skórzanego napierśnika. No cóż, to znaczy, że zbroja mimo wszystko do czegoś się nadaje, pomyślał Talornin, uśmiechając się drwiąco.

Musiał jednak pozbyć się zbroi, robiły mu się od niej odciski. Zresztą lepiej pozbyć się całej tej upiornej postaci, na dłuższą metę jest zbyt kłopotliwa. Lepiej na powrót stać się Talorninem. W każdym razie z wyglądu, bo jeśli chodzi o duszę bezwzględny rycerz, to chętnie ją zachowa.

Kim zresztą mógł być ten, który dzielił ciało z nim, wielkim Talorninem? Nie przypuszczał, by był to prawdziwy rycerz, raczej jakiś zły pan zamczyska albo może zbrodniarz z jego drużyny? Ktoś, kto popełnił czyn tak haniebnym, że za karę został upiorem, a napotkawszy niezwykłą osobę, Talornina, postanowił przyjąć go w siebie.

Szkoda tylko, że zbroja jest trochę za mała.

Nagle Talornin dostrzegł coś, co kazało mu się zatrzymać. Czy on dobrze widzi?

Czy też tylko coś mu się marzy?

Nie, to naprawdę lotnisko! Wprawdzie nieduże, lecz na ziemi stały dwa samoloty.

Poszukiwacze Przygód mogli zachować swoje gondole dla siebie. On sobie poradzi bez nich. Po tylu latach spędzonych w Królestwie Światła znalazł rozlokowanie większości baz rakietowych tu, na Ziemi.

A najbliższa? Czy nie znajduje się przypadkiem w Austrii? W małym górskim jeziorze? Na pewno teraz, gdy tak wielu tych idiotów wyprawiało się na powierzchnię Ziemi, chcąc ją niby to ulepszyć, czeka tam jakaś rakietka.

Bez żadnych kolejnych przeszkód Talornin na sztywnych nogach ruszył ku lotnisku.

10

Indra i Strażnicy przybyli pierwsi. Byli o wszystkim poinformowani, bo Sol utrzymywała z nimi łączność. Trochę kłopotów sprawiło jej określenie miejsca, w którym się znajduje, gdyż marny stąd miała widok na okolicę, lecz właściwie odnalezienie jej nie sprawiło im większych problemów. Nie było tu znów aż tyle miejsc, z których można się było ześlizgnąć.

Indrę na widok Rama przeniknął chłodny spokój. Ludzie w podobnych sytuacjach reagują bardzo różnie, jedni wpadają w histerię, inni, tak jak właśnie Indra, zaczynają działać skutecznie. Starają się wyłączyć wszystkie uczucia i oceniają, co jeszcze da się zrobić.

- Czy któryś z was może przeczytać, co napisano na tych buteleczkach i pudełkach? - spytała natychmiast trzech Strażników.

Zinnabar mógł to zrobić. Jego matka wywodziła się z Obcych i to właśnie ona nauczyła go tajemnych znaków.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Zinnabar czym prędzej odsunął na bok pojemniczki z nieistotną zawartością.

- Talornin albo cierpi na kłopoty z prostatą, albo też ma hemoroidy - zauważył cierpko po chwili.

Sol zdusiła chichot. Gdy pojawili się sprzymierzeńcy, miała wrażenie, jakby z jej barków zdjęto ogromny ciężar.

Wszyscy widzieli, że Ram znajduje się w stanie krytycznym. Sol nagle zorientowała się, jak bardzo sama jest przejęta. Aż nazbyt jasne było, w jaki sposób to wszystko może się skończyć.

- Tu jest ampułka z wirusem - poinformował Zinnabar z napięciem w głosie. - Nie zbliżajcie się do niej!

Algol z największą ostrożnością spakował niebezpieczny pojemnik do niewielkiego pudełeczka. Upřednio wyłożył je miękkim mchem, żeby uchronić

zawartość od wstrząsów.

- Nie ma żadnego antidotum? - dopytywała się Sol. - Ja już szukałam, ale bałam się cokolwiek ruszać.

- Na razie jeszcze nic takiego nie znalazłem - odparł Zinnabar, nie podnosząc głowy.

Indra wpatrywała się w nieruchome ciało Rama i bała się cokolwiek myśleć.

- Sardorze, dowiedz się, jak daleko zdążył już dolecieć Marco wraz z innymi - poprosiła.

Strażnik odszedł kawalek i wezwał przyjaciół.

Indra uścisnęła Sol za rękę.

- Całe szczęście, że tu byłeś - szepnęła. - Inaczej nigdy byśmy go nie znaleźli.

Wrócił Sardor.

- Już niedługo przylecą.

- Dzięki dobrym mocom - rozległy się szepty.

Na chwilę ich uwagę przyciągnął jakiś niewielki samolocik. Kołyszącym lotem przemknął między koronami drzew, zanim niezdarnie wzbił się wysoko w niebo.

- Jakiś początkujący - uśmiechnął się Algol z cierpką miną.

Zinnabar wreszcie podniósł głowę.

- Nie, nie znalazłem żadnego antidotum. Są tu wprawdzie dwie buteleczki oznaczone zupełnie obcymi mi nazwami, lecz chyba nie możemy ryzykować.

- Oczywiście, że nie - przytaknęła mu Indra. - Ten szalenciec Talornin mógł zabrać ze sobą cały magazyn najstraszniejszych trucizn. Raczej chyba poczekamy.

Kłęcząca, tuląc do siebie ciało Rama.

- A co ze sztucznym oddychaniem? Mam spróbować?

- Już za późno - odparł Zinnabar. - Jemu przydałyby się elektrowstrząsy, ale nie mamy ze sobą takiej aparatury. Przypuszczam zresztą, że nawet to by nie pomogło.

Zapadła cisza. Potężna leśna cisza. I śmiertelna, dodał w myślach Algol, lecz nie śmiał wypowiedzieć tego na głos.

Czas płynął. Robili dla Rama, co tylko było w ich mocy, lecz co właściwie mogli zrobić?

Nagle Sardor zauważył nieśmiało:

- Czy to przypadkiem nie jest cień Maszyny i Śmierci?

Poderwali się z miejsca. Sardor pobiegł w górę zbocza, by wskazać drogę nowo przybyłym.

Marco natychmiast przystąpił do ratowania Rama, a wszyscy inni odsunęli się na bok. Indra nie mogła się przemóc, by spytać, czy Ram przekroczył już granicę, która czyniła go niedostępnym, nie podlegającym żadnemu ratunkowi. Nikt inny też się na to nie odważył. Ram był taki ważny, tak niezmiernie istotny dla całego Królestwa Światła, niezastąpiony. I wcale nie tylko dla Indry.

A ona patrzyła na jego bladą lemuryjską twarz o idealnym kształcie, na zamknięte oczy i czuła, jak bardzo go kocha. Sol przekazała jej jego ostatnie słowa o morzu miłości, a ona, słysząc to, uśmiechnęła się tajemniczo do siebie.

Jako jedyna została teraz razem z Markiem, za nic bowiem nie chciała opuszczać Rama.

Jego czarne włosy opadły jej na rękę, trzymała go wciąż w objęciach, podczas gdy Marco przykładał mu dłonie do piersi. Indrze zdrętwiało ramię i kiedy w końcu zaczęło niekontrolowanie drgać, podszedł Kiro, by ją zastąpić. Ostrożnie zamienili się na miejsca, tak by Indra mogła wreszcie rozprostować członki, tkwiła wszak przy Ramie w tej samej pozycji, odkąd tu przybyła.

W lesie panowała taka niezwykła cisza. Indra rozejrzała się dokoła, popatrzyła na przyjaciół.

Aż sześciu Strażników, pomyślała zdumiona. Zgromadziło się tu aż sześciu Strażników: Kiro, Sardor, Zinnabar, Algol i Armas. No i Ram, ich przywódca. I jeszcze niczym z nimi nie związana Lisa.

A gdzie się podzieli prawdziwi Poszukiwacze Przygód? No tak, Armas wywodzi się z naszej grupy, lecz poza nim z dawnego trzonu pozostali tylko Marco, Sol i ja.

No i oczywiście Ram, ale on... on...

Nie miała siły, żeby pomyśleć o tym do końca.

Wreszcie Armas odważył się spytać:

- Jak idzie, Marco?

Minęła chwila, nim książkę podniósł głowę.

- Nie wiem, Armasie. On jest bardzo daleko. Indra nie śmiała nawet oddychać.

- Zbyt daleko?

Czy ty nie możesz milczeć, Armasie, pomyślała zrozpaczona. Naprawdę musiałeś zadać to pytanie?

Nieszczęsna Lisa, cała drżąca, stała u boku Armasa z rękami skrzyżowanymi na piersi i głową wtuloną w ramiona, jak gdyby marzła. Zrozumiała, że oto jest świadkiem czegoś niepojętego.

A miało być jeszcze straszniej.

- Indro - odezwał się wreszcie Marco głosem pełnym napięcia. - Nic więcej nie mogę już dla niego zrobić.

- Możesz - odparła Indra spokojnie, wkroczywszy w pierwszą fazę żaloby, czyli zaprzeczenie. - Na pewno możesz.

Marco odetchnął głęboko i wstał.

- Bardzo mi przykro, on odszedł. Opuścił nas.

- Och, nie! - upierała się Indra, cały czas z taką samą niezmaconą pewnością jak przedtem. - Na pewno nie! To niemożliwe! To nie może być prawda! Ja to wiem, wiem z całą pewnością, tak nie może być.

Sol miała oczy pełne łez, Armas także walczył z płaczem. Strażnicy stali jak sparaliżowani, niezdolni do działania, ale Indra nie ustępowała. Jej głos brzmiał wyraźnie i dźwięcznie.

- Spróbuj jeszcze raz, Marco! Wiem, że potrafisz!

Książkę przyjrzał jej się badawczo, wzrok miał taki dziwnie nieobecny.

- Co się stało, Marco? O czym myślisz?

Indra była sztywna, jakby pozbawiona uczuć, i taka zimna, strasznie zimna.

Marco ujął ją za ręce, okazały się lodowate.

- Ja już mu nie mogę pomóc, ale...

- Tak?

Zwlekał.

- Jestem teraz na powierzchni Ziemi, a pamiętam...

- Mów dalej!

Kiro wciąż trzymał w ramionach bezwładne ciało Rama. Wszyscy inni milczeli, wstrzymywali oddech.

- Co takiego pamiętasz, Marco? - cicho spytała Sol.

- Iana Morahana.

- To był mąż Tovy - powiedziała Indra.

- Tak, miał kompletnie zniszczone płuca. W Trollheimen jego życie się już kończyło, nie mogłem go uratować, ale...

Indra ścisnęła dłonie Marca.

- Ale otrzymałeś pomoc. Pamiętam już, czytałam o tym. Ach, zrób to, Marco! Zrób! Nie wiesz, jakie to strasznie ważne!

- Owszem, wiem - uśmiechnął się ze smutkiem. - Ale minęło już tyle czasu, nie jestem pewien, czy to możliwe.

- Spróbuj! Tak cię proszę, spróbuj!

- Nie wiem, czy zostanę zaakceptowany, przecież ja to wszystko opuściłem.

Armas, który nie należał do Ludzi Lodu, nie bardzo mógł pojąć tę rozmowę.

Rozumieli się jedynie Indra, Marco i Sol.

- Marco, błagam cię!

- Wiem, Indro. Wiem już teraz, czym jest miłość.

Nigdy jeszcze nie widział takiej prośby w tak spokojnych oczach. Rozumieli się.

Ona wiedziała. To on musiał podjąć tę decyzję.

- Odsuńcie się więc! - powiedział. - Odsuńcie się daleko!

Indra odeszła, tak samo Sol. Ona dobrze wiedziała, w czym rzecz, i nerwy miała napięte jak struny skrzypiec.

Kiro ułożył Rama na ziemi i wstał. Wraz z trzema innymi Strażnikami, Sardorem, Algolem i Zinnabarem, także się odsunął. Armas i Lisa natomiast, nic z tego nie rozumiejąc, nie ruszali się z miejsca. Lecz Armas również był Strażnikiem i w końcu zrobił tak jak inni. Lisa poszła bezwolnie za nim.

Ram leżał na ziemi. Marco stanął przy nim i wyciągnął ręce do nieba.

Wypowiedział kilka słów w jakimś prastarym języku, którego nie były w stanie przetłumaczyć nawet aparaciki Madragów.

Nasłuchiwali potem ciszy w lesie. Gdy spadła szpilka z sosny, usłyszeli ją wszyscy.

Lisa złapała Armasa za rękę i nie wypuszczała jej z uścisku, Strażnicy zaszyli się między drzewa. Sol nawet na moment nie spuszczała wzroku z Marca, a Indra patrzyła tylko na leżącego nieruchomo Rama, którego pokochała bardziej niż własne życie.

I nagle wszyscy zdrętwieli. Coś się zbliżało. Przez powietrze poniósł się szum. W końcu padły na nich jakieś dwa cienie.

Marco, drżący, wypuścił powietrze z płuc.

Lisa zamknęła oczy, bała się patrzeć, bo nagle zrobiło się jasno, ta jasność wprost oślepiała. W końcu to Armas kazał jej unieść powieki.

Znajdowali się teraz daleko od Rama. On leżał całkiem sam na przysypanej sosnowymi szpilkami ziemi. Nawet Marco cofnął się odrobinę.

Lisa kilkakrotnie odetchnęła głęboko. Nie chciała wierzyć w to, co widzi.

Wprawdzie przeżyła wiele niesamowitych rzeczy, odkąd Armas zabrał ją z domu, z Pragi, lecz to przechodziło już wszelkie granice. Nie mogła złapać powietrza, myślała nawet, że zaraz straci przytomność.

Przed nimi stały jakieś dwie niesłychanie wysokie postacie, twarzą zwrócone w stronę Marca, który witał je z niezwykłą czcią. Przybysze również pochylili głowy, chcąc okazać mu szacunek. Sol z Indrą padły na kolana, Strażnicy przyklękli na jedno kolano, pochylili głowy. Armas poszedł w ich ślady, a Lisa, nie zdając sobie sprawy, także uklękła, musiała to zrobić odruchowo.

Stali przed nimi dwaj aniołowie, ale byli czarni, czarni niczym krukże skrzydła.

Zaczęła się wreszcie domyślać niezwyklej potęgi Marca.

- Jak dobrze znów was widzieć, przyjaciele - usłyszała jego głos.

- My także się z tego cieszymy, szlachetny książę - odparł jeden z aniołów.

Marco uśmiechnął się lekko.

- Towarzyszyliście mi przez całe moje życie.

- Pamiętamy twoje narodziny, książę Marco - dodał drugi. - Był to dla nas wielki zaszczyt, że mogliśmy pomóc tobie i twemu bratu przyjść na świat.

- A jak się miewa Ulvar? Tęsknię za nim.

- Jest wielką radością dla wszystkich mieszkańców Czarnych Sal twego ojca. Ale wezwaleś nas, książę. Dlaczego?

Marco wyjaśnił, kim jest Ram i ile znaczył dla Królestwa Światła i wszystkich, którzy tam mieszkają.

Aniołowie popatrzyli na Rama.

- On przekroczył granicę i zmierza już poprzez piękne jasne królestwa ku swemu celowi.

- Czy możecie go uratować?

Czarni aniołowie popatrzyli na Marca.

- Chcesz powiedzieć, sprowadzić go z powrotem? Wszystko zależy od tego, czy dusza opuściła ciało. Jeśli stało się tak, to już jest za późno. Śmierć nie wypuści z rąk swojej zdobyczy.

Sol wystąpiła naprzód, ukloniła im się i powiedziała:

- Ludzie Lodu znają bóstwo śmierci, które być może da się przekonać.

Jeden z czarnych aniołów uśmiechnął się życzliwie.

- Masz na myśli Shameę? Ducha przerwane go życia? Złej, nagłej śmierci? O, tak, rzeczywiście to jego domena, lecz niestety w zbyt wyraźny sposób jest duchem Ludzi Lodu.

Drugi spytał życzliwie:

- Ty jesteś Sol z Ludzi Lodu, prawda? Spotkaliśmy się już wcześniej, jeśli nie

gdzie indziej, to przynajmniej w Górze Demonów.

Sol wzruszyła się niemal do łez, że ją zapamiętał.

- Spróbujemy! - zdecydował czarny anioł. - Najpierw musimy wydobyć z niego truciznę. Jeśli ona będzie pozostawać w ciele, na pewno nie da się go uratować.

- To zła trucizna - powiedział pierwszy anioł.

- Zły człowiek - odparła Sol, ustępując im miejsca.

Uklękli po obu stronach Rama. Lisa niezbyt dobrze widziała, co robią, lecz po krótkiej chwili wydało jej się, że dostrzega coś jakby ledwie widoczne kłęby dymu czy też pary, które unoszą się z ciała Rama i rozwiewają w powietrzu. Ale pewnie jej się to tylko przywidziało.

Nie, chyba jednak nie, Marco bowiem, stojący w jej pobliżu, szepnął:

- To trucizna, wypędzają ją z jego ciała.

- Dzięki Bogu - szepnęła Lisa.

- Owszem, ale samo to nie wystarczy, by sprowadzić go z powrotem.

- Wiem, to będzie trudne, prawda?

- Ogromnie.

Umilkli. Lisa ku swemu zdumieniu zorientowała się, że modli się do Boga, a tego nie robiła od chwili, gdy jako pięcioletnia dziewczynka przez jakiś czas mieszkała u babci.

Nie miała pojęcia, czy jej modlitwa w jakikolwiek sposób pomogła, lecz w każdym razie po dość długiej chwili obaj czarni aniołowie podnieśli się i wrócili do Marca. Pozostali również podeszli bliżej, a dwie potężne istoty jakby nie przejmowały się tym, że wszyscy słuchają, co mówią. Indra stała niesamowicie blada i milcząca, niczym prawdziwa świątynia opanowania. Czyżby wciąż miała zablokowane wszelkie uczucia? Tak się wydawało.

Wszyscy zebrali się wokół trzech ciemnych mężczyzn z Czarnych Sal, Marca i dwóch jego nieziemskich przyjaciół.

Zdaniem Lisy ta chwila w lesie była święta, wiedziała, że nigdy, przenigdy jej nie zapomni.

- Uczyniliśmy, co tylko w naszej mocy - oświadczył jeden z czarnych aniołów. - Pobudziliśmy do życia jego organy. Teraz wszystko zależy od tego, czy dusza nie opuściła jeszcze ciała. Jeśli uleciała, to on się nigdy nie obudzi.

Zdaniem Armasa było to dziwne stwierdzenie, czyżby te istoty były zbyt staroświeckie? Przecież obecnie w pielęgniarstwie nie używa się pojęcia duszy. To, o czym oni mówili, można właściwie porównać do śmierci mózgu, serce wciąż bije, płuca funkcjonują, lecz pacjent znajduje się w stanie śpiączki już do końca życia.

Jakież to okrutny los! Już chyba lepiej pozwolić mu umrzeć.

Ale Ram długo żył pod Świętym Słońcem, a czarni aniołowie najwyraźniej doskonale wiedzieli, o czym mówią. Indra bowiem, której uwaga nieustannie skierowana była na Rama, pisnęła nagle.

Popatrzyli na niego.

Zauważyli nieznaczne poruszenie głową. Jedno kolano odrobinę się uniosło.

I wtedy Indra straciła przytomność.

Prędko się ocknęła i natychmiast musiała podejść do Rama, nie mogła się powstrzymać. Wszyscy pozostali otoczyli go teraz, leżącego z głową na kolanach Indry, i słuchali czarnych aniołów.

- A więc się udało? - oświadczył jeden zadowolony, ruchem ręki uciszając ich podziękowania. - Co poza tym słyszać, książę?

Marco westchnął.

- Wciąż mamy wielkie problemy, ale z nimi spróbujemy się sami uporać. Poproszę natomiast o waszą pomoc w tym, co dla nas stanowi problem naprawdę nie do pokonania.

- Mówże więc!

- Być może wiecie, że oczyściliśmy zły charakter ludzi i w ten sposób zapobiegliśmy wojnom, jednocześnie starając się upiększyć ziemię.

Czarni aniołowie przysiedli na dwóch wysokich kamieniach, zrobili to bardzo

ostrożnie, tak by końce ich jedwabistych czarnych skrzydeł nie ubrudziły się o ziemię.

- Owszem, zorientowaliśmy się, to doskonale.

- Wiele jednak pozostaje jeszcze do zrobienia. Ludzkie smutki, troski o innych, tragedie, choroby, wielkie epidemie. Nawet teraz, tutaj, mamy ze sobą flaszeczkę zawierającą kulturę wirusa, który jest w stanie zabić wszystko, co żyje na Ziemi, jeśli tylko się go wypuści. Co mamy z nim zrobić, żeby nikomu nie zaszkodził? Reszta tej kultury znajduje się w Królestwie Światła, a tam znów może wpaść w ręce złej mocy.

- Pokażcie mi to, co macie.

Algol rozpakował wyłożone mchem pudełeczko, do którego schowana była butelka.

Jeden z aniołów położył sobie butelkę na dłoni, przez moment dyskutował o czymś ze swym przyjacielem w tym pradawnym języku, którego nikt nie był w stanie zrozumieć, a potem lekko unióś rękę i na ich oczach flaszeczka rozwiała się w dym.

- Nikomu więcej już nie zaszkodzi.

- Ale gdzie ona się podziała? - pytała zadziwiona Sol. - Wirusa przecież nie da się zniszczyć, on się na pewno unosi w powietrzu!

Czarny anioł z uśmiechem pokręcił głową.

- Kazaliśmy mu wrócić do tamtych czasów, kiedy ludzie, zanieczyszczając Ziemię, nie przyczynili się jeszcze do powstania tego wirusa.

- Świetnie - ucieszył się Armas. - A co z kulturą, która znajduje się w laboratorium Madragów?

- Tym również się zajmiemy, tylko przywieźcie nam ją na Ziemię.

Kiro wezwał Eriona, prosząc go, by natychmiast wykonał rozkaz.

- Wyślij pojemnik do bazy w Austrii - powiedział Kiro. - Tam się spotkamy.

Erion nie krył zdziwienia.

- To niemożliwe. Właśnie otrzymaliśmy stamtąd prośbę o wolną drogę w dół.

- Od kogo? - wykrzyknął Kiro. - Przecież tam nikogo nie ma! Wszystkich Strażników wezwano tutaj. Kto więc wzywał?

- Ram - wyjaśnił Erion zdziwiony.

- Ram leży tutaj, w ciężkim stanie po tym, jak nasz miły Talornin wystrzelił do niego ładunek gazu.

Kiro napotkał spojrzenia przyjaciół. Zapadła pełna zdumienia cisza.

- Ten samolot - przypomniał sobie Sardor. - Ten nieduży ledwie lecący samolocik, który widzieliśmy...

- To Talornin - mruknął Zinnabar. - Wielkie nieba, zostawiliśmy naszą rakietę bez żadnej obsługi, choć oczywiście zamknęta.

- On zna kod do wszystkiego - przypomniał Marco. - Czy mogę porozmawiać z Erionem?

Marco wyjaśnił, jak się sprawy mają, jak strasznie wygląda teraz Talornin i że chociaż Sol odebrała mu większość jego rzeczy, prawdopodobnie wciąż może mieć śmiertelne naboje w swojej broni. Dodał też, że najpewniej będzie się kierował ku domowi Świętych Kamieni, by móc odzyskać swą dawną postać.

- Zatrzymaj go, Erionie! Dla nas jest już za późno, nie zdołamy go dogonić! On nie może dotrzeć do Świątyni Kamieni!

Ale jak zatrzymać upiora?

- Czy on potrafi sterować rakieta? - zastanawiał się Erion.

- Przybył do Królestwa Światła jako pasażer na gapę i tak samo je opuścił, lecz na pewno sobie z tym poradzi. Doskonale wszak zna się na technice.

- Będąc upiorem z szóstego wieku?

- Będąc Talorninem. Funkcjonuje jednocześnie w dwóch postaciach.

- To brzmi naprawdę strasznie. Jak zdołam go zatrzymać?

- No właśnie.

Marcowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Zaczekaj, Erionie! Postaram się tak ustawić system łączności, byśmy mogli rozmawiać z trzech różnych miejsc jednocześnie. Spytamy Dolga.

Ku zdumieniu wszystkich sztuka się powiodła. Głos Dolga dochodził z bardzo daleka.

- Kiedy wreszcie przybędziecie, Marco? Sytuacja jest już naprawdę krytyczna. Nie udaje mi się już uzyskać odpowiedzi od ojca.

Marco jęknął w duchu.

- A co z Berengarią?

- Z nią straciłem kontakt już dawno temu.

- Mamy bardzo poważne opóźnienia, Dolgu. Chodziło o życie Rama. Ale zjawimy się, gdy tylko będziemy mogli. Dolgu, posłuchaj mnie! Talornin znów zmierza do Królestwa Światła, a tym razem...

Usłyszeli, że Dolg cicho się śmieje.

- Kamieniom nic nie grozi. Erionie, przekaż wiadomość, że Shira, Oko Nocy i Villemann, a także specjaliści Strażnicy Kamieni, mają je przenieść do bazy raketowej w Królestwie Światła. Muszą przybyć tam wcześniej niż Talornin. Niech Shira zabierze ze sobą wirusa.

- Zaraz się tym zajmę - obiecał Erion.

Marco jeszcze raz przyrzekł Dolgowi, że na pewno się pospieszą, i na tym rozmowa między nimi trzema się skończyła.

Czarni aniołowie unicestwili wszystkie niebezpieczne trucizny i inne straszne rzeczy, które Talornin miał w swojej torbie. Potem wszyscy szybkim krokiem przeszli na polanę. Sardor, jako najsilniejszy, niósł Rama. Dowódca Strażników wciąż jeszcze był bardzo słaby, ale żył i tylko to miało w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie. Indra nawet na chwilę nie przestawała ścisnąć go za rękę i bliska płaczu z radości czuła, jak ciepło z wolna zaczyna powracać do ciała męża.

- Mówiłeś o epidemiach - odezwał się jeden z czarnych aniołów do Marca. - Czy macie jeszcze jakieś inne problemy?

Marco roześmiał się wymuszenie.

- Cóż, nazwanie strasznych katastrof zaledwie problemami byłoby chyba z naszej strony przesadą w drugą stronę. Oprócz wszystkich tragedii osobistych, na które

nic nie jesteśmy w stanie zaradzić, mamy także sprawę klimatu i groźbę przesunięcia się biegunów. Wiemy też, że ku naszemu systemowi słonecznemu zmierza rój meteorów, i o ile dobrze rozumiemy, w roju tym są formacje tak wielkie, że mogą rozbić w pył całą Ziemię. Poza tym jak zwykle uskok Świętego Andrzeja w Kalifornii znów grozi wywołaniem trzęsienia Ziemi ogromnych rozmiarów. Golfstrom się zwęził, co może doprowadzić do niezwykle surowych zim w uzależnionych od niego krajach. Poza tym mamy jeszcze powódzie, wielki głód w Afryce...

Czarni aniołowie przystanęli. Uśmiechali się, a jeden z nich podniósł rękę.

- Stop, stop, to nam już wystarczy. Do tego niepotrzebna ci nasza pomoc, nikt nie musi się martwić. Głodowi na przykład sami już zdołaliście zapobiec, gdy za pomocą naprawdę doskonałego eliksiru Madragów uczyniliście Ziemię płodną i nauczyliście ludzi dzielić się z innymi. Mieszkańcy Ziemi od tej pory będą do siebie życzliwie nastawieni. A jeśli chodzi o klimat? Ależ, drodzy przyjaciele, przecież on zawsze się zmienia! Przypomnijcie sobie wszystkie epoki lodowcowe, czy bieguny się przesunęły, gdy lodowa tarcza sięgała aż do Morza Czarnego i jeszcze dalej na południe?

- A ten rój meteorów?

- Ominie Ziemię. Być może będziecie mieli okazję podziwiać miriady spadających gwiazd, nie mające sobie równych, to trudno przewidzieć, lecz dla Ziemi ten rój meteorów nie stanowi żadnego zagrożenia. Macie jeszcze jakieś inne zmartwienia?

- Przypuszczam, że skorupa ziemska zawsze pozostaje w ruchu - mruknął Marco.

- Wybuchy wulkanów, tropikalne burze...

- Taka już jej natura, Marco. Tak Ziemia została stworzona i ludzie muszą z tym żyć. Ziemia stanowi część systemu, który jest zbyt wielki, by można było w niego ingerować, ale...

Znów ruszyli, lecz nagle aniołowie ponownie się zatrzymali.

- A jednak ludzie tak zrobili. Czy pamiętacie tych, którzy usiłowali odtworzyć Wielki

Wybuch w laboratorium? Czy to nie było w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym? Tak, właśnie tak. Na szczęście pseudonaukowcom odebrano tę „zabawkę”, bo gdyby udało im się zrealizować pomysł, eksperyment mógł przybrać znacznie poważniejsze rozmiary, niż oni to przewidzieli. Ziemia zmieniłaby się w czarną dziurę we wszechświecie, i to w ułamku sekundy. My, w Czarnych Salach, ogromnie się wówczas niepokoiiliśmy. Słuchający ich zadrżeli z przestrawieniem. Oni także słyszeli o tym eksperymencie. Czarni aniołowie pokonali ostatnie metry dzielące ich od polany.

- Najważniejsze więc, aby ludzie nie igrali z atomami, molekułami, z budową rzeczy. To naprawdę śmiertelnie niebezpieczne.

- O, tak, o tym doskonale wiemy - odezwała się Indra. - Mieszkałam na powierzchni Ziemi, kiedy chorzy na żądze władzy przywódcy poczynali sobie jak najśmieiej.

- Rzeczywiście, mieszkałaś tam wtedy. Cóż, ale teraz już się pożegnamy. Naprawdę miło było spotkać aż tyle istot, pragnących czynić jedynie dobro. Powodzenia w dalszych działaniach! Żegnaj, drogi książę! Zabierzemy jeszcze wirusa od Shiry.

Jasność wokół nich tak się wzmogła, że nikt nic więcej już nie widział. Światło ich oślepiło. Gdy wreszcie wróciło do normy, czarni aniołowie zniknęli.

11

Opuszczali polanę w gorączkowym pośpiechu. Marco wiedział, że statek kosmiczny ma bardzo liczną załogę, pragnął więc zabrać ze sobą wszystkich Strażników. Nie chciał jednak nikogo tu zostawiać. I co zrobić z gondolami? Ach, czyż nigdy już nie rozstaną się z Górami Kruszcowymi?

Propozycja, by Indra, Armas i Ram, który dochodził już do siebie, zabrali każde swoją gondolę do bazy, wraz z Lisą i Sol jako pasażerkami, spotkała się z urażonymi protestami większości i prawdziwą wściekłością Armasa. Dlaczego nigdy nie traktowano go jako pełnowartościowego Strażnika?

No właśnie, dlaczego?

Wreszcie Ram znalazł rozwiązanie. Na pokładzie największej gondoli znajdowała się minigondola, taka jak ta, której Goram, Lilja i Dolg używali niekiedy w Taran - gai. Gdyby tylko udało się przymocować ją do Maszyny Śmierci, zmieściliby się wszyscy.

To dało się zrobić, ale zabrało trochę czasu. Marco bardzo się już denerwował, a w niczym nie poprawił sytuacji Faron, ponaglący ich z Guilin, i Dolg, przebywający nie wiadomo gdzie.

- Liso, ty zapewne wolałabyś zostać w swojej ojczyźnie? - odezwał się życzliwie Kiro. - Możemy cię odstawić do najbliższych zabudowań.

Dziewczyna, słysząc to, szeroko otworzyła usta. Uważała się teraz za jedną z nich, a tymczasem okazało się, że oni chcą się jej pozbyć. Nie zdołała zdusić szlochu rozczarowania, Kiro więc czym prędzej ją zapewnił, że oczywiście 'wolno jej jechać wraz z nimi, lecz wyprawa może okazać się niezwykle ciężka.

- Wydaje mi się, że widziałam już wszystko - odparła cierpko Lisa i po części miała rację.

Armas nie wiedział, co robić. Pomagał w przymocowaniu małej gondoli do Maszyny Śmierci, lecz myślami był zupełnie gdzie indziej.

Biedna Berengaria, westchnął w duchu zatroskany. Czeką już tak długo, bym przybył jej na ratunek, a co teraz się stanie? Jak zdołam dochować tajemnicy, że nie należę już w pełni do niej? Oczywiście to ona jest najpiękniejsza, Lisa zaś to zupełnie niemożliwa osoba, a poza tym ojciec naprawdę się wścieknie, ale moje uczucia są teraz takie podzielone. Temu nie zdołam zaprzeczyć. Lisa jest taka wzruszająca. Chroni się przy mnie, mam wrażenie, że trochę się we mnie podkochuje, ale przecież nie mogę sprawić przykrości Berengarii. Szczególnie teraz, gdy ona tak bardzo cierpi!

Ale jestem odpowiedzialny również za Lisę, to przecież ja wyciągnąłem ją z uzależnienia. No, oczywiście, Marco trochę mi pomógł, ale to ja powiedziałem jej, że nie może dłużej tego robić, że to szkodzi jej zdrowiu. Na pewno właśnie moje słowa sprawiły, że się zdecydowała skończyć z tym świństwem.

Uśmiechnął się lekko do siebie. Naprawdę dziwne, jak wszystkie kobiety wodzą za nim oczami. Musi w nim być coś naprawdę niezwykłego, zresztą i matka, i ojciec zawsze to powtarzali. Kiedy był mały, bez przerwy mówili, że jest taki śliczny, i nie było młodego chłopaka przystojniejszego od niego, pomyślał z rozrzewaniem.

- Armasie, dlaczego, do pioruna, tak się strasznie lenisz? - ostro przywołała go do porządku Indra. - W dodatku z taką idiotycznie sentymentalną miną jak u małych dziewczynek zajętych swoimi lalkami. Bierz się do roboty! A może masz dyspensę od wszelkich pożytecznych zajęć?

Najgorsze jednak było to, że wszyscy wybuchnęli teraz śmiechem. Nawet Lisa.

Rakieta mknęła w dół. Talornin stracił już nad nią panowanie, lecz to w niczym nie szkodziło, bo przecież w tym wąskim cylindrze, prowadzącym z powierzchni Ziemi w dół do Królestwa Światła, była tylko jedna droga. Od czasu do czasu, wymykając się całkowicie spod kontroli, rakieta straszliwie zgrzytała o ściany, aż sypały się skry, lecz wystarczył wtedy jeden zręczny ruch Talornina, by znów naprowadzić ją na właściwy tor.

Głośno śmiał się do siebie. To dopiero życie! Nie dość że ich wszystkich oszukał, to jeszcze teraz zmierzał wprost ku ocaleniu.

Długo zastanawiał się nad tym, jak pozbyć się powierzchowności upiornego rycerza i na powrót stać się eleganckim Talorninem, nie tracąc jednocześnie zamilowania do bestialstwa, jakim charakteryzował się średniowieczny wojak. Wypicie jasnej wody było nie do pomyślenia, czym prędzej odrzucił ten pomysł. Przecież on wypił wodę ze studni pragnień znajdującej się w Grotach Zła, mogło się to więc bardzo źle skończyć. Elixir Madragów nie dawał żadnej gwarancji i raczej nie było to mądre rozwiązanie. Wiedział, że w wyniku jego działania stanie się po prostu dobry, nie miał podstaw, by sądzić, że upiór rycerza go opuści. Niebieski szafir natomiast ocalił wodnego demona i przywrócił mu pierwotną ludzką postać, a skoro zdołał pomóc nędznemu rybakowi czy myśliwemu z

jakiegoś prymitywnego plemienia, to w przypadku szlachetnej osoby Talornina przyjdzie mu to zapewne bez żadnego trudu. Zresztą przedostanie się do świętych kamieni nie sprawi mu kłopotu, bo przecież ludzie na jego widok będą chować się z krzykiem, a poza tym nie należy zapominać, że on ma uniwersalny kod.

Po odgłosach poznał, że zbliża się do stacji końcowej, do bazy raketowej Królestwa Światła, i czym prędzej zajął się uruchomieniem hamulców. Gdzie one mogą być? Czy to jest to?

Rakieta sunęła jednak wielkim pędem i nie pomagało włączanie żadnych instrumentów.

Talornina ogarnęła panika. Przecież się rozbije, zgniecie go, ach, ratunku! Czy nikt nie może...

Rakieta zahamowała sama z siebie, automatycznie. Tego nie przewidział.

Odetchnął z ulgą, ciężko wzdychając. Pojazd jeszcze przez chwilę sunął powoli, aż wreszcie się zatrzymał. Talornin mógł wysiąść.

Niezwykle pewna siebie, przerażająca i wstrętna istota rozejrzała się dookoła, gotowa wystraszyć do szaleństwa każdego, kogo spotka na drodze.

Ale tu nikogo nie było.

Baza okazała się pusta, a tak przecież być nie powinno. Gdzie wszystkie straże, gdzie robotnicy? Gdzie komitet powitalny?

Roześmiał się do siebie i usłyszał, jak ochryple to zabrzmiało. Komitet powitalny? To ci dopiero! Przecież nikt go się tu nie spodziewał. I dobrze, zwycięży ich przez zaskoczenie.

Ach, gdyby tylko było kogo bić!

Właściwie może i lepiej się stało, dzięki temu łatwiej dotrze do celu.

Skierował się ku wyjściu. Odciski bardzo mu już dokuczały, szedł sztywny na szeroko rozstawionych nogach.

Nagle drzwi przed nim się otworzyły. Najpierw, oślepiiony, nie był w stanie zobaczyć, kto wchodzi, wszak i tak miał już kłopoty ze wzrokiem. Gdy jednak

drzwi z powrotem się zamknęły, zorientował się, że stoi przed nim pięć osób. Talornin, chcąc je wystraszyć, skoczył w przód, krzyząc „Uuu!”, lecz prędko sam się zorientował, jak idiotycznie to wypadło, i zaraz potem wydał z siebie głuchy wrzask.

Oni jednak nie sprawiali wrażenia, by im zaimponował. Nie wyglądali także na przestraszonych.

Spostrzegł teraz, że był tu ten Indianin Oko Nocy, duch Ludzi Lodu, Shira, i jakiś mężczyzna nieco starszego rocznika. Czy on przypadkiem nie nazywał się Villemann i nie wywodził z rodu czarnoksiężnika? Było tu także dwóch Strażników, po ich wspaniałych strojach poznał, że to Strażnicy Świętych Kamieni.

- Przecież was nie powinno tu być! - wrzasnął do nich, jak gdyby wciąż zajmował pozycję głównodowodzącego w Królestwie Światła. - Nie wolno wam opuszczać świątyni!

- Tego szukasz, Talorninie? - spytał Indianin.

Czy oni wiedzieli, kim on jest? Przecież przybrał postać upiornego rycerza, jak więc mogli...

Ach, oczywiście, ten przeklęty system łączności! Wyłączył go, lecz te łotry najwidoczniej wszystko odkręciły i przez to on nie mógł już porozumiewać się ze swymi sprzymierzeńcami.

Wrogowie natomiast mogli się kontaktować między sobą.

Oko Nocy i Villemann podnieśli do góry czarne aksamitne woreczki z kamieniami. Talornin przenosił wzrok z jednego na drugi. Który z nich mógł mieć niebieski szafir? Nic o tym nie wiedział, bo przecież musiał opuścić Królestwo Światła już jakiś czas temu.

Te diabły, które tak bezwstydnie spędziły go z wysokiego stołka, dostaną teraz za swoje! Wybiła ich godzina!

- Jedynie Dolgowi wolno ich dotykać - spróbował. - Blefujecie, wcale ich nie macie!

- Dolg przekazał nam odpowiedzialność za kamienie - odparła Shira miękkim

głosem, w którym słychać było samojedzki akcent.

Talornin pojął, jak marne są jego szanse. W takich sytuacjach tchórz zwykle sięga po broń, jeśli oczywiście ją ma.

Talornin miał, a w dodatku zostało mu przecież jeszcze kilka nabojów.

Wyciągnął pistolet, szykując się do strzału, lecz nagle jakaś siła wytrąciła mu go z ręki.

- Co takiego? - zawołał. - Jest was tu jeszcze więcej?

- Mar jest zawsze tam, gdzie Shira - odparł Villemann i wyjął z futerału migoczący, połyskujący błękitem szafir.

Talornin jęknął głośno i rzucił się w przód.

- Zaczekaj! - przestrzegła go Shira. - Przekonaj się najpierw, czy szafir cię zaakceptuje.

Wyraźnie było widać, że jest inaczej. Kamień zmatowiał, świecił martwym blaskiem.

- Nie, nie! - wykrzyknął Talornin podniecony. - On nie lubi tego złego rycerza, który we mnie wstąpił! Przecież w tym nędznym zewłoku kryje się wasz zwierzchnik, szlachetny Obcy!

- Pół - Obcy - poprawił go Oko Nocy. - A czy szlachetny...

- Bardziej szlachetny niż ty kiedykolwiek w życiu będziesz - syknął Talornin. - Ale ja wciąż mam środki...

Sięgnął po jeszcze jakąś broń, nie znali jej, Shira nie mogła więc dłużej zwlekać.

Szybkim ruchem wyciągnęła z drugiej sakiewki farangil. Talornin na moment zastygł zdumiony, że mogła to zrobić, nie doznając przy tym żadnej krzywdy, nie sądził bowiem, by było to w ogóle możliwe.

Nie miał jednak czasu się zastanawiać. Musiał skulić się i osłonić rękami, chociaż to absolutnie w niczym mu nie pomogło.

Zarówno farangil, jak i szafir rozplomieniły się teraz, ale tym razem w błękitnych promieniach szafiru nie było nawet cienia łagodności. Jego blask zmieszał się z krwistoczerwonym blaskiem farangila w prawdziwie piekielnej grze światła, która

zniszczyła najpierw ohydneho rycerza z szóstego wieku i na kilka krótkich sekund ukazał się sam Talornin.

Wkrótce i jego krzyki poniosły się daleko po pięknych łąkach Królestwa Światła.

Zapadła cisza.

Koniec z upiornym rycerzem.

Koniec z Talorninem.

Niosąc ostrożnie ostatnie resztki kultury wirusa, którą przekazali jej Madragowie, Shira weszła na pokład rakiety i przywitała się ze Strażnikiem, który miał zawieźć ją na powierzchnię Ziemi.

Nie była sama, towarzyszył jej nieodłączny Mar. Być może również i jemu będzie dane ujrzeć czarnego anioła?

Zauważyli ich na skraju lasu. Z początku Shirze i Marowi wydawało się, że to dwa dumne strzeliste świerki, zaraz jednak dostrzegli inne szczegóły: połyskujące czarne skrzydła, wysokie postaci. Czym prędzej pospieszyli ku nim.

Czarni aniołowie powitali ich uprzejmie i łaskawie. Mar, który przypuszczał, że nie będą chcieli go znać, usłyszał kilka życzliwych słów, świadczących o tym, że mają dla niego wiele szacunku, ponieważ zdołał wyzwolić się spod złego dziedzictwa.

Potem z największą ostrożnością zabrali z delikatnych dłoni Shiry groźną truciznę i unicestwili ją, każąc wirusowi wrócić do czasów, w których jeszcze nie został stworzony w wyniku zanieczyszczenia przyrody przez człowieka.

Budzące ogromny szacunek istoty uśmiechnęły się na koniec przelotnie i zniknęły.

Shira i Mar, pełni uniesienia, powrócili do Królestwa Światła.

12

Na szczycie góry w pobliżu Guilin nie było im ani trochę przyjemnie.

Najgorzej przedstawiały się sprawy z Lenore, jej niepokój i irytacja nie miały granic. W całym ciele łaskotało ją, swędziało i piekło, strasznie była podniecona na myśl o Faronie. Biedaczysko! Ta Gia nie daje mu spokoju, nie może więc zostać z nią sam na sam, a przecież oni tak bardzo się teraz nawzajem potrzebują! Lenore musi wreszcie zobaczyć, jak oczy zasnuwa mu żądza, już na

samą myśl była gotowa. Ach, musi zobaczyć jego pożądanie, poczuć je, dotknąć...

Przeklęta dziewczyna, nie zostawia go nawet na chwilę!

Lenore nie wpadło do głowy, że Faron chce ochronić Gię właśnie przed nią.

Strażnik Nim się nie liczył, to przecież zwyczajny Lemuryjczyk, którego mogła zdobyć bez najmniejszego trudu, wystarczyło kiwnąć palcem. Prawdziwą, liczącą się zdobyczą był Faron.

Lenore nie patrzyła na to w ten sposób, w jej oczach to Faron był myśliwym, a ona zwierzyną.

Ale on okazywał się taki głupi. Na przykład wtedy, gdy spytała go, czy mogą wyjść z tego pawilonu, świątyni, pagody, altanki czy co też to było, i obejrzeć widok z drugiej strony, gdzie był mały zagajnik, on jakby nic nie rozumiał. Mruknął tylko: „Nie teraz, Lenore, oni mogą się tu zjawić w każdej chwili”.

Zaczęła się śmiać. Czyżby bał się, że zostanie przyłapany na gorącym uczynku, w dodatku z góry?

Ona uważałaby to za dodatkowo emocjonujące. Marco przekonałby się, że ona może mieć innych, obudziłaby się w nim wtedy zazdrość.

Ale Faron pochylił się tylko bardziej ku Gii - oboje siedzieli pod ścianą - i dalej opowiadał jej o chińskiej religii.

Przeklęta dziewczyna, czy ona nie pojmuje, jak bardzo tu przeszkadza? Lenore gotowa była udusić ją gołymi rękami. Raz szczęśliwie udało jej się szturchnąć dziewczynkę, ale zaraz nadbiegł głupi Nim i zajął się tą żalospną gadziną. W dodatku doniósł o wszystkim Faronowi, ale ten nic na to nie powiedział. Na pewno więc uznał, że Gia sobie na to zasłużyła.

Lenore stłumiła westchnienie. Ach, musi go wreszcie mieć, nie jest w stanie już dłużej wytrzymać! Przecież on jej pragnie. Podnieś się, Faronie, żebyś mogła zobaczyć, jak bardzo mnie chcesz. Wiem, że pożądasz mojej piękności, i będziesz ją miał, bo ty i ja jesteśmy sobie godni.

W świątyni stała niziutka ława, nie wyższa niż podwyższenie w podłodze. Lenore

ułożyła się na niej w uwodzicielskiej pozycji. Obrócona plecami do Faron, oparta na łokciu - nie było to łatwe w kajdankach - i z lekko uwypuklonym krągłym biodrem. Niby od niechcenia machała jedną nogą tak, że suknią podsunęła jej się w górę, odsłaniając widok na wszystkie jej cudowności.

- Ojej - zdziwiła się Gia, głupia smarkula. - Czy ta Lenore nie ma majtek?

- Lenore, usiądź przyzwoicie! - ostro nakazał Faron. - Jesteś za stara na takie rzeczy.

„Za stara?” „Na takie rzeczy?”

Lenore poderwała się gwałtownie i wymaszerowała na zewnątrz. Nim zajęty był właśnie sprawdzaniem gondoli Marca. Lenore przez chwilę zastanawiała się, czy nie uwieść przynajmniej jego, tylko po to, by wywołać zazdrość w Faronie, lecz uznała, że Strażnik nie jest tego godny.

Mogła go natomiast wykorzystać do czego innego.

- Nim - odezwała się najśłodszy z wszystkich swoich głosów. - Czy byłbyś tak miły i otworzył te moje upokarzające kajdanki? Potrzebuję chwili... swobody. No a przecież nie mogę stąd uciec.

Strażnik rozejrzał się dokoła. Popatrzył na Lenore, potem na świątynię.

- Tu na górę prowadzi ścieżka i ty dobrze o tym wiesz - oświadczył krótko. - Uciec więc możesz. Moja odpowiedź brzmi: nie. Otrzymałem rozkaz, a Faron jest mądrym człowiekiem.

Czy wyczytała w jego oczach usprawiedliwienie? Chciała w to wierzyć.

Na końcu języka miała propozycję, by Nim wyprawił się z nią do zagajnika, lecz wolała nie narażać się na ewentualną odmowę. Nie, to nie! Sam sobie jest winien!

Czym prędzej pospieszyła do kępy drzew za pagodą i tam podciągnęła spódnicę.

Faronie, Faronie, nie masz pojęcia, co cię omija!

Musiała przytrzymać się gałęzi, by nie upaść, gdy się zaspokajała. Powtórzyła to kilkakrotnie, by ochłonać i móc zachowywać się swobodnie w stosunku do

Faron. Tak, teraz mogła utrzymywać wyniosły dystans, a on niech sobie cierpi.

Doskonale, dobrze mu tak.

Potem usiadła na zwałonym pniu drzewa i dalej się na niego gniewała, aż do chwili, gdy przyszedł po nią Nim.

Ile jeszcze będę musiała znieść? Ja, niemal księżniczka na tej drugiej planecie, myślała. Gdzie się podział Talornin? Co za łotr! Doprawdy, czy muszę wszystkie te nieprzyjemności znieść sama? Będzie miał za swoje, jak się tu zjawi!

- Nareszcie! - westchnął Faron, kiedy Maszyna Śmierci wylądowała na szczycie. Zapadał już zmrok i w mieście u stóp góry zapłonęły tysiące świateł. Na szczycie i wzdłuż ścieżki zapaliły się reflektory, oświetlając pagodę aż nadto dobrze. Nie było to dla nich zbyt szczęśliwe zrządzenie, ale cóż, pozostawało tylko mieć nadzieję, że lądowanie przebiegnie bez przeszkód, nie zauważone przez nikogo niepowołanego.

Gia mocno objęła Marca, a on także mocno ją uściskał. Wszyscy zresztą witali się z wielką radością, oprócz oczywiście Lenore, która wciąż się złościła. Pozowała na prawdziwą cierpiętnicę, ale i tak wszyscy widzieli, że jest po prostu rozeźlona.

- Dolg jest niezmiernie zdenerwowany - oświadczył Faron. - Chyba lepiej będzie, jak wyruszymy natychmiast.

- O, tak, doprawdy najwyższy już na to czas - przyznał Ram. - Przykro mi, że spowodowałem takie opóźnienie.

- Przecież to nie była twoja wina - zaprotestował Marco. - Wszystko przez Talornina. Wiem, że mieliście dokończyć rozpylanie eliksiru Madragów, ale chcieliśmy, żebyście byli z nami. Potrzebne nam będą wszelkie siły w walce z przeciwnikiem.

Lenore ostrym głosem włączyła się do rozmowy.

- Właśnie, gdzie jest Talornin? Zostawiliście go tam? Co wobec tego ja mam robić?

- Talornin został wyeliminowany - krótko odparł Marco.

- Wyeliminowany? A co to znowu ma znaczyć?

Marco powiedział całą prawdę, niczego nie ukrywał.

- Próbował skraść Święte Kamienie, by dzięki nim odzyskać swą własną postać. One jednak, zarówno farangil, jak i szafir, uznały, że nie jest tego godny.

Unicestwiły i jego, i tego starego rycerza.

- Jakiego rycerza?

- Ciesz się, że nigdy nie widziałaś Talornina po tym, jak napił się wody z amfory!

- Ale to przecież ja miałam ją dostać! - krzyknęła.

- Dziękuj swemu stwórcy, że cię to ominęło.

Marco w krótkich słowach opowiedział jej, co przytrafiło się Talorninowi. Kiedy skończył, Lenore odsunęła się na bok, zastanawiająco nieswoja i wyraźnie wstrząśnięta.

Propozycja, by wszyscy, którzy tego chcą, zakwaterowali się w hotelu w Guilin, podczas gdy reszta podejmie walkę z prześladowcami Móriego i Berengarii, nie znalazła uznania.

Chociaż było im ciasno, wszyscy w końcu jakoś się pomieścili w Maszynie Śmierci i przyłączonej do niej gondoli. Nikt nie miał ochoty zabierać Lenore, ale przecież była im potrzebna, mogła okazać się pomocna na pokładzie statku kosmicznego. Nie wiadomo tylko było, czy można jej zaufać.

Umieszczono ją w pilnie strzeżonym miejscu. Siedziała tam, podczas całej podróży nie spuszczać oczu z Faroną. On doskonale zdawał sobie z tego sprawę, lecz najwyraźniej ani trochę go to nie obchodziło.

Utrzymywali kontakt z Dolgiem, który miał wskazać im drogę do statku kosmicznego. Gdy się okazało, że nawigacja w przestrzeni kosmicznej jest dość trudna, Dolg oświadczył zniechęcony: „Przyjdę do was”, a potem zapadła cisza. Kiro, który siedział przy sterach, poczuł nagle, że drażki przestały go słuchać. Spostrzegł, że lampki kontrolne zapalają się same z siebie, pokręta obracają się, choć wcale ich nie dotykał, a sama Maszyna Śmierci nieoczekiwanie zmienia kierunek.

Sol, która siedziała przy mężu, spojrzała na niego pytająco.

- Dolg?

Kiro kiwnął głową i odparł cicho:

- Chyba nie chce dać się poznać pewnej osobie wśród nas.

Spojrzenie Sol powędrowało ku Lenore i z powrotem na pulpit sterowniczy.

- Ona ma zamiar pożreć Farona na śniadanie - mruknęła.

- Sądziłem, że zasadziła się na Marca.

- Marca zostawi sobie na deser.

- U obu ma szanse równe zeru.

- Owszem, ale o tym ona nie wie. Wydaje jej się, że wszyscy padają przed nią plackiem. Czy jesteśmy już poza atmosferą okołozemską?

- Już niedługo, Maszyna Śmierci to naprawdę pojazd skonstruowany w szczególny sposób. Nigdy nawet nie słyszałem o czymś podobnym. Do tego, by wylecieć w kosmos, niepotrzebna jej baza, z której zostanie wystrzelona.

- To prawda, od pędu, łagodnie mówiąc, aż się w głowie kręci.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak prędko lecimy.

- Masz rację - przyznała Sol. - Ale chyba nawet nie chcę tego wiedzieć.

Lisa miała bardzo niewygodne miejsce w minigondoli. Właściwie powinna być zmęczona, lecz mimo wszystko czuła się zupełnie świeżo. Podczas podróży do Guilin trochę się zdrzemnęła i to jej wystarczyło. Armas był teraz w głównej kabinie, a ona wśród otaczających ją Strażników czuła się trochę osamotniona. Któryś z nich wyjaśnił jej, że statek kosmiczny, ku któremu zmierzali, nie krąży wokół Ziemi, tylko tkwi w pewnym miejscu nad Chinami. Niewiele jej to mówiło, ale żałowała, że nie może opowiedzieć o wszystkich tych niesamowitych przygodach swoim przyjaciółom. Wtedy jednak uświadomiła sobie nagle, że przecież nie ma żadnych przyjaciół. Ci, z którymi dorastała, odsunęli się od niej, gdy zaczęła wieść życie narkomanki, ci natomiast, z którymi spotykała się ostatnio... Cóż, tu miała do czynienia raczej z pozorowaną lojalnością, z fałszywymi przyjaźniami nawiązywanymi w stanach narkotykowego oszołomienia. Większość z tych ludzi zresztą albo już nie żyła, albo była skazana na śmierć.

Zadrzała, przeniknięta dreszczem, i posłała ciepłe myśli wszystkim tym w samolocie, którzy zajęli się nią, kiedy była wrakiem człowieka. Zwłaszcza Marcowi, a także prapraprababce Libuszy.

I Armasowi.

Dlaczego nie ma go tu teraz? Przecież ona tak mu ufała, czuła się przy nim bezpieczna, on bowiem miał wewnętrzne ciepło, z którego istnienia sam chyba nie zdawał sobie sprawy. Ale nie był bez wad. Tak pięknie mówił o jakiejś niemądrej dziewczynie o imieniu Berengaria, a przecież mógł o niej nie wspominać. No i niekiedy za bardzo się przechwalał. Indra raz to mu wykrzyczała: „Ty rozpieszczony, zadzierający nosa marudo!” Zrobiło to chyba na nim wrażenie, bo później okazywał innym większą życzliwość.

Niemal wszyscy ubrani byli w białe skafandry z węzami tlenowymi, które należały do wyposażenia Maszyny Śmierci. Skafandrów jednak było za mało, niektórzy więc z nich zrezygnowali, na przykład Marco i Sol, no i Faron. Że też się nie boją!

Gia siedziała skulona przy Marcu, cierpiącym iście piekielne męki. Tak bardzo chciał okazać dziewczynie, ile dla niego znaczy jej oddanie, ale przecież nie mógł tego zrobić.

Nie wcześniej niż będzie na tyle dojrzała, by umieć odróżnić swe oddanie dla „wujka Maka” od prawdziwej, palącej i niszczącej miłości, z którą łączyła się przekraczająca wszelkie granice tęsknota zarówno duchowa, jak i zmysłowa. Owszem, Gia szybko dojrzewała i Marco wiedział, że już wkrótce osiągnie wiek, na jakim zatrzymywali się wszyscy mieszkańcy Królestwa Światła. Tak mniej więcej trzydzieści, trzydzieści pięć lat. Wtedy być może będzie mógł próbować się do niej zbliżyć, opowiedzieć o swej stale rosnącej miłości. On, który wcześniej nie kochał nigdy nikogo.

Lecz jak zdoła wytrzymać tak długo?

A czy ona zechce przyjąć jego uczucia, to już zupełnie inna sprawa. Marco śmiertelnie się bał widoku jej kształtnej twarzyczki, ściągniętej wzburzeniem czy

wręcz odrazą.

Wtulił twarz w jej włosy, pachnące lasem i pocałował je delikatnie, tak by Gia tego nie poczuła.

Faron siedział tuż przy Kirze nieruchomo niczym posąg z brązu. W każdej chwili gotowy mu pomóc, gdyby zaistniała taka konieczność. Ale jego myśli wędrowały daleko, serce zaś przepełniał głęboki lęk.

Usadowieni w gondoli Strażnicy odczuwali niepokój. Ich pojazd nie był przystosowany do podróży w przestrzeni kosmicznej, nie miał odpowiednich zabezpieczeń przed ewentualnymi występującymi tu zagrożeniami. Nikt nie wiedział, jak wysoko w przestworzach unosi się statek kosmiczny, nikt też do końca się nie orientował, jak działa Maszyna Śmierci, choć wszyscy dawno już zrozumieli, że to prawdziwy cud techniki.

Indra siedziała w gondoli razem ze Strażnikami. Właściwie Ram chciał, żeby została na Ziemi, bo sytuacja na stacji kosmicznej mogła okazać się naprawdę trudna. Indra jednak kategorycznie odmówiła. Nie zgadzała się na bezczynne siedzenie i czekanie, bez względu na to, czy będzie to w Guilin, w pobliżu bazy, czy też, o zgrozo, w Górach Kruszcowych, z którymi najwyraźniej nigdy się już nie rozstaną. Zostawili tam teraz swoje gondole, ukryli je w lesie na tyle, na ile się dało, i pozostawało im tylko mieć nadzieję, że żaden zapalony turysta nie wybierze się na sam szczyt głowy cukru w Guilin.

Ile czasu upłynęło, odkąd Indra spała ostatni raz? Nawet tego nie pamiętała. Miała wrażenie, jakby ktoś nasypał jej piasku do oczu, myśli miała przyćmione.

Ogarnęła ją też lekka irytacja.

Na początku starała się bardzo, by nie zasnąć, i wyglądała przez okno na niebieską planetę, na Ziemię. Wreszcie jednak powieki same jej opadły.

Nie zauważyła nawet, że zbliżają się do statku kosmicznego.

13

Nie był to największy z pojazdów kosmicznych, wcale nie taki przesłaniający

wszystko kolos, jak w „Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia” Stevena Spielberga. Właściwie można nawet powiedzieć, że był to wręcz mały statek kosmiczny, dostatecznie jednak duży, by znalazło się w nim miejsce na sporą liczbę pomieszczeń, no i na więźniów.

Zapewne niejednego przeszedł dreszcz, gdy patrzyli, jak z każdą chwilą jest coraz bliżej.

Indra obudziła się ze świadomością, że mimo wszystko powinna była raczej pozostać na Ziemi.

Statek kosmiczny unosił się w przestrzeni bez najmniejszego szmeru i krył w swym wnętrzu tajemnicę: miejsce pobytu Móriego i Berengarii.

Ta cisza jeszcze bardziej ich przeraziła. Z wnętrza nie dobiegały żadne sygnały. Dlaczego? zadawali sobie pytanie, załoga musiała przecież dostrzec nadlatującą Maszynę Śmierci i domyślać się, że to zbliża się Talornin i jego kompania.

W końcu przypomnieli sobie, że Kiro przecież odciął im wszelkie możliwości kontaktu. Jak był w stanie tego dokonać, nikt nie potrafił zrozumieć. Lecz wynalazku tak naprawdę dokonał Talornin, Kiro przestroił jedynie urządzenie na niekorzyść wroga.

Wszyscy byli zbyt wzburzeni i przejęci wiszącym nad ich głowami monstrem, by zastanawiać się nad tym dokonaniem.

- Kiro? Możesz nawiązać z nimi kontakt?

- Nie wiem - odparł towarzysz życia Sol dość niepewnym głosem. - Spróbuję.

- Ale masz przecież ten aparat Talornina?

Kiro spuścił głowę i zawstydzony wyznał, że nie.

- Niestety, on został w lesie w Górach Kruszcowych, najzwyczajniej w świecie zapomniałem go stamtąd zabrać.

- Cóż, nikt nie jest bez wad - mruknął Faron. Słysząc było jednak, że jest zawiedziony.

- Co takiego? Jaki aparat? To małe pudełko? Ja się nim zajęłam - oznajmiła Sol.

I Faron, i Kiro rozjaśnili się jak słońca.

- Ale zostawiłam go w gondoli Gorama.

Nadzieja zgasła.

- W gondoli Gorama... - powtórzył z kolei Sardor. - W pobliżu bazy opróżniłem ją z takich rzeczy, które mogą się przydać, i przelożyłem je do... do...

Pospiesznie zaczął przeszukiwać stos sprzętu, który ze sobą zabrali.

- Czy to może być to?

Kiro z nabożeństwem ujął w dłonie małe pudełeczko.

- Och, dziękuję ci, Sardorze. I tobie, Sol, wielkie dzięki! Doprawdy, nie zasłużyłem na to!

Faron śmiał się z ulgą.

- Nasz wyjazd odbywał się w pośpiechu. Spróbuj teraz zobaczyć, co się da zrobić, Kiro, a ja na ten czas przejmę sterowanie.

Sol siedziała tuż przy nim.

- Faronie - odezwała się cicho. - To bardzo wiele dla ciebie znaczy, prawda?

- Owszem - odparł równie ściszym głosem. - Strasznie się boję, Sol.

- Rozumiem.

- Nigdy nie powiedziałem...

- Zawsze będzie coś, czego się nie powiedziało. Czy Dolg wciąż jest z nami?

- Nie wiem.

Zadał to pytanie Kirowi.

Strażnik zamyślił się.

- Kierował Maszyną Śmierci aż do... Tak, aż do chwili, gdy ujrzeliśmy nad sobą tego potwora, wtedy zniknął. Chciał pewnie wrócić do swego ojca i do Berengarii.

- Dlaczego się nam nie pokazał? - poskarżyła się Sol.

- Podejrzewam, że ukazywanie się to dla niego ogromny wysiłek. Ci, którzy mieli okazję go zobaczyć, mówili, że wyglądał trochę jak zgęszczone powietrze - odparł Faron.

- Faronie - szepnął Kiro. - Wydaje mi się, że nawiązałem łączność.

- Doskonale. Lenore, chodź tutaj!

Lenore zadowolona, że Faron nareszcie otwarcie pokazuje jej swój podziw, podeszła do niego, zalotnie kręcąc biodrami. Musiała torować sobie drogę w ciasnej, zawalonej rzeczami kabinie. Sol powiedziała później Kirowi, że czuć było od niej zapach hormonów jak od samicy w rui. Kiro ani słowem nie zaprotestował. Lenore wykorzystała ciasnotę jako wymówkę, by przycisnąć się do Farona. Tak, nie było żadnych wątpliwości, żądza wprost od niej biła.

- Ram - przykazał Faron. - Zajmij się nią!

To Lenore ani trochę się nie spodobało. Ram przecież wybrał zamiast niej Indrę, co jej więc po nim? Ten rozdział był już zamknięty.

Z głosu Rama zionął chłód, gdy wyjaśniał Lenore, co ma powiedzieć załodze, przebywającej na pokładzie statku kosmicznego tak, by tamci uwierzyli, że to ona, Talornin i tamci dwaj piloci wracają, nikt inny.

- I pamiętaj, my rozumiemy każde wypowiedane przez ciebie słowo - przestrzegł. - Niektórzy z tu obecnych potrafią nawet czytać w twoich myślach. Jeśli więc będziesz próbowała przestrzec swoich kompanów albo inaczej nas zdradzić, zastrzelę cię, i to bez litości.

Sol nie wierzyła, że Ram może to zrobić. Nigdy wszak, z wyjątkiem sytuacji naprawdę krytycznej, nie odbierał nikomu życia. Lecz przywódca Strażników wbił lufę pistoletu w bok Lenore z poleceniem, by wezwała tamten statek.

Ale może była to jedynie broń obezwładniająca, Sol nie miała możliwości, by to sprawdzić, bo nie dawało się dokładnie przyjrzeć pistoletowi w takiej ciasnocie. Bez trudu natomiast dało się zauważyć, jak strasznie rozzłoszczona jest Lenore. Widać było też jednak, że się boi. Poprosiła więc w końcu, a raczej rozkazała, aby załoga otworzyła luki i wpuściła Maszynę Śmierci na pokład.

- Ach, to ty, Lenore! - usłyszeli żartobliwie zalotny głos. - Bardzo nam cię tutaj brakowało. W moim łóżku zrobiło się strasznie zimno, pomożesz mi je ogrzać, prawda?

- Oczywiście, Ingelgeriusie - odparła, posyłając Faronowi triumfujące spojrzenie. Wszyscy obecni w kabinie zauważyli, że w jej oczach pojawił się chytry błysk.

Otworzyła już usta, by powiedzieć coś więcej, ale Ram natychmiast mocniej przycisnął pistolet do jej boku, broń wydała z siebie ostrzegawczy trzask i Lenore w porę umilkła.

Kiedy Kiro przerwał połączenie ze statkiem kosmicznym, odwróciła się do nich, a z oczu sypały jej się błyskawice. Była doprawdy piękna, być może rzeczywiście najpiękniejsza z kobiet w całym Królestwie Światła, jeśli komuś podobają się idealne rysy i brak jakichkolwiek charakterystycznych cech.

- Nie myślcie sobie, że się z tego wywiniecie - burknęła urażonym tonem. -

Znieważyliście mnie, i to nie raz. Nigdy wam tego nie wybaczę.

- Boimy się aż do szaleństwa - cierpko mruknął Faron.

- Ingelgerius? - powtarzał zamyślony Ram. - To nie jest popularne imię. O ile dobrze pamiętam, istniał ktoś taki w mieście nieprzystosowanych. Brutalny przywódca bandy, który nie pasował nawet do tego miasta. Musieliśmy przerzucić go na drugą planetę. Nie przypuszczałem, że stoczysz się tak nisko, Lenore!

- Przecież ona rzuca się na wszystko, mieliśmy już okazję się o tym przekonać - zauważyła Sol.

Lenore pobieliała na twarzy. Odwróciła się teraz i nie zniżyła do odpowiedzi.

Pewnie też żadnej mądrej nie potrafiła naprędce wymyślić.

Armas wsunął Lisie do ręki pistolet. Dziewczyna cofnęła się, lecz on prędko ją uspokoił: ta broń służy tylko do obezwładniania. A może Lisa woli zostać w Maszynie Śmierci? Ale nie, ona tego nie chciała.

- To dobrze - ucieszył się Armas. - Bo potrzebują teraz pomocy każdego mężczyzny i każdej kobiety.

Lisa, Indra i Gia miały tworzyć ariergardę wraz z Faronem, który będzie szedł na samym końcu i je osłaniał.

- A nie Sol?

- Nie - uśmiechnął się Armas. - Nie Sol. My na razie będziemy czekać, a ona wraz z Markiem i Lenore wejdzie do środka.

Lisa westchnęła drżąco.

- Trochę to denerwujące, ale muszę iść z wami. Wiesz, młodzi ludzie, którzy uciekają w narkotyki, robią to przede wszystkim po to, żeby zaznać trochę emocji. W ich życiu nic się nie dzieje, a oni potrzebują jakiejś stymulacji. To może się okazać lepsze od siedmiu dawek heroiny.

- O, bez wątpienia. Bo gdybyś je zażyła, padłabyś trupem na miejscu.

Umilkli i tylko patrzyli na statek, który z każdą chwilą, w miarę jak się do niego zbliżali, stawał się coraz większy. Bez wątpienia mógł budzić przestrasz.

W myślach Armasa panował chaos, a teraz na dodatek zaczęła go ogarniać panika.

Co on wyprawia? Przecież nie mógł kolejny raz zranić Berengarii. Dziewczyna wcale na takie traktowanie nie zasłużyła. Raz zrobił to już Oko Nocy, poślubiając Małego Ptaszka, a Berengaria przyjęła to bardzo ciężko. Jeszcze boleśniej przeżyła to, że on, Armas, ją odrzucił.

Ale gdy Jaskari próbował się do niej zbliżyć, omal nie dostał po gębie. Armas uśmiechnął się lekko pod nosem. Och, to oczywiste, przecież ona po prostu kochała właśnie jego, Armasa.

A on okazał się dla niej naprawdę niedobry. Teraz tego żałował. Oczywiście, dziewczyna zachowywała się dość natarczywie, to prawda, ale przecież nie musiał z tego powodu tak się na nią wściekać. To zdarzyło się jednak, zanim zrozumiał, że ją kocha. Dopiero gdy zaginęła, pojął, jak bardzo mu jej brakuje. Musi to teraz wytłumaczyć Berengarii, inaczej dziewczyna całkiem się załamie. Nie może przecież w tym momencie zjawić się u niej i wyznać, że jest jakaś inna. Lisa będzie musiała zaczekać, aż Berengaria nabierze dosyć sił, by znieść taki szok.

Z drugiej jednak strony wciąż jeszcze nie mógł powiedzieć Lisie, jak układają się sprawy pomiędzy nimi. Nie powinien się przyznawać, że przyzwyczaił się już do niezwykłości jej charakteru i że tak naprawdę zaczął się w niej podkochiwać, w co jeszcze niedawno sam nigdy by nie uwierzył. Wypowiedzenie tego na głos mogło

okazać się jednak zbyt niebezpieczne, zachęciłby niepotrzebnie Lisę nie wiadomo do czego i mogłaby popsuć mu szczerę powitanie z Berengarią. No bo jeśli przyszóby jej do głowy rzucić mu się na szyję, żeby całemu światu pokazać, że oni są teraz razem? Berengaria by tego nie przeżyła, teraz, w takiej sytuacji, nie mógł narażać jej na dodatkowe wstrząsy.

Ale ta nieszczęsna Lisa, która siedzi właśnie tuż koło niego i uważa, że cały świat sprzysiął się przeciwko niej, również zasługuje na odrobinę otuchy. Nie za dużo, ot, jeden mały promyk, który rozjaśni jej mroczny świat.

Ujął ją za rękę między siedzeniami samolotu i uścisnął, dodając jeszcze życzliwy uśmiech.

- Wszystko na pewno pójdzie dobrze, przekonasz się.

Dziewczyna cofnęła swoją rękę i prychnęła jak dzika kotka.

- Przestań mnie obmacywać, do cholery, ty nieznośny egoistyczny marudo! Ty zadzierający nosa mędrku!

Armas zakrztusił się własnym oddechem i odruchowo aż skulił się w sobie.

W końcu wyprostował się, głęboko urażony. Ach, tak, skoro ona chce, żeby tak było, to niechże sobie tam siedzi! Wobec tego będzie Berengaria. Przynajmniej ułatwiła mi wybór.

Milczenie, jakie ich rozdzieliło, było głębokie niczym otchłań.

- Luki się otwierają - oznajmił Faron. - Witają nas serdecznie.

- O, w to doprawdy wątpię! - mruknęła Sol.

Maszyna Śmierci bezszmerowo wsunęła się do wnętrza znacznie większego od niej statku.

14

Maszyna stanęła na podeście z ułożonych na krzyż stalowych dragów, które głośnie zabrzęczały, gdy zaczęli po nich stapać.

Mieli stąd widok na rozciągający się w dole pokład, lecz tam nie było co oglądać.

Jedynie białoszare ściany i podłoga.

Nikt nie wyszedł im na spotkanie, lecz Lenore z kwaśną miną i bardzo niechętnie

poprowadziła ich jakimś korytarzem, w którym otworzyły się przed nimi drzwi. Za drzwiami czekał na nich głównodowodzący Ingelgerius wraz z garstką swoich ludzi.

Drgnął, gdy zobaczył, kto idzie. Nie znał ani Marca, ani Sol.

- Gdzie Talornin i piloci? - spytał ostro. Lenore, która zamierzała krzyknąć: „Zastrzelić ich!”, ku swemu własnemu zdumieniu usłyszała, jak z jej ust padają dziwaczne słowa:

- Talornin nie żyje, a piloci zdezerterowali. Ci dwoje mnie tu przywieźli.

Dlaczego ja to mówię? pomyślała zrozpaczona. Przecież chcę paść Ingelgeriusowi w ramiona i rozkazać, by pojmał wszystkich, którzy są w Maszynie Śmierci, lecz nic takiego nie mogę zrobić!

Znów ta przeklęta Sol! Poprzednim razem zniszczyła moje życie, każąc mi myśleć na głos, teraz z kolei nie pozwala mi wypowiadać własnych myśli!

Tym razem jednak Sol nie działała w pojedynkę. To Marco wzmógł skuteczność jej czarów i zasugerował Lenore, by wypowiedziała właśnie te, a nie inne słowa.

Teraz on się odezwał:

- Przyjeżdżamy po zakładników.

- Jakich zakładników?

- Móriego i Berengarię.

- Nie mamy pojęcia, o czym mówicie.

Na Ingelgeriusa najwidoczniej nie tak łatwo było wpłynąć jak na Lenore.

Sol przyglądała się jego topornej, brutalnej twarzy, z której, owszem, mogła emanować pewna siła przyciągania, działająca przynajmniej na takie kobiety, które pragną żyć z przestępcami i zbrodniarzami, ponieważ uważają to za bardzo emocjonujące. Nie mogła pojąć, jakież to właściwie gust ma bardzo wykształcona przecież Lenore.

Może ta kobieta jest naprawdę wszystkożerna, nie ma absolutnie żadnego gustu, jeśli chodzi o mężczyzn?

No owszem, aż ślina jej ciekła na widok Faroną czy Marca, ale to akurat nic

dziwnego.

O dziwo, na brzydkiej twarzy Ingelgeriusa pojawił się wyraz, który w zamiarze miał chyba wyobrażać życzliwy uśmiech.

- Ale wejdźcie, proszę! - słodko powiedział ochryłym głosem. - Jesteście tylko wy?

- Nie, jest nas więcej.

- No to ich przyprowadźcie, wszyscy są mile widziani na pokładzie mojego statku.

A potem porozmawiamy spokojnie przy stole, dostaniemy coś do picia.

Strzelił palcami do jednego ze swoich ludzi na znak, że ma przyprowadzić gości.

Marco wyszedł razem z nim, lecz Sol została przy Lenore, by trzymać w szachu jej myśli i słowa.

Lenore jednak nie mogła tego znieść. Pospieszyła za Markiem i Sol została bez możliwości utrzymania nad nią kontroli. Ingelgerius robił, co w jego mocy, żeby przywołać Lenore, lecz na próżno. Była na to zbyt stanowczą i samowolną kobietą. Zawsze musiała dostać to, czego pragnęła. To inni musieli dostosowywać się do niej.

Sprowadzono tylną straż. Marco z czułym uśmiechem położył dłoń na karku Gii, a buzia dziewczyny zdradzała ulgę i radość, że znów go widzi. Lenore tylko prychała, obserwując tę scenę. Gii natomiast ani trochę się nie obawiała, nie dostrzegała bowiem w niej rywalki. Zresztą ona w ogóle nie bała się rywalek, wszak przecież nigdy nikogo takiego nie było.

Ram chciał rozmawiać z Markiem, który zostawił Gię pod opieką Farona.

Szli teraz inną drogą. Z zewnątrz widzieli, że statek kosmiczny przypomina stylizowaną rozgwiazdę z długimi ramionami, najwyraźniej znajdowali się właśnie w jednym z takich ramion.

Lisa żałowała, że zachowała się tak nieprzyjaźnie wobec Armasa. Przecież on na pewno chciał dobrze, ale ją już od dawna irytował ten jego nauczycielski, mędrkowaty ton. Teraz, chcąc naprawić swoje nieładne zachowanie, starała się

trzymać blisko niego.

Wyglądało jednak na to, że Armas wciąż się na nią gniewa.

Dziwiła się samej sobie, że nie zareagowała na absurdalną sytuację, w jakiej się znajdowali. Zupełnie jakby przebywanie we wnętrzu statku kosmicznego było dla niej najzwyczajszą rzeczą pod słońcem. Równie dobrze mogłaby wędrować teraz czystym, ładnym przejściem podziemnym w Pradze.

Nie potrafiła pojąć własnych reakcji. Może w ostatnich dniach zbyt wiele się wydarzyło?

Pewnie nie była daleka od prawdy.

Jej towarzysze sprawiali wrażenie dość spiętych, lecz ta niezwykła sytuacja jakby nie poruszyła ich w żaden szczególny sposób. Na pewno niejedno już przeżyli, wszyscy z wyjątkiem tej młodej dziewczyny Gii, ślicznej, przypominającej elfa istotki. Ona jedna zdawała się przyjmować wszystko z ogromną ciekawością, z zapalem odkrywcy.

Lenore szła pogrążona we własnych myślach. Nie bardzo wiedziała, na kogo powinna teraz postawić, kogo obdarzyć swymi łaskami, Marca czy Faroną.

Ingelgeriusa już przecież miała, mógł teraz trochę zaczekać.

Marco okazał się głupkiem, powinna go za to ukarać. Postanowiła wrócić do Faroną, to on wygrał. Wiedziała, że prędzej czy później jej ulegnie, potrzebował tylko na to trochę czasu. A ten swój nieco zbyt ostry ton przybrał jedynie po to, by nie zdradzić, jak bardzo pociąga go Lenore.

W milczeniu wędrowali przez oświetlony przytłumionym światłem korytarz.

Szok był straszliwy. Marco zdążył jedynie powiedzieć: „Mijamy jakieś dziwne pomieszczenie”, gdy nagle i z przodu, i z tyłu opadły w dół ściany, przypominające drzwi przeciwpożarowe, odcinając drogę tym, którzy szli na końcu.

Ram, Kiro, Sardor, Nim i Zinnabar, a więc sami silni Strażnicy, wraz z Markiem mogli iść dalej, cała reszta natomiast została schwytana w pułapkę. Armas, Lisa, Lenore, Indra, Gia i na szczęście również Faron i Algol.

Były tu wszystkie dziewczęta, oprócz Sol, która wraz z Ingelgeriusem przebywała

w zupełnie innym miejscu.

Ram pięścią uderzył w pomalowane na biało stalowe drzwi.

- Indra? - zawołał.

A Marco szepnął cicho:

- Gia?

Lisa poszukała ręki Armasa. Oboje znaleźli się w odgradzonej części.

- Co się stało? - spytała Indra.

- Gdzie my jesteśmy? - dziwił się Algol.

Faron rozejrzał się dokoła.

- Nie mam pojęcia.

Utknęli w pozbawionej jakichkolwiek charakterystycznych urządzeń części korytarza. Z obu stron drogę zagradały im stalowe drzwi, nie mogli się stąd wydostać. Wyglądało na to, że jest to zwykły odcinek komunikacyjny, nie pełniący żadnej wyraźnej funkcji, pozbawiony jakichkolwiek szczególnych znaków. Tylko wzdłuż sufitu umieszczone zostało coś na kształt wentyli, a pod jedną z dłuższych ścian stał duży kontener. Poza tym nic więcej tam nie było.

Twarz Farona wyrażała tłumiony niepokój. Przyglądał się wentylom i bardzo mu się one nie podobały. Coś było w nich nie tak, chociaż nie potrafił stwierdzić, co. Lenore z wolna ogarniała histeria.

- Nie możecie mi tego zrobić! Ingelgeriusie!

Wyciągnęła swój małeńki mikrotelefon.

- Ingelgeriusie! Wypuść mnie stąd! Natychmiast! I odpowiadaj, dlaczego nie odpowiadasz?

- Ty na pewno dasz sobie radę - zauważył cierpko Faron. - Gorzej natomiast będzie z nami.

Zorientował się, że powietrze zaczyna jakby zmieniać swoją gęstość. Jeszcze nie bardzo, jeszcze przez pewien czas sobie poradzą, ale to, niestety, nie może trwać w nieskończoność.

Wentyle! To właśnie za ich przyczyną zaczynało brakować powietrza, to one wysysały je stąd w zdecydowanie zbyt szybkim tempie. Pomieszczenie wyglądało na komorę śmierci dla kłopotliwych gości. Postanowił jednak nie dzielić się z nikim swoim odkryciem.

Rozejrzył się wkoło. Algol i Armas byli Strażnikami, oni nie wpadną w panikę.

Indra jest silna, ale trzy pozostałe kobiety? Przerażona do szaleństwa Lenore już się go uczepliła, a Gia i Lisa to przecież bezbronne młode dziewczyny, nie mające żadnej odporności. Jak zdoła uchronić je przed prawdą?

Wezwał Kira, lecz nikt nie odpowiedział.

Co mogło się z nimi stać? zastanawiali się wszyscy.

- Musimy na chwilę o nich zapomnieć - oświadczył Faron. - Naprawdę mamy teraz dość własnych problemów.

Indra popatrzyła na niego z twarzą kompletnie pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Ona rozumie, pomyślał Faron. A właśnie ona ma najwięcej powodów, by się bać.

15

Ingelgerius wściekał się na swoich pomagierów.

- Jak, do diabła, mogliście okazać się tacy niezdarni! Niedojdy! Mieliście przecież pojmać tych, co szli przodem, całą tę bandę Strażników, a nie stado dumnych bab! Teraz Strażnicy będą się mogli swobodnie kręcić po statku. Skończcie przynajmniej z tymi kobietami!

Ze złością nakazał części swych ludzi rozprawić się ze Strażnikami.

Algola zainteresował kontener. Faron uwolnił się od Lenore i podszedł do niego, za nim ruszyła Indra, a po pewnym czasie również wszyscy pozostali.

Wszyscy, oprócz Lenore, która zaczęła pięściami walić w stalowe drzwi z żądaniem, by ją stąd wypuszczono. Gdy to na nic się nie zdało, znów przyłączyła się do Farona, kurczowo łapiąc się rękawa jego szaty.

Nie znaleźli żadnej szczeliny w kontenerze, gdy jednak badali jego ścianki w

poszukiwaniu jakiegoś otworu, nagle poczuli coś nowego.

Faron uniósł głowę.

- Dolg jest tutaj - powiedział cicho.

- Tak - ucieszyła się Indra. - To właśnie było to.

Lenore uderzyła w krzyk, gdy nagle jakaś postać z wolna zaczęła nabierać kształtów.

Dolg znów był z nimi.

Wiele twarzy rozjaśnił radosny uśmiech, lecz Lisa widziała jedynie nadzwyczaj pięknego młodego człowieka o marzycielskim wyrazie twarzy. A instynkty Lenore rozbudziły się na nowo.

Przyjaciele bardzo serdecznie powitali Dolga.

- Algol ma rację - powiedział swoim miękkim głosem. - Mój ojciec i Berengaria są tam w środku. Ale nie możemy do nich dotrzeć, nawet ja nie jestem w stanie przeniknąć przez ten pancerz.

Faron popatrzył na niego i spytał cicho, starając się panować nad głosem:

- Zostało nam mało czasu? Mam na myśli nas, tutaj.

- Owszem - odparł Dolg tak samo cicho.

- A oni? Twój ojciec?

- Od dawna już nie mogę się z nim skomunikować.

- A... z Berengarią?

- Jeszcze dłużej.

Na twarzy Farona nie odmalował się żaden wyraz, była jak martwa.

Powiedział jednak na głos, próbując rozluźnić atmosferę:

- Przydałby nam się tu teraz czarnoksiężnik Móri z jego zaklęciami, otwierającymi wszystkie zamki.

Ale to właśnie Móriego musieli uwolnić z zamknięcia.

- „Rozmawiałem” z nim o tej sprawie. On już próbował, lecz tego pancerza nie imają się żadne zaklęcia.

Oddychanie zaczynało sprawiać trudności uwięzionym w korytarzu. Lenore,

przerażona do szaleństwa, uczepliła się i tak już dość poirytowanego Faroną.

Algol nie przestawał obmacywać trzech widocznych ścian kontenera.

- Są tu jakieś nierówności, Faronie. Gdybyśmy mogli się na to wspiać...

- Ja mogę - ożywiła się Gia. - Jeśli mnie podsadzisz.

Algol z przyjemnością pomógł tej drobnej, zgrabnej istotce. Gia była taka leciutka, że kiedy stanęła mu na barkach, ledwie to poczuł.

- Nic tu nie ma - zawołała po chwili i ufnie zeskoczyła mu prosto w ramiona.

Algol ledwie zdążył ją złapać.

- Impulsywne stworzenie - powiedział cierpko.

- Nieodrodna córka swego ojca - skomentował Faron.

Wszyscy zauważali, że Gia z dnia na dzień staje się coraz dojrzalsza. Ich wyprawa trwała już długo i Gia wkrótce miała osiągnąć wiek, w którym wszyscy się zatrzymywali, mniej więcej trzydzieści lat. Rozwijiała się w szalonym tempie, podobnie jak inne elfy, ale czy była teraz mniej dziecinna i mniej spontaniczna, to zupełnie inna sprawa. Te cechy odziedziczyła po swoim ojcu Tsi - Tsundze.

- Ale tam, w górze, bardzo trudno się oddycha - oznajmiła ożywiona.

No cóż, akurat z tego Faron doskonale zdawał sobie sprawę.

Znów ścisząc głos, spytał Dolga:

- Czy mamy rację, mówiąc, że to komora śmierci?

- Obawiam się, że raczej tak.

- Ale jak oni się tu znaleźli, w tym kontenerze?

- Ojciec „opowiadał”, że Talornin i Ingelgerius dość prędko przekonali się, że z tą trójką, to znaczy z Mórim, Berengarią i Armasem, nie tak łatwo zdołają skończyć.

Dlatego zamknięto ich tutaj. Pomocnicy Talornina mogli ich stąd wyrzucić, jak zresztą po pewnym czasie postąpili z Armasem, który był z nich trojga najsłabszy, a w dodatku uważali, że jest umierający. Ale pozostałą dwójkę postanowili potrzymać jeszcze przez jakiś czas jako zakładników.

- To znaczy, że Móri wiedział, że znajduje się na pokładzie statku kosmicznego?

- Nie, dopiero ja mu o tym powiedziałem. Banda Talornina przynosiła im trochę

jedzenia i picia, bo przecież martwi zakładnicy nie są wiele warci. Ale przez ostatnie dni nie dostawali już absolutnie nic. Dlatego właśnie obawiam się, że jest z nimi źle.

- A dlaczego nic im nie dawano?

- Te łotry nie mogły się tu przedostać, wszystko przestało funkcjonować.

Faron popatrzył na niego, a potem gwałtownym ruchem przeczesał włosy.

- Ach, nie! To my zmieniliśmy ich kody i spowodowaliśmy całą tę straszną sytuację!

- Wydaje mi się, że jednak się mylisz. To znaczy rzeczywiście zakłóciliście system łączności i działanie innych urządzeń technicznych, ale nie tutaj. Tu za każdym razem otwierał Talornin, a on nie wracał.

Na twarzy Farona malowała się teraz rozpacz.

- Tymi słowami nie uwolnisz mnie od poczucia winy. To my zniszczyliśmy Talornina. Ach, cośmy uczynili Móriemu i Berengarii!

Lenore histerycznie chwytła ustami powietrze. Indra poprosiła ją o spokój, tłumaczyła, że w ten sposób tylko pogarsza całą sprawę.

- Ale przecież ja umieram! Ja mogę umrzeć! Czy nikt mnie nie uratuje? Przecież ja mogę umrzeć!

- Wszyscy możemy - oświadczyła Indra lodowatym tonem. - Ale żadne z nas nie histeryzuje tak okropnie jak ty.

Armas krążył po pomieszczeniu, usiłując znaleźć jakieś wyjście, lecz bez powodzenia. Lisa starała się dotrzymać mu kroku, lecz była bardzo osłabiona i chwiała się na nogach, nie przebywała wszak pod Świętym Słońcem tak jak inni. Indra złapała Armasa za rękę.

- Słuchaj no, mój chłopcze! Zajmiesz się teraz tą nieszczęsną dziewczyną! - syknęła cicho. - Gdzie te twoje dżentelmeńskie maniery, które okazywałeś Kari? Gdzie twoja czułość, troskliwość i ciepło? Przecież jak zechcesz, to potrafisz! Armasowi twarz się ściągnęła.

- Nie mogę. To nie byłoby fair wobec Berengarii, rozumiesz chyba? Jeszcze

mogłaby mnie źle zrozumieć. Przecież ona mnie kocha.

Indra wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Berengaria? Kocha ciebie? Co ty, u diabła, sobie wymyślasz?

- Ach, nie masz pojęcia, jak bardzo ona mnie uwielbia!

- Bzdury! Minęła już cała wieczność od tamtego czasu, kiedy się w tobie podkochiwała, i to w dodatku przez krótką chwilę. Wierz mi, to bardzo prędko minęło.

Armas dumnie wyprostował głowę i popatrzył na Indrę z góry.

- Ty o niczym nie wiesz. Berengaria i ja się kochamy.

Indra zamknęła oczy i westchnęła.

- No cóż, skoro tak się upierasz. Ale mimo wszystko zmiłuj się nad tą dziewczyną, zanim ona zemdleje.

- Dobrze, już dobrze, ale pamiętaj, nigdy nie zdradzę Berengarii.

Indra nie odpowiedziała, po prostu od nich odeszła. Bo ona także oddychała z coraz większym wysiłkiem i powoli zaczynało jej się robić słabo. Armas zdażył jeszcze zobaczyć, że pod Lisą uginają się nogi, pochwycił ją, wziął na ręce i tak jak stał, usiadł z nią na podłodze, gdyż niżej było najwięcej powietrza.

Twarz Faron badającego kontener nagle się rozjaśniła, jakby odżyła w nim nadzieja.

- Dolgu, mówiłeś, że to Talornin od czasu do czasu otwierał to pudło?

- Zawsze. Ojciec mówił, że za każdym razem ukazywała się jego twarz. Ale tu w ogóle rzadko ktokolwiek zaglądał.

- Jeśli Talornin mógł otworzyć ten kontener, to i ja powinienem... - zaczął Faron zamyślony. - Nie mogli zastosować tu uniwersalnego kodu, bo on jest ważny jedynie w Królestwie Światła, to musi być coś zupełnie innego.

Pozostali czekali w napięciu. Zostało już tak mało powietrza, że z trudem trzymali się na nogach. Musieli opierać się o ściany. Faron cały czas tulił Gię do siebie, może chciał w ten sposób uniknąć nagabywań Lenore?

Rozmawiali jak najcichszym szeptem, urywanymi zdaniem, bo wypowiedanie

słów kosztowało ich już wiele wysiłku.

- Wydaje mi się, że się domyślam, jakiego kodu on użył - powiedział z namysłem Faron. - Jednego ze specjalnych kodów Obcych. Niestety, pozwolono mu uczęszczać do naszych szkół, pomimo iż był jedynie pół - Obcym.

Faron przyłożył dłonie do przedniej ściany kontenera i zaczął w niego bębnić koniuszkami palców w atonalnym rytmie, którego nie dało się powtórzyć. Indrzej wydawało się, że jest on podobny do z pozoru przypadkowej kolejności, z jaką Anglicy uderzają w swoje posiadające wiele różnych głosów kościelne dzwony, z tą tylko różnicą, że tutaj nie rozbrzmiewała żadna ogłuszająca kakofonia dźwięków i słycać było jedynie delikatne uderzenia koniuszków palców w martwy pancerz.

Może był to jakiś zawity system, przypominający alfabet Morse'a albo stukanie na maszynie do pisania?

- Co on robi? Mamy czas na takie głupstwa? - wykrzyknęła Lenore, z trudem chwytając powietrze.

Faron opuścił ręce z grymasem rezygnacji na twarzy.

- Pomyliłem się w liczeniu. Zatkaj jej usta, Algolu!

Pomimo urażonych protestów Lenore, Algol zdołał jakoś nad nią zapanować.

Zresztą pewnie i jej słabość zaczynała dawać się we znaki.

Faron zaczął od nowa i teraz wszyscy zachowali milczenie.

Algol mógł puścić Lenore, która nie chciała już więcej narażać się „na dotyk jego brudnych palców” na delikatnej skórze.

Kod był strasznie zawity i Faron kilkakrotnie musiał robić przerwy, żeby przypomnieć sobie jego kolejne części. Zaraz jednak znów zaczynał stukać.

I wreszcie! Z westchnieniem ulgi opuścił swoje dziwne dłonie, piękne, delikatne dłonie z charakterystycznymi dla Obcych sześciopalcowymi palcami.

- Skończyłem. Przekonamy się teraz, czy to było to, czy też zupełnie co innego, o czym nie mam najmniejszego pojęcia.

Pomieszczenie spowiła cisza. Słycać było jedynie ciężkie, niemal chrapliwe

oddechy. Lisa wyglądała już bardzo źle, twarz miała szarą, spoconą, ręką ścisnęła się za udręczone gardło, a jej oddech był naprawdę straszny.

Nagle jednak w przedniej ścianie kontenera zrobiła się wąziutka szczelina, która powoli się rozszerzała. Ukazał się stosunkowo wysoki i szeroki właz.

- Ach! - ucieszył się Faron. - A więc się udało!

16

Faron spoważniał. Otwarcie kontenera to jedno, a sprawdzenie, co znajduje się w środku, to zupełnie inna sprawa.

Nigdy jeszcze nie widzieli, żeby był tak sztywny ze strachu. Jakby starał się zamrozić wszystkie swoje uczucia, i to jedynie po to, by znaleźć w sobie dość odwagi i zajrzeć do środka.

Jeśli ktokolwiek - może Lenore - miał nadzieję, że z kontenera napłynie świeższe powietrze, to szybko musiał się pożegnać z takimi marzeniami. Ze środka buchnął, łagodnie mówiąc, nieprzyjemny zaduch i Lenore aż odrzuciło. Inni byli bardziej przygotowani na coś podobnego i zareagowali z większym spokojem.

Zapach był pierwszym wrażeniem.

Wreszcie jednak zajrzeli do środka.

Ujrzeni nieprawdopodobnie wprost ciasne i ciemne jak grób pomieszczenie.

Niepojęte, jak troje ludzi mogło się tam w ogóle zmieścić! Teraz było ich wprawdzie tylko dwoje, lecz i tak musiało być strasznie.

- Ach, nie, to nieprawda! Takich rzeczy nikt nie może zrobić! - jęknęła Indra przerażona.

Wszyscy przez moment stali jak sparaliżowani, wreszcie jednak Faron i Algol ocknęli się i skoczyli po nieszczęśników. Zaraz też i inne ręce wyciągnęły się do pomocy.

Ludzie w kontenerze byli nieprzytomni.

- Chwileczkę, ostrożnie! - wołała Indra. - Przecież oni mogą się rozsypać na kawałki, jeśli tak będziecie ich szarpać!

To ostrzeżenie wydawało się jak najbardziej na miejscu. Móri i Berengaria byli tak

chudzi i wycieńczeni, że wszyscy obawiali się najgorszego. Siedzieli pionowo niby azteckie mumie, plecami oparci o ścianę, z nogami podciągniętymi pod brodę, by w ogóle się tam zmieścić.

Móri siedział z brzegu. Dolg i Algol wspólnymi siłami rozprostowali jego ciało do normalnej pozycji, lecz nie potrzeba było męskiej siły, by go unieść. Jego wagę można liczyć w gramach, pomyślała Indra. Bardzo chciała coś zrobić, lecz uniemożliwiał to brak miejsca. Mogła jedynie czekać.

Odkryła przy tym, że Dolg wcale nie stara się podnieść ojca. Przeżyła niewielki wstrząs, uświadomiła bowiem sobie, że Dolg przestał już być zwykłym człowiekiem, jeśli oczywiście kiedykolwiek nim był. Teraz przyjął postać elementarnego ducha, który się zmaterializował, i zapewne istniały ograniczenia jego ziemskich poczynań. To Algol wziął czarnoksiężnika na ręce i ułożył go delikatnie na podłodze.

Teraz przyszła kolej na Berengarię.

- Jak oni wyglądają! Jak strasznie cuchną! - wzdrygnęła się z obrzydzeniem Lenore.

Ogromnie rozzłościła tym Indrę.

- A ty byś lepiej wyglądała po tygodniach spędzonych w tym pojemniku? Pomóż nam teraz, zamiast tylko stać i narzekać!

Lenore odwróciła się. Praca była poniżej jej godności.

- Ojczy - gorzko zaśmiał się Dolg, ogarnięty rozpaczą. - Czy ty zawsze musisz pozwalać, by cię zakopywano?

Przypomnieli sobie, że Dolg jako dziecko musiał ratować Móriego z pomocą błękitnego szafiru. Później zaś Marco przywołał czarnoksiężnika z powrotem do życia po tym, jak Móri przez dwieście lat spoczywał pod ziemią z wbitym w ciało kołkiem. Teraz znów sytuacja się powtórzyła. Wydawało się, że Móri po raz kolejny przekroczył granicę.

A przecież Dolg niezbyt dużo wiedział o wielu długich miesiącach, jakie bardzo młody Móri spędził pod ziemią w niezwykłym systemie grot Surtshellir na Islandii.

Dolg myślał głośno:

- A teraz nie ma tu z nami ani Marca, ani szafiru.

- To prawda - odparł Faron z wysiłkiem. - Unoście ją ostrożnie, ona jest przecież...

Nie chciał na głos wymawiać słów, które mu się nasunęły: „kruchym szkieletem”.

- Czy oni żyją? - pytał Armas. Nie mógł patrzeć na cudowną Berengarię w takim stanie.

- Nie wiem, Armasie - odparł Faron niewyraźnym głosem. - Nie wiem.

- W ojcu na pewno tli się jeszcze iskra życia, trzeba więcej, żeby go zniszczyć -

odparł Dolg. - Bardziej niepewne jest natomiast, co z Berengarią.

Faron rozejrzał się wkoło zrozpaczony.

- A co my im możemy zaproponować? Komorę śmierci?

- Co takiego? - rozwrzeszczała się Lenore.

Nikt się nią nie przejmował.

- Masz rację, Dolgu - ciągnął Faron. - Potrzeba nam teraz albo Marca, albo szafiru.

Kłęczał, tuląc do siebie Berengarię. Dolg w ten sam sposób trzymał ojca w ramionach. Indra i Algol usiłowali opatrywać najgorsze zranienia zamkniętych, nie wiedząc właściwie, od czego zaczynać.

Tę niezwykle trudną sytuację, która wydawała się bez wyjścia, odwróciła Gia.

- Hm - chrząknęła niepewnie. - Ja... eee... dostałam coś od babci...

Popatrzyli na nią bez większych nadziei. Dziewczyna wyciągnęła maleńką skózaną sakiewkę, którą nosiła zawieszoną na szyi.

- Babcia powiedziała, że to dla mnie na szczęście. Proszek elfów. Ale można go też użyć...

- Elfów? - ożywił się Faron. - Mów dalej, Gio!

Wiedzieli przecież, że w żyłach jej babci płynęła krew elfów, podobnie jak w żyłach Tsi - Tsunggi, który również nosił przy sobie remedia elfów i dzięki nim ocalał ich w Górach Czarnych. Wówczas był to środek innego rodzaju: ziarenka życzeń.

Gia pokiwała głową.

- Babcia mówiła, że mogę zjeść trochę tego proszku, jeśli zachoruję.
Faron wyciągnął drżącą rękę. Gia ufnie położyła na niej skórzany woreczek.

- Tylko troszeczkę - przestrzegła.

- Oczywiście. Otwórz to, Indro, ja nie mam dostatecznie swobodnych rąk.
Indrze z przejęcia plątały się palce, w końcu jednak udało jej się rozwiązać supeł i wyciągnęła szczyptę zielonego proszku.

- Trzeba to popić wodą - wyjaśniła Gia.
Algol czym prędzej; zaczął szukać butelki z wodą.

- Najpierw Berengaria - oświadczył Dolg. - Ojciec jest z twardszej materii.

- Ale w jaki sposób skłonimy ich, żeby to przełknęli? - jęknęła Indra, pomagając Faronowi wsunąć proszek elfów jak najgłębiej do ust Berengarii. Nawet w tym strasznym stanie, w jakim w tej chwili była dziewczyna, dało się dostrzec jej urodę.

Lisa straciła przytomność, ale nikt nie mógł teraz jej pomóc, nie mieli na to czasu.
Algol przyniósł butelkę z wodą. Wszyscy obchodzili się z Berengarią najdelikatniej jak umieli, lecz mimo to strasznie się bali, że jej delikatna skóra i wysuszone błony śluzowe popękają.

- Przełknij - szeptał Faron zdenerwowany. - Przełknij, proszę!
Kiedy usta dziewczyny napełniły się wodą, odruchowo przełknęła.

- Ona żyje - szepnęła Indra.

- Nie możemy mieć żadnych nadziei - odparł Faron. - To mógł być zwyczajny odruch.

Wszyscy jednak wiedzieli, że nie ma racji. Martwe ciało nie mogło zrobić czegoś podobnego.

W milczeniu dziękowali Świętemu Słońcu, które dostatecznie długo świeciło nad Berengarią, przydając jej odporności.

Indra i Algol zbliżyli się do Móriego i teraz to samo powtórzyli z nim. Jak się spodziewali, Móri był silniejszy i natychmiast przełknął lekarstwo.

- Dziękuję ci, Gio - szepnął Dolg z głębi serca.

- O, tak - zawtórował mu Faron, do którego zaraz dołączyli inni. - Dziękujemy, Gio. Delikatna twarzyczka dziewczyny rozpromieniła się niczym słońce.

Wciąż jednak nie wiadomo było, jaki będzie rezultat ich działań. Wiedzieli jedynie, że nieszczęśliwi więźniowie otrzymali zaledwie szansę na przeżycie.

Lenore wpatrywała się w Farona, którego zamierzała zdobyć. I uczyni to, byle tylko dano jej trochę czasu. Stała oparta o ścianę i nie mogła pojąć tego, co widzi: wyrazu twarzy tego szlachetnego, ze wszech miar godnego pożądanego Obcego. Czulości, z jaką trzymał tę kupkę kości. To absolutne szaleństwo, czyż on nie widzi, że ona, Lenore, tu stoi? Ona, najpiękniejsza, której przecież pragnęli wszyscy. A tamta to zwyczajna kobieta ludzkiego rodu, najzupełniej niegodna Obcego, w dodatku z takim wyglądem? Jak można się zainteresować podobnym straszidłem? Zresztą ona na pewno już nie żyje, i całe szczęście.

Móri drgnął odrobinę.

- Wszystko będzie dobrze - zaczął Algol. - On powoli przychodzi do siebie. A co z nią?

- Wydaje mi się... - zaczął Faron. - Mam wrażenie, że życie jeszcze się w niej tli. Gio, żądaj, czego tylko chcesz, dostaniesz wszystko!

- Bardzo bym chciała, żebyśmy wszyscy stąd wyszli - powiedziała Gia naiwnie. Była tak dumna z uznania, z jakim spotkał się jej czyn, że wciąż nie przestawała się uśmiechać.

- Doprawdy, żądasz rzeczy niemożliwej - mruknął Faron pod nosem.

Berengaria bardzo wolno otwierała udręczone oczy. Kiedyś takie piękne, były teraz zamglone, zupełnie pozbawione blasku.

Ale w kącikach jej ust dawał się dostrzec cień uśmiechu.

- Przyszedeś - szepnęła ledwie słyszalnie.

- Szukałem cię całymi dniami i nocami - odparł Faron wzruszony. - Teraz wszystko już będzie dobrze.

Ale jakim sposobem? Jak oni się stąd wydostaną?

Armas, który stał nad nimi pochylony, rękami wspierając się o kolana, nie usłyszał

ich słów, dostrzegł tylko, że Berengaria żyje i odzyskała przytomność.

- Berengario, popatrz tutaj! To ja. Bądź spokojna, zaopiekuję się tobą. Od tej pory będziemy zawsze razem. Przesuń się odrobinę, Faronie, ja się nią zajmę.

Ponieważ żadne z nich się nie ruszyło, jakby nie mając dla niego czasu, zirytował się trochę.

- Berengario, wiem, że cię nie zauważałem i odrzuciłem, gdy prosiłaś o moją miłość, ale teraz...

Dziewczyna z wielkim wysiłkiem przeniosła spojrzenie na niego.

- Tak, to ja, twój Armas, nie żadne przywidzenia!

Odpowiedzią było jedynie zamglone, pozbawione wyrazu spojrzenie, a potem Berengaria wygodniej ułożyła głowę na ramieniu Faronia i z powrotem zamknęła oczy.

Faron nie podnosił głowy, nie chciał jeszcze bardziej zawstydzić Armasa. Ale szczęście, oddanie, tkwiące w tym drobnym geście Berengarii, i gotowa ją wspierać dłoń Faronia, tak pełna czułości, nie pozwalały już nikomu się mylić.

Armas zaczerwienił się mocno i odwrócił. Niemal biegiem ruszył do opuszczonej Lisy. Tam przy niej przykucnął.

- Wybacz mi! - pełnym żalu głosem zaczął przemawiać do nieprzytomnej dziewczyny. - Okazałem się prawdziwym idiotą, zawsze byłem idiotą, przez cały czas!

Wiedział o tym. Nie chciał dostrzec tego, co znajdowało się tuż obok, tylko dlatego, że Berengaria była prawdziwą piękną. Dał się również złapać na lep najpiękniejszej z kobiet w Królestwie Światła, Lenore. Padł przed nią plackiem, zareagował wulgarnie i prostacko jak większość niedojrzałych mężczyzn.

Jakież wstyd! Jak można być tak głupim!

A tu Lisa leżała sama, opuszczona. Oburzała się na jego nieokrzesanie, a on tylko się na nią gniewał, tymczasem ona teraz umiera, a jego nawet to nie obeszło.

Cóż, umieranie, w nim również rozpoczął się już ten proces, we wszystkich, którzy tu byli. Tyle że w ich przypadku to potrwa dłużej. Ale Gia i Indra już skuliły się pod

ścianą, brakowało im sił.

Armas nic nie mógł poradzić na to, że z ust wydarł mu się głuchy szloch.

- Ach, Liso, ty na to nie zasłużyłaś!

Lecz nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł.

Może jednak mógł coś dla niej zrobić?

- Gio! - zawołał i podszedł do dziewczynki. - Czy mógłbym dać Lisie trochę twojego proszku elfów?

- Dobry pomysł, Armasie - pochwalił go Faron.

Gia z wielkim trudem wyciągnęła skórzaną sakiewkę, lecz zaraz potem znów osunęła się na ziemię. Sama powinnaś go trochę zażyć, pomyślał Armas, ale z Lisą trzeba się bardziej spieszyć.

Gdy już pędził do Lisy, zatrzymała go Lenore.

- Oddaj mi to! - zażądała, sycząc ochryple. - Szybko, muszę zażyć proszek!

Usiłowała wyrwać skórzaną sakiewkę Armasowi.

Algol nagle uniósł głowę.

- Ciii! Przestańcie! Co to za odgłos? Nie słyszycie?

17

Kiedy Marco i pięciu Strażników zobaczyli opadającą „ścianę przeciwpożarową”, w pierwszej chwili, rzecz jasna, próbowali ją otworzyć na wszystkie wyobrażalne sposoby. Niestety, bez powodzenia. Tu nie pomogły nawet nadnaturalne zdolności Marca. Ściana ani drgnęła.

- Jest kontrolowana z jakiegoś innego miejsca - stwierdził Ram, rozcierając ręce, które poranił sobie niemalże do krwi waleniem w ścianę.

- Co robimy? - zastanawiał się Kiro. - I gdzie jest Sol? Przecież ona miała pilnować Lenore, ale Lenore przyłączyła się do grupy Farona.

Marco westchnął.

- Nie wiem. Musimy znaleźć centralę operacyjną, która nadzoruje te drzwi. Czy może raczej należałoby nazwać je ścianami, wszystko jedno.

- Myślałem, że Kiro zakłócił całą tę ich elektronikę - powiedział Sardor.

- Najwyraźniej to nie dotyczyło tych ścian.

Zaczęli wędrować korytarzem, prędko, nerwowo. Ram akurat wydał Nimowi rozkaz, żeby został na straży pod ścianą, gdy wszyscy nagle się zatrzymali. Marco miał już ich przestrzec, że właściwie przecież oddalają się od centrum statku kosmicznego, lecz nawet tego nie zdążył, gdyż z przeciwka nadciągała spora grupa ludzi Ingelgeriusa. Liczebność tej grupy ocenili na dwudziestu mniej więcej mężczyzn. Wszyscy oni wprost zionęli żądzą walki, w rękach trzymali pistolety.

Ram nie musiał wydawać swoim przyjaciołom żadnych rozkazów, i bez tego doskonale zdawali sobie sprawę, że jeśli w pistoletach znajdują się śmiertelne gazowe naboje, to oni i tak są bez szans. Gdyby natomiast była to tylko broń obeszczepiająca, to muszą chronić usta i nos.

Przewidzieli taką sytuację, jeszcze zanim wyruszyli w drogę do statku kosmicznego. Teraz czym prędzej podciągnęli wysokie kołnierze i wyjęli własną broń, z której mogli strzelać jedynie usypiającymi nabojami.

Ponieważ nie mieli gdzie uciekać, nie było też nic, za czym mogliby się ukryć, natychmiast rozgorzała otwarta walka.

I tak by się stało, gdyby Zinnabar w ostatniej chwili nie dostrzegł jakichś drzwi, niemal zlewających się ze ścianą i ledwie - widocznych. Otworzył je i wszyscy wbiegli do środka.

Nim był ostatni i to on został trafiony. Kiro wciągnął go do pomieszczenia, a potem czym prędzej zatrzasnęli drzwi za sobą i zamknęli na klucz.

Zdążyli jeszcze zobaczyć, jak troje wrogów pada na podłogę. Cóż, przynajmniej dobrze celowali.

Bardzo się bali, bo nabój, który powalił Nima, nie był wypełniony gazem obeszczepiającym. Strzał mógł więc być śmiertelny.

Strażnik został trafiony w ramię. Ram czym prędzej zerwał z niego górę kombinezonu i wtedy okazało się, że Nim, na szczęście, został tylko draśnięty.

Sardor natychmiast obwiązał mu ramię paskiem, a Ram oczyścił ranę, wycinając

całą otaczającą ją tkankę. Nim był przytomny, lecz nawet nie jęknął.

Przypominało to trochę zabiegi po ukąszeniu śmiertelnie niebezpiecznego węża, kiedy to liczy się każda sekunda.

Potem Strażnicy ustąpili pola Marcowi.

Przyłożył swą gorącą dłoń do otwartej rany.

Teraz wreszcie mieli czas popatrzeć, gdzie się znaleźli.

Pomieszczenie wyglądało na stołówkę. Na szczęście akurat w tej chwili nie było tu nikogo obcego.

Spostrzegli jednak co innego, coś o wiele bardziej .darniującego: w przeciwległej ścianie widniały drzwi, zapewne główne wejście do pomieszczenia, w którym się teraz znajdowali. Oni weszli tu od tyłu. Sardor poszedł zbadać drzwi. Do stołówki przecież, zwykle przylega kuchnia...

Tu jednak było inaczej. Drzwi prowadziły na korytarz, równoległy do tego, którym oni tu przyszli.

I tym właśnie korytarzem nadbiegała już ta sama zgraja wojowniczo nastawionych ludzi.

A te drzwi nie miały żadnego zamka.

Ingelgerius z uznaniem patrzył na Sol. Doprawdy, piękna kobieta, a w kąciku oka czai się jej diabelski błysk, co świadczy o ognistym temperamencie. O, ją koniecznie musi mieć!

Sol uśmiechnęła się do niego wymuszenie.

- Chyba pójde się za nimi rozejrzeć.

- Och, nie, proszę poczekać, piękna damo. Jak sądzisz, dlaczego cię zatrzymałem? Porozmawiamy sobie trochę.

Sol chciała usiąść na krześle, lecz on złapał ją za rękę.

- Nie, nie, moja droga, zrobisz tak, jak ja mówię! Bo tu, na pokładzie, szefem jest Ingelgerius.

- A sądziłam, że Talornin - powiedziała Sol bezczelnie, próbując mu się wyrwać.

Ingelgeriusowi pociemniały oczy.

- Talornin nie żyje! Chodź do mnie, dziewczyno, nie rób już trudności! Przecież ty także tego chcesz, myślisz, że nie rozumiem?

Sol wciąż próbowała wygrać sytuację spokojem.

- Poza tym Lenore jest twoją zwierzchniczką, a ona przebywa tutaj na pokładzie.

Ingelgerius odstłonił w uśmiechu szarobrazowe zęby.

- Lenore? Przecież ona rozkłada się, kiedy tylko na nią spojrzę.

Co do tego nie mam żadnych wątpliwości, pomyślała Sol.

Ingelgerius znów próbował przyciągnąć Sol do siebie. Wiedźma z Ludzi Lodu jednak miała już dość tego wulgarnego grubianina. Oczywiście mogła wyczarować coś paskudnego, uznała jednak, że nie warto tracić sił na kogoś tak nędznego. Uwolniła się dobrze wymierzonym kopniakiem, a Ingelgerius z bólu zgiął się wpół.

Sol wyszła z pokoju, zanim zdążył połapać się w sytuacji.

Gdzie się podziiali tamci? Tyle tu korytarzy, co wybrać? I w każdym zapewne są przeciwnicy, a ich lepiej unikać.

Dobrze wiedziała, jak wygląda statek. Miał ramiona rozchodzące się na wszystkie strony, połączone licznymi korytarzami w taki sposób, że aby przejść do sąsiedniego, nie trzeba było wcale przechodzić przez centrum. Wyglądało to mniej więcej jak pajęczyna.

Kiro? Gdzie może być Kiro? Sol nie potrafiła żyć bez niego. Gdyby odszedł, wszystko straciłoby sens. Gromadziła swoją miłość przez stulecia i teraz nareszcie spotkała kogoś, kogo mogła nią obdarzyć. Wiedziała, że Kiro bardzo to ceni.

Przez chwilę krążyła po statku. Tak jak i jej przyjaciele stwierdziła, że korytarze biegną równolegle, między nimi zaś są pomieszczenia. Nasłuchiwała uważnie głosów i szelestów, unikając miejsc, z których dobiegały, aż wreszcie natrafiła na jakąś ścianę, która całkiem zagrodziła jej drogę.

Tej ściany nie powinno tu być.

Coś jej podpowiedziało, że znalazła się we właściwym korytarzu. Daremnie poszukiwała ukrytego mechanizmu, który by usunął przeszkodę, ale za to odkryła drzwi do przechodniego pomieszczenia. Chciała przedostać się na drugą stronę zagradzającej drogę ściany i sprawdzić, czy może tamtędy zdoła dotrzeć do uwięzionych przyjaciół.

Będąc już w równoległym korytarzu, dostrzegła grupę ludzi Ingelgeriusa, obróconych do niej plecami. Stali gotowi wkroczyć do jakiegoś innego pokoju, z którego dobiegłby ostrzegawcze krzyki Sardora.

Sol dobrze wiedziała, że eliksir Madragów nie działa na tych na wskroś przesyconych złem.

- Do diabła! - mruknęła jednak. - Któryś z nich musi mieć przynajmniej odrobinę serca - szepnęła do siebie i wyciągnęła swój spray z eliksirem.

Podeszła tak blisko, jak starczyło jej na to odwagi, i posłała chmurę rozpylonych kropelek w stronę mężczyzn. Celowała w dół, by opary eliksiru mogły wznieść się w górę. W ten sposób działał skuteczniej.

I rzeczywiście, zadziałał. Spostrzegła, że większość uzbrojonych ludzi .opuszcza pistolety i ze zdumieniem patrzy na kompanów.

- O, nie, nie chcę w tym brać udziału - oświadczył jeden.

- Ja także - oburzył się inny. - Przecież to morderstwo!

- Rzeź - uzupełnił trzeci.

Jedynie czterem nie przeszła ochota na strzelanie, jednakże prędko zostali obezwładnieni przez swych dawnych koleżków albo przez usypiające pociski Strażników. Chwilę potem Sol poczuła obejmujące ją ramiona Kira.

Gdy ucichła wrzawa, a czterej wrogo nastawieni mężczyźni zostali związani i zamknięci w jednym z sąsiednich pomieszczeń, Ram powiedział:

- Dziękujemy ci, Sol, jesteś naprawdę genialna. Ze też nam nie przyszło to wcześniej do głowy!

- No cóż, nie wszyscy mają przy sobie taki rozpylacz - odrzekła Sol z fałszywą skromnością. Jak większość ludzi była bardzo wrażliwa na pochwały. - Wiesz, z

mojej dawnej profesji wyniosłam wielkie zamiłowanie do wszystkiego, co można przechowywać w buteleczkach, małych pojemnikach i pudełeczkach.

Prawdę powiedziawszy, także Ram i Sardor mieli takie rozpylacze, ale nie wpadło im do głowy, że można ich użyć przeciwko wrogowi. A przecież powinni byli się czegoś nauczyć, kiedy Indra eliksirem rozbroiła pilotów Maszyny Śmierci.

Marco prędko wprowadził Sol w sytuację. Wyjaśnił, że przyjaciele zostali zamknięci za stalowymi drzwiami.

Natychmiast wtrącił się jeden z mężczyzn z obsługi statku:

- Oni są w komorze śmierci! Wydaje mi się, że jest już za późno, by ich ratować.

A jakiś inny dodał:

- Biegnę wyłączyć wentyle.

- I podnieś ściany! - krzyknął jeszcze za nim pierwszy.

Za późno?

Te słowa nie przestawały dźwięczeć im w uszach, gdy przez kabinę biegli do drugiego korytarza.

Mężczyźni wyjaśnili, że celem, dla którego przyłączyli się do grupy Talornina, był powrót do Królestwa Światła, a przynajmniej na Ziemię. Talornin wmówił im, że mieszkający tam ludzie są ich wrogami, należy ich więc zwalczyć. Dlatego zostali uzbrojeni i zachowywali się tak agresywnie. Tak naprawdę byli właściwie zupełnie niegroźni.

Ram, który z powodu Indry miał serce w gardle, spytał, jak przedstawia się sprawa z pozostałą częścią obsługi statku kosmicznego.

- Nie ma ich tak wielu, my stanowimy główną siłę. A jeśli chodzi o ich wrogość, to oceniam ją na pięćdziesiąt procent. Trudno powiedzieć. Najgorszy jest oczywiście Ingelgerius.

Dotarli do korytarza, w którym uwięziono ich przyjaciół, akurat w chwili, gdy obie ściany z hukiem się podnosiły. Korytarz znów był wolny.

18

Scena, która ukazała się ich oczom, była doprawdy dramatyczna.

Na samym środku Armas zacięcie walczył z Lenore. Chociaż czy zacięcie? Przecież ledwie mieli siłę poruszać rękami, walczyli jak w zwolnionym tempie. Ale Marco i Strażnicy zdążyli zarejestrować, że mimo wszystko nie przybyli za późno, przynajmniej jeśli chodzi o większość. Zobaczyli też Dolga, on i Algol zajmowali się Mórim!

Ach, Móri, a więc znaleźli Móriego! I Berengarię, która leżała teraz w objęciach Farona. Ale jak ta para więźniów wygląda?

Marco szukał wzrokiem. Tam była Gia. I ona, i Indra wyglądały, jakby dotarły już do kresu. Przypadł do nich natychmiast i podniósł Gię, a jednocześnie Ram uklęknął przy Indrze. Pod inną ze ścian Marco dostrzegł Lisę, widać było, że dziewczyna potrzebuje pomocy, i to natychmiast. Lenore przestała walczyć w tej samej chwili, gdy się zorientowała, że ściany się podniosły. Wyglądało na to, że wygrał Armas, bo trzymając coś w ręku na chwiejnych nogach podszedł do Lisy. Marco postawił na ziemi Gię, która łapczywie niczym tonący chwyciła świeże powietrze. Podobnie zresztą zachowywali się wszyscy, którzy zostali tu zamknięci. Wszyscy oprócz Lisy.

Marco podszedł do dziewczyny.

- Co ty jej dajesz? - spytał Armasa.

Armas pokazał mu woreczek.

- To proszek elfów. On uratował Móriego i Berengarię. Gia go miała.

Marco odwrócił głowę i z uznaniem popatrzył na dorosłą Gwiazdeczkę. Nie był pewien, czy dostrzegła jego uśmiech, ale tak mu się przynajmniej wydawało.

- Pozwól, że ci pomogę - zaproponował Marco Armasowi.

Wspólnymi siłami zdołali jakoś wsypać proszek Lisie do ust. Świeże powietrze, które napłynęło po otwarciu ścian, i do niej chyba zaczęło docierać, bo zorientowali się, że oddycha. Armas westchnął z ulgą.

W tym czasie, gdy zajmowali się dziewczyną, podkrađła się do nich po cichu Lenore i ściągnęła skórzaną sakiewkę, zostawioną na podłodze. Zobaczyła to Gia i zaraz zawołała:

- Och, nie, zostaw! To niebezpieczne! Rozchorujesz się, jeśli zażyjesz za dużo!
Ale było już za późno. Lenore zdażyła wsypać sobie większą część zawartości woreczka do ust i przelękała ją teraz, brzydko się krzywiąc i kaszląc.

- Nie mogłaś o tym wcześniej powiedzieć? - rzuciła agresywnie Gii.

- Nie wiń jej! - ostro zaprotestował Algol. - Przez cały czas zachowywałaś się skandalicznie i masz wreszcie to, na co zasłużyłaś! Wyjdź stąd natychmiast i wsadź sobie palec do gardła, ty żarłoczna egoistko!

Ale Lenore nie mogła już nigdzie iść. Nogi się pod nią ugięły i osunęła się na podłogę.

- Zajmiemy się nią później - zdecydował Marco. ■ Zadbajcie o to, by do wszystkich docierało powietrze. U tych, którzy czują się najgorzej, trzeba zastosować sztuczne oddychanie. I ocalcie też resztę zawartości tego woreczka, ona jest nadzwyczaj cenna!

Paru mężczyzn ze statku kosmicznego dostało należące do Sol i Sardora buteleczki z eliksirem i wyruszyli do swoich kolegów. Wkrótce się przekonają, którzy z nich są czegoś warti, a których należy unieszkodliwić. Każdemu wręczono pistolet obezwładniający. Oni najlepiej mogli wypełnić tę misję, bo nowo przybyli mieliby trudności ze zbliżeniem się do załogi.

Faron czym prędzej zabrał Berengarię do Maszyny Śmierci, której powinno się właściwie zmienić nazwę, wszak stała się pojazdem przynoszącym ocalenie.

Dowodzenie pozostawił Ramowi.

Berengaria nie mogła iść o własnych siłach, ale była tak lekka, że ledwie czuł jej ciężar. Wędrował korytarzami, starając się przypomnieć sobie, z której strony przyszli, gdy nieoczekiwanie za kolejnym rogiem natknęli się na dwóch członków załogi statku. Takich, którzy nie zostali potraktowani eliksirem.

Faron zareagował błyskawicznie. Właśnie minął jakieś drzwi, teraz skoczył za nie i zamknął za sobą akurat w momencie, gdy świsnęła kula.

Znalazł się w sypialni z piętrowymi kojami, do której prowadziły te właśnie jedyne drzwi. Ułożył Berengarię na pojedynczym łóżku i sam siadł przy niej.

- Powiniennem przynieść ci coś do jedzenia - szepnął z żalem. - Powiniennem cię umyć i przebrać w czyste ubranie. Tymczasem nie możemy nawet stąd wyjść.

- Nic nie szkodzi - szepnęła dziewczyna. - Jesteśmy razem i to jest najważniejsze. Wtedy Faron się uśmiechnął i pogłaskał ją po wychudzonym policzku.

- Nie byłem dla ciebie dobry - rzekł z westchnieniem. - Wybacz mi. Bałem się okazać ci swoje uczucia. Nawet mi się nie śniło, że tobie może na mnie zależeć. Ale teraz, kiedy was znaleźliśmy, zorientowałem się, że tak właśnie jest.

- Faronie, tyle miałam czasu na myślenie. Nie wiemy, jak to się skończy. Oboje możemy zginąć. Jeśli to ja zostanę sama... Czy możesz zamrozić swoje nasienie, abym później mogła je dostać?

Słowa Berengarii przyprawiły Farona o prawdziwy szok. Widać dziewczyna nie odzyskała jeszcze w pełni przytomności.

Faron popatrzył na nią, potem wstał.

- Tutaj to będzie chyba dość trudne - powiedział nieswoim głosem.

- Ach, nie, nie chodzi mi o... Och, zapomnij o tym!

- Nie mam zamiaru o tym zapominać, bo te słowa bardzo mnie uradowały. Znowu usiadł przy niej.

- Berengario, kiedy się zorientowałaś, że... że mnie lubisz? Teraz, kiedy byłaś zamknięta?

- Nie, to już dawno temu. Pamiętasz, jak ocaliłeś mnie kiedyś w Górach Czarnych? Uratowałeś od czarnych ptaków.

- Kiedy Jaskari cię pocałował, a ty tak się na niego rozgniewałaś?

- Och, to znaczy, że to widziałeś?

- Oczywiście, lepiej zauważyłem to niż same ptaki.

- Ale strzelałeś do nich, a nie do Jaskariego. To dobrze - uśmiechnęła się Berengaria wyschniętymi wargami. - I właśnie wtedy, po tym, jak odszedłeś, ku swemu wielkiemu przerażeniu zorientowałam się, że się w tobie zakochałam.

- Dlaczego się przeraziłaś?

- Przecież wiedziałam, że jesteś niedostępny. Poza tym... to, co powiedziałam o

zamrażaniu nasienia, jest niemądre, bo przecież my dwoje nie możemy mieć razem dzieci. Chyba widzisz, że dziewczęta, które poślubiły Lemuryjczyków, nie mają potomstwa.

- Ach, to ty nie wiesz, że Indra spodziewa się dziecka? No tak, skąd miałybyś wiedzieć, tak długo cię nie było.

- Naprawdę? Jak wspaniale!

- Ja też tak uważam. I przypomnij sobie jeszcze Strażnika Góry i Fionellę. On jest pół - Obcym, a ona człowiekiem. A mimo to urodził im się Armas, uważam, że to nie najgorszy wynik.

Berengaria spróbowała się roześmiać, lecz nie najlepiej jej to wyszło. Spowaźnieli więc oboje. Dziewczyna spytała:

- A... twoje uczucia do mnie? Czy one się też wtedy zaczęły?

- Nie, są o wiele starsze. Nie chciałem, żebyś brała udział w pierwszej ekspedycji w Góry Czarne, bo uznałem, że to będzie dla mnie zbyt kłopotliwe.

- Ale przecież ty mnie nie znałeś przed tą wyprawą?

- Ależ tak! Przypomnij sobie, że w należącej do Obcych części Królestwa Światła znajdowały się wielkie ekrany, mogliśmy bez trudu śledzić wszystko, co robicie.

- Och, to straszne!

- Oczywiście nie mam na myśli waszego prywatnego życia, jedynie długie podróże i wykonywanie różnorodnych zadań w obrębie Królestwa.

Berengaria westchnęła. Oboje jednak myśleli o tym samym: teraz mogło już być za późno.

Nie miała sił nawet go pocałować, nawet na to jej skóra była zbyt wrażliwa. Ale on mógł przynajmniej gładzić ją po włosach i mówić, jak bardzo ją kocha. Ona ze swej strony była gorąco wdzięczna Gii za proszek elfów, dzięki któremu przeżywała te chwile wraz z Faronem. Tak głębokiej radości nigdy dotychczas nie zaznała.

- Tyle mam w sobie miłości, którą chciałbym ci ofiarować, Berengario - mówił

Faron żarliwie. - Całe morze miłości.

- Ja czuję dokładnie to samo - szepnęła. - Całe morze miłości... do ciebie.

Poruszyła się klamka u drzwi. Oboje drgnęli.

A więc prześladowcy dotarli już tutaj. Oczywiście drzwi dało się otworzyć w inny sposób.

Lecz to nie byli wcale prześladowcy, tylko jeden z mężczyzn, któremu przekazano butelkę ze sprayem. Tamci dwaj, którzy pilnowali drzwi, zostali postrzeleni i teraz nieprzytomni leżeli w korytarzu. Nowy przyjaciel grupy z Królestwa Światła powziął pewne podejrzenia, gdy zobaczył, jak dawni towarzysze mocują się z zamkiem, najwyraźniej przynieśli po prostu nowy klucz. Ci, niestety, byli ulepieni z tej samej gliny co Ingelgerius, bo nie zareagowali na prysznic z eliksiru.

- Droga jest teraz wolna - oświadczył mężczyzna. - Został tylko Ingelgerius i jego dwóch sługusów. Zamknęli się w jego pokoju. Możecie bez przeszkód wracać do maszyny.

- A co z innymi, z naszymi przyjaciółmi?

Mężczyzna popatrzył na nich z żalem w oczach.

- Wciąż są w tamtym korytarzu, jedna z młodych kobiet nie żyje.

- Co? - zawołali Faron i Berengaria jednocześnie. - Która?

Ale nie, ona nie chciała tego wiedzieć. Proszę cię, nawet o tym nie mów, błagała w duchu.

- Znam ją dobrze - oświadczył mężczyzna z goryczą. - Była dla nas strasznym ciężarem tu, na statku.

- Lenore - odetchnął Faron z ulgą. Doskonale wiedział, że nie powinien odczuwać ulgi na wieść o niczyjej śmierci, lecz po prostu każde inne rozwiązanie było znacznie gorsze. Przecież mogła to być któraś z dziewcząt z jego grupy.

- Czy to przez ten proszek?

- Tak, zażyła go zbyt dużo. Bardzo proszę, nie wiń o nic tego małego elfa, dziewczynka czuje się bardzo nieszczęśliwa.

- Oczywiście, że nic nie powiemy - zapewnił Faron. - Przecież nie ma w tym ani trochę jej winy.

- Wszyscy jej to powtarzają, lecz ona nie może w to uwierzyć.

Rozdzielili się. Mężczyzna wrócił do grupki w korytarzu, by tam wspólnie z nimi planować atak na Ingelgeriusa, a Faron poniósł Berengarię do Maszyny Śmierci. Teraz wiedział już lepiej, którądy ma iść, żeby jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Berengaria zarzuciła mu ręce na szyję i ufnie oparła głowę na ramieniu. Byli teraz razem. Nareszcie odeszła cała tęsknota, która dręczyła dziewczynę, kiedy siedziała uwięziona w ciasnym kontenerze. Czuła, że dotarła do domu. Nie miało żadnego znaczenia, że przebywa tysiące mil z dala od Królestwa Światła. Faron był przy niej, a to on był jej domem.

19

Chociaż Lisa doszła już w miarę do siebie, Armas nie przestawał krążyć wokół niej i we wszystkim jej pomagał.

Indra spytała go dość złośliwie:

- Jesteś pewien, że wreszcie się ustatkowałeś? Że nic zadurzysz się w następnej pięknej kobiecie, która tylko spotkasz?

Armas odparł szczerze:

- Nie jestem pewien niczego. Wiem tylko, że Lisa zasługuje na to, by ktoś się o nią troszczył, i to właśnie robię.

- Świetnie! Tylko ty nie spodziewaj się po nim zbyt wiele, Liso!

- Po nim? Ja się po nim niczego nie spodziewam.

Ale oboje, i Armas, i Indra, usłyszeli, że zadziorność w jej głosie nie jest szczerą. Na miłość boską, ta dziewczyna ma do niego słabość, pomyślała Indra zdumiona. Ale cóż, wygląda na twardą, dostatecznie twardą, by zmienić tego wariata w prawdziwego mężczyznę.

Przypomniała sobie zachowanie Armasa wobec Kari. Wówczas chłopak był szczerze zakochany i Indra nie miała wątpliwości, że stać go na wiele, jeśli tylko autentycznie się zaangażuje.

Indra poszła dalej.

Armas patrzył na naburmuszoną twarz Lisy i westchnął.

- Czy my zawsze musimy być wrogami?
- Przywykłam już do tego, żeby wystawiać kolce.
- Owszem, rozumiem, ale teraz znaleźliśmy się w krytycznej sytuacji, otaczają nas wrogowie...

Lisa westchnęła jeszcze głębiej niż on.

- Taka jestem zmęczona i głodna, mam wrażenie, jakby uszło ze mnie całe powietrze.

- Chodź - powiedział Armas życzliwie i wykonał gest, jakby chciał objąć ją za ramiona, lecz się powstrzymał. On też był już zmęczony i czuł, że nie zniesie więcej złośliwości ani z jej strony, ani z niczyjej innej. Chociaż doskonale wiedział, że sobie na nie zasłużył.

Lisa pozwoliła poprowadzić się przez korytarz. Musieli odejść jak najdalej od tego straszego miejsca, w którymomalże nie straciła życia. Gdyby nie Gia, Lisy już by z nimi nie było.

Armas powiedział ostrożnie:

- To chyba nie jest właściwa pora ani właściwe miejsce, żeby o tym mówić, i równie dobrze możesz się na mnie rozgniewać albo mnie wyśmiać, ale powiem ci, że bardzo cię polubiłem.

Poczuł, że ciało Lisy napina się, jakby dziewczyna szykowała już jakąś zjadliwą replikę, lecz w końcu rozjaśniła się i skinęła głową.

- Ja także - mruknęła tak cicho, że ledwie ją usłyszał. Ale zrozumiał przecież, co powiedziała, i uśmiechnął się lekko.

Dotarli do Maszyny Śmierci, w której przebywał Faron z Berengarią. Nieszczęsna dziewczyna teraz spała, Faron powitał ich więc ściszym głosem. Lisa zaraz rzuciła się na siedzenie i ułożyła do snu.

I Armas, i Faron dobrze ją rozumieli, w ostatnich dniach niewiele mieli czasu na sen. Wszystko działo się w szalonym tempie.

Armas patrzył, jak Faron z czułością otula dokładniej swoim płaszczem Berengarię i delikatnie gładzi ją po wychudzonym policzku.

- Nie sądziłem, że ty... - zaczął Armas, lecz zaraz urwał.

- Że potrafię kogoś pokochać? - spytał Faron, uśmiechając się ze smutkiem. - Ja także w to nie wierzyłem, dopóki w moim życiu nie pojawiła się Berengaria. Miałem do niej słabość jeszcze wtedy, gdy była dzieckiem. Zachwyła mnie swoim czarującym nieokiełznaniem, często musiałem i pilnować, żeby nie przytrafiło jej się nic złego. Ale ona, rzecz jasna, o tym nie wiedziała. - Westchnął.

- Niestety, w tym czasie wprost ubóstwiała tego miłego Indianina, Oko Nocy. Kiedy zaczęła dorastać i z każdym dniem robiła się coraz piękniejsza, miałem nadzieję, że to jej uwielbienie dla bohatera w końcu minie. I tak się też w pewnym sensie stało, tyle że po prostu przeniosła je na ciebie.

- Wiem o tym - mruknął Armas.

- Cóż, to trwało bardzo krótko - zauważył Faron głosem tak cierpkim, że Armas poczuł się niemal urażony. - Ale między nami ułożyło się jak najlepiej. Tak bardzo chciałbym jej teraz pomóc, umyć ją, dać jej coś do jedzenia i do picia, ale ona najzwyczajniej zasnęła.

- Po prostu poczuła się bezpieczna - stwierdził Armas z nieoczekiwanym zrozumieniem. - Bezpieczna przy tobie.

Faron, słysząc to, uśmiechnął się.

- Ja też tak myślę. A co z tobą? W tobie też dokonała się pewna przemiana, prawda?

- Owszem - przyznał Armas. - Byłem niesłychanie głupi.

- Stara prawda o tym, że człowiek uczy się na własnych błędach, jest tu chyba jak najbardziej na miejscu. Dotyczy zarówno ciebie, jak i mnie.

- Ciebie?

- O, tak. Wielokrotnie zraniłem Berengarię, i to głęboko, zanim wreszcie zrozumiałem, że ona zaczęła się mną interesować. Staralem się utrzymać między nami dystans, nie chciałem jej nawet objąć tak, jak obejmowałem inne dziewczęta, nie pozwoliłem wziąć udziału w wyprawie w Góry Czarne, ignorowałem ją. O, przykłady można by mnożyć!

Armas poczuł się teraz trochę lepiej, wiedział, że ma sprzymierzeńca. Obaj popatrzyli na dziewczęta, głęboko uśpione i przekonane o tym, że mężczyźni czuwają nad ich bezpieczeństwem.

Ci, którzy pozostali we wcześniej odciętym korytarzu, już mieli się rozejść, gdy nagle posłyszeli odgłosy strzelaniny.

Popatrzyli na siebie. Co to ma znowu znaczyć?

W obawie, że może Faronowi i Berengarii albo Armasowi i Lisie grozi niebezpieczeństwo, już chcieli biec im na ratunek, lecz nagle zatrzymał ich jakiś głos.

- Macie za swoje! - wołał ktoś z płaczem. - Za wszystkie te wstrętne słowa i za całe to dręczenie!

Głucho trzaskały strzały, mężczyźni krzydzeli ze strachu, aż wreszcie zapadła cisza.

- Na miłość boską, to... Hutchinson! - wyjaśnił jeden z członków załogi statku Ramowi. - Byli dla niego okropni, właściwie to nie rozumiem, jak wytrzymał, tak naprawdę to nieszkodliwy typ.

- Tacy ludzie, kiedy już przeleje się kielich goryczy, mogą stać się naprawdę nieobliczalni - odparł Ram. - Ale dlaczego nie potraktowano go eliksirem?

- Ponieważ był jednym z tych, którzy zabarykadowali się razem z Ingelgeriusem. Ram jęknął cicho.

Dotarli już do pomieszczenia, w którym zamknęli wcześniej powiązanych mężczyzn.

Drzwi były otwarte. Stał w nich jakiś niezgrabny mężczyzna z ciemnymi włosami, opadającymi na twarz, wykrzywioną wściekłością i rozpaczą. Jego pistolet skierowany był w ludzi, leżących nieruchomo na podłodze.

Jeden z członków załogi towarzyszących Ramowi wycelował w Hutchinsona, ale Marco krzyknął:

- Nie strzelaj!

Usłuchali go wszyscy, również Hutchinson.

Odwrócił się do nich z mokrymi od łez policzkami i opuścił rękę trzymającą pistolet.

Marco, zbliżając się do niego, spokojnie przemawiał. Jedną ręką, ukrytą za plecami, dał znak, że prosi o podanie czegoś. Sol zrozumiała go natychmiast i włożyła mu do ręki flaszeczkę.

Marco ukradkiem i bardzo ostrożnie nacisnął spryskiwacz.

Rezultat nie dał na siebie długo czekać. Mężczyzna zasłonił twarz rękami i wybuchnął głośnym płaczem.

- Co ja zrobiłem? Ach, co ja zrobiłem?

Marco objął go rękami za ramiona i wyprowadził na korytarz.

- Inni cię sprowokowali. Teraz o tym zapomnisz - powiedział swoim monotonnym głosem, jakiego używał przy hipnozie. - Nic się nigdy nie stało, to zniknęło z twego mózgu. Zrozumiałeś?

- Co takiego? Co zniknęło z mojego mózgu? - dopytywał się nagle senny Hutchinson. - Gdzie są wszyscy inni, ci źli?

- Oni już nie istnieją. Jesteś teraz wśród przyjaciół, wszystko już będzie dobrze.

- Ale mam wrażenie, jakbym uczynił coś strasznego.

- To był tylko sen, we śnie pragnąłeś zrobić coś takiego, teraz o wszystkim zapomnij.

- Dobrze - powiedział zmieszany Hutchinson, a potem uśmiechnął się niepewnie do ludzi stojących w korytarzu. - Oni wyglądają na dobrych - rzekł do Marca. - Ty także, ale, do diabła, jakiś ty piękny! Jak można być tak pięknym?

- Teraz już sobie poradzisz.

Oddał Hutchinsona w ręce dwóch „dobrych” ludzi i wraz z Ramem pospieszył do centrum.

Cóż, widok, który tam zastali, nie zaskoczył ich.

Ingelgerius leżał na stole manewrowym, a jego krew krzepła na instrumentach.

Drugi, który zamknął się tam razem z nim, padł martwy na podłodze. Hutchinson

starannie wykonał swoje dzieło.

Dyskutowali później, co zrobić z martwymi mężczyznami. Wyrzucenie ich w przestrzeń kosmiczną absolutnie nie wchodziło w grę, statek bowiem znajdował się w obrębie atmosfery okołozemskiej, należało więc liczyć się z tym, że prędzej czy później spadną na Ziemię. Nie mieli też ochoty wznosić się wyżej i tam pozbyć się ciał, by krążyły po wsze czasy niczym cząsteczki meteorytów, nie chcieli także zatrzymywać ich na pokładzie.

Problem rozwiązał jeden z członków załogi. Okazało się, że na statku istnieje specjalny system niszczenia większych odpadków. Tam właśnie zanieśli zwłoki i patrzyli potem, jak pierwszy z nich - Ingelgerius - po prostu zniknął, zmienił się w pył, który został wessany przez wentyl w podłodze.

Ram odwrócił się i mruknął do Marca:

- Pewnie to bluźnierstwo, co powiem, ale tak naprawdę to Hutchinson wyświadczył nam wielką przysługę.

Marco, najzupełniej poważny, odrobinę poczuwający się do winy, pokiwał głową. Uczynił to nie bez ulgi.

Przez chwilę wahali się, co zrobić z Lenore.

W końcu jednak zdecydowali, że wyprawiają ją w taką samą podróż. Uważali, że to dość humanitarny i właściwie bardzo piękny pogrzeb - zostać rozsypanym niczym maleńkie drobinki śniegu nad ziemią.

20

Na statku kosmicznym zostali dość długo. Trzeba było ułożyć plany, wykapać się, najeść i odpocząć. Móriego i Berengarię należało troskliwie pielęgnować, by nabrali sił przed opuszczeniem tego miejsca.

- Gdzie Dolg? - spytała nagle Indra, gdy wreszcie zasiedli w stołówce przy bardzo potrzebnym im już obiedzie.

Móri, oparty o ścianę, odparł słabym głosem:

- Przekazał pozdrowienia dla was wszystkich. Nie chciał urządzać żadnego

rozdzierającego serca pożegnania. Powiedział mi tylko, że wykonał już swoje ostatnie zadanie.

Indra wbiła wzrok w Móriego.

- Chcesz powiedzieć, że on nas opuścił? Już na zawsze?

- Tak, tym razem to już ostateczne. Dolg mówił, że nigdy was nie zapomni.

Byliście jego najlepszymi przyjaciółmi.

W głosie czarnoksiężnika brzmiał smutek. Jego ukochany syn, dziecko bólu - bo był taki inny, tak obcy na tym świecie - odszedł na zawsze.

Przy stole zrobiło się bardzo cicho. Indra próbowała rozpaczliwie uchwycić się słów Dolga o tym, że nigdy ich nie zapomni. To chyba musi znaczyć, że on gdzieś istnieje, skoro może pamiętać? Lisa chciała powiedzieć, że Dolg wydawał się taki wspaniały, uznała jednak, że nie powinna mówić o kimś, o kim wszyscy inni wiedzieli o wiele więcej niż ona.

Widziała, że dziewczęta mają łzy w oczach. Odszedł ktoś z najbliższego kręgu przyjaciół i nigdy więcej nie powróci.

Faron wyprostował się i przerwał tę długą ciszę.

- Jak właściwie mają się sprawy na Bliźniaczej Planecie?

Jeden z mężczyzn się skrzywił.

- Wiele jest niezgody i kłótni, ale... - Zamyślił się. - Ale właściwie przyczyną tego byli Talornin, Lenore i Ingelgerius, przez swoje niezadowolenie. My zaś okazaliśmy się dostatecznie głupi, by pójść za nimi, bo to oni wmówili nam, jak wspaniale będzie nam na Ziemi.

- Przecież my nawet tam nie dotarliśmy! - rzekł inny. - Talornin obiecywał, że razem z Lenore przybędą tu po nas, gdy tylko przygotują wszystko na Ziemi.

Ciekawe, czy w ogóle nie zamierzał puścić nas w trąbę? Byliśmy tylko jego narzędziami w drodze do uzyskania władzy. Mogliśmy tkwić tutaj aż do sądnego dnia.

- Chyba nie - podjął pierwszy. - Nasze zapasy zaczynają się już przecież kurczyć.

- To znaczy, że tylko dzięki Maszynie Śmierci możemy dotrzeć na Ziemię? - spytał

Ram.

- Tak.

- Nie brzmi to najlepiej.

- Ale nie odpowiedzieliście mi na pytanie, jak jest na Bliźniaczej Planecie - powiedział Faron. - Mam na myśli kwestie czysto materialne.

- Cóż, odbudowa trwa, ale wszędzie dawały się odczuć straszne braki. My oczywiście wiedzieliśmy, że winny jest temu Talornin i jego tajemnica, ten statek. Talornin kradł jak kruk, nie przebierał w środkach. Poza tym jednak, moim zdaniem, standard życia był dość wysoki. To marzenie o Ziemi i Królestwie Światła zwiódło nas na manowce.

- Chcecie wrócić na tę drugą planetę?

Popatrzyli na siebie. Niektórzy chcieli jechać „do domu”, zostawili tam przyjaciół i bliskich, inni woleli przedostać się na Ziemię albo do Królestwa Światła.

- Ziemia jest teraz równie piękna i spokojna jak Królestwo Światła - wyjaśnił Marco.

Faron podjął decyzję.

- Dawno już powinienem wybrać się na Bliźniaczą Planetę. Trudno mi było jedynie oderwać się od Poszukiwaczy Przygód. Wydaje mi się, że nadszedł najwyższy czas, bym tam pojechał.

- Jadę z tobą - oświadczyła Berengaria ochryłym głosem. Na wpół leżała na ławce, wciąż była chuda jak szkielet, ale nabrała rumieńców, a oczy odzyskały blask, lśniły też włosy. Coraz bardziej widoczna stawała się jej dawna uroda.

Faron chciał protestować, lecz po krótkim namyśle stwierdził, że to propozycja nie do odrzucenia.

- To może być bardzo emocjonująca podróż, Berengario - uśmiechnął się do dziewczyny.

Sposób, w jaki wymawiał jej imię, a także jej promienny uśmiech, pozwalał odgadnąć innym, jak będzie rozwijał się w przyszłości ich wciąż jeszcze bardzo niewinny związek.

Indra znów musiała otrzeć oczy.

- Możecie chyba zabrać ze sobą niezłą dawkę eliksiru Madragów - zaproponował Kiro.

- Myślałem dokładnie o tym samym - powiedział Faron. - Mamy go przecież dość, a zresztą Madragowie produkują nowe porcje, niemalże z niczego. Doprawdy, to aż niewiarygodne, jak mało potrzeba tych najważniejszych składników.

Większość zebranych wiedziała, o co chodzi: o jasną wodę i Święte Słońce.

Mężczyźni z Bliźniaczej Planety uznali to za niezły pomysł, przynajmniej ci, którzy zamierzali tam wrócić.

Berengaria popatrzyła na Gię, w końcu się roześmiała.

- Nie do wiary, że to ty jesteś Gwiazdeczka, trudno mi to pojąć. Mam wrażenie, że zaledwie chwila upłynęła od tamtego czasu, kiedy nazywałaś mnie Bengabanga.

- O, nie, to Kata tak na ciebie mówiła - sprzeciwiła się natychmiast Gia. - Ja wymawiałam twoje imię o wiele bardziej prawidłowo: Bengabaia.

Roześmiali się. Czuli, że po wszystkich tych dramatycznych i tragicznych wydarzeniach potrzeba im teraz śmiechu.

Marcowi nie bardzo się spodobało przypominanie mu o tym, że Gia jeszcze nie tak dawno była dzieckiem. Kochał ją bardziej niż kiedykolwiek. Czuł jednak, że zarówno ona, jak i on sam, potrzebują czasu, by zrozumieć jej niezwykle szybki rozwój. Wciąż nie mógł się pozbyć myśli o pedofilii, choć przecież Gia osiągnęła już poziom wieku wszystkich mieszkańców Królestwa Światła. Poznawał to po jej twarzy, na której pojawił się dojrzały spokój, rzecz jasna często przerywany wprost musującą radością życia, zmysłowością i podziwem w jej oczach, ciekawością, gdzie też mogą kierować się jego uczucia.

Owszem, dorosła już do tego, by próbować podbić jej serce, ale on po prostu nie potrafił się przemóc.

Znów na niego patrzyła. Marco musiał odwrócić głowę, miał wrażenie, że oślepiła go spojrzeniem, a nie chciał, by dowiedziała się, że żywi dla niej inne uczucia aniżeli czułość i wielką troskę. Na razie jeszcze nie.

Z Lisą coś się działo. Armas wyczuwał to, nie tylko zresztą on. Gdy tylko jednak ktoś chciał ją skłonić do zwierzeń, prychała rozzłoszczona i odchodziła.

Od czasu do czasu widywali ją płaczącą przy oknie, kiedy sądziła, że nikt na nią nie patrzy.

Armas starał się dawać jej tyle miłości i poczucia bezpieczeństwa, ile tylko potrafił, lecz im bardziej się starał, na tym większy dystans ona go odsuwała.

Ale pewnego dnia mieli już dość. Armas zastał Lisę szarpiącą się z zamkiem do wielkiej komory destrukcyjnej, wybuchła między nimi prawdziwa bójka, nim zdołał wreszcie odciągnąć ją z tego miejsca. Zaliczył przy okazji porządny cios w łuk brwiowy, od którego na ładnych kilka dni zsiniało mu jedno oko.

- W porządku - oświadczył Armas, siłąc się na spokój. - Nie chcesz mieć do czynienia ze mną, przynajmniej tyle do mnie dotarło, ale od tego do odbierania sobie życia jest jeszcze daleko. Aż tak natrętny nie mam zamiaru być.

- Ty niczego nie rozumiesz - mruknęła dziewczyna i uciekła.

Armas nic nie mógł na to poradzić, że poczuł się bardzo boleśnie urażony.

Jeszcze tego samego popołudnia do pokoju straży, w którym często przebywał Marco, zastukał gość.

Marco poprosił Lisę, by usiadła naprzeciwko niego.

- Taki z ciebie czarownik - zaczęła bez wstępów i bardzo agresywnie.

Marco uśmiechnął się.

- To dopiero określenie! Co cię dręczy, Liso? Faron, który obiecał twojej prapraprababce Libuszy zająć się tobą, ogromnie się niepokoi. Żle ci z nami?

- Ależ nie, bardzo dobrze!

- Może to Armas ci dokucza?

- Oczywiście, że nie, wprost przeciwnie.

- Ale chcesz umrzeć, dlaczego?

Z gardła Lisy wydarł się szloch.

- Wiesz na pewno, że nigdy nie byłam święta.

- Owszem, tyle zrozumiałem. Ale to przecież już minęło i nikt o tym nie pamięta.

- Wcale tak nie jest. Mam AIDS.

Marco zamarł.

- Sądziłem, że AIDS zostało już pokonane - odezwał się wreszcie.

- Phi! - prychnęła Lisa. - To ci mędrkowaci naukowcy na Zachodzie tak sobie wyobrażają. Niełatwo pokonać coś, co tak świetnie się czuje w pościeli.

Marco siedział zamyślony. Oto nieoczekiwanie pojawił się nowy problem. Ci, co sądzili, że zagrożenie AIDS dawno już zniknęło z powierzchni Ziemi...

Lisa zaczęła płakać.

- W dodatku teraz, kiedy znalazłam kogoś, kogo mogę kochać. Przecież ja go nie chcę zarazić!

Marco podniósł głowę.

- Twojemu problemowi na pewno uda nam się zaradzić, gorzej będzie z tym, co stanowi problem dla świata.

- Możesz mi pomóc? - spytała Lisa, szeroko otwierając pełne łez oczy.

Marco wyglądał na zmęczonego. Przez całe swoje długie życie tak bardzo się cieszył za każdym razem, gdy mógł przyjść komuś z pomocą dzięki swym niezwykłym zdolnościom. Z czasem jednak zaczął czuć się jak lina ratunkowa, której wszyscy się chwytają, gdy tylko pojawi się najmniejszy problem. Wprawdzie Lisa zgłosiła się do niego z niemalym wcale problemem, zresztą bardzo chciał jej pomóc. I nieprawdą było to, co pomyślał wcześniej, przecież zwracali się do niego tylko wtedy, gdy innego wyjścia już nie było.

Ale był rad, że nie wszyscy ludzie na Ziemi wiedzą o jego magicznej mocy.

Pół godziny później mógł oznajmić, że Lisa jest zdrowa. Dziewczyna, uradowana, uściskała go i czym prędzej pobiegła, żeby Znaleźć Armasa.

Chłopaka zaskoczyło jej nowe nastawienie do niego. Gdy jednak ucałowała go gorąco, prosząc, by puścił w niepamięć całą jej wrogość i wszystkie złośliwe uwagi, musiał najpierw się upewnić, czy przypadkiem nie chce mu spłatać kolejnego psikusa. Dopiero gdy przekonał się, że Lisa jest jak najbardziej

poważna, pociągnął ją do jakiegoś pokoju i starannie zamknął za nimi drzwi na klucz. Tyle pięknych słów chciał jej powiedzieć.

Aż tyle słów nie padło, Lisie widać wystarczyły czyny.

21

Dolg, opuściwszy statek kosmiczny, ani razu nie obejrzał się za siebie. Wiedział, że ojciec znalazł się teraz w dobrych rękach, zdawał sobie również sprawę, że gdyby się odwrócił, być może zabrakłoby mu siły, by spełnić swe pragnienie: włączyć się w Wielką Światłość, definitywnie i na zawsze. Dlatego właśnie nie pożegnał się z przyjaciółmi. To by go osłabiło. Przecież oni tak strasznie się ucieszyli, że znów go widzą. Dziękowali za to, że dał im szansę wyznania mu, jak bardzo go kochają... Nie, zbyt trudno byłoby raz jeszcze się żegnać.

Tym razem nie przejmował się dematerializacją. Jako Dolg Lanjelin Mattias z rodu czarnoksiężników, którym kiedyś był, opuścił statek i na własne życzenie zaczął się od niego oddalać. Mógł poruszać się w taki sposób, w jaki zechciał, i gdzie tylko zechciał. Stał się bowiem częścią żywiołów.

Zostawiwszy statek kosmiczny za sobą tak daleko, że już stracił go z oczu, Dolg rozejrzał się wkoło.

Dokąd chciał się udać? Dokąd powinien iść?

Czy Goram nie twierdził, że aby dostać się do Wielkiej Światłości, trzeba najpierw dotrzeć na Bliźniaczą Planetę? Tam podobno istniało ukryte przejście prowadzące do wymiaru, w którym panowała zwyciężająca wszystko miłość. Tak jak na górze Mont Salvat, gdzie przechowywany był święty Graal. Ta, do której dotrzeć mogli jedynie ci absolutnie czysti. Nie każdy potrafił znaleźć wejście do Wielkiej Światłości.

Lecz Eliveva wspomniała, że on, Dolg, nie musi wcale iść tą drogą. Jako elementarny duch był istotą szczególną, a ona miała wskazać mu drogę, bezpieczną i pewną.

Również ze względu na nią nie chciał się dematerializować, stawać bezcielesny. Jak Eliveva zdołałaby go znaleźć, gdyby przeniknął we wszystko, co istnieje, w

powiew wiatru, w szum morza, w zapach kwiatów? Dla niej wołał pozostać konkretnym, cielesnym Dolgiem.

Nie było drugiej istoty, wobec której czułby taki szacunek. Czekala wszak na niego blisko czterysta lat, biedna dziewczyna.

- Eliveva! - zawołał, a w milczącej przestrzeni kosmicznej jego głos poniósł się daleko.

Z oddali napłynęło słabe echo. Nie było to jednak echo jego własnego głosu, właściwie brzmiało to niczym wycie psów.

Gdzie on właściwie się znalazł?

Wznosił się ze statku kosmicznego, musiał więc chyba już opuścić atmosferę ziemską, a może nie? Nie wiedział. Nie zastanawiając się nad tym, wsunął się w cień Ziemi, błękitna planeta leżała między nim a Słońcem, zrobiło się więc ciemno, zimno i bardzo pusto.

Nasłuchiwał.

W przestrzeni rozległy się jakieś niesamowite huki czy grzmoty, w oddali wystrzeliwały zielonobłękitne blade wieże, przypominające piszczałki organów, w granatowym eterze iskrzyło się z hałasem.

Jonosfera.

Musiał znaleźć się w jonosferze. Tam gdzie pod wpływem działania słońca tworzy się zorza polarna. Piękna, śmiertelnie piękna dla zwyczajnego mieszkańca Ziemi, Dolg jednak dawno już przeszedł na drugą stronę, pozostawał nietykalny dla żywiolów, stał się wszak jednym z nich.

- Eliveva! - zawołał jeszcze raz.

Nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Może ona nie dotarła aż tutaj? Może nigdy się nie odnajdą?

Nagle tuż przy nim rozległo się ściszone warczenie i odgłos miękkiego stąpania.

Nie wolno mi się bać, pomyślał Dolg. Nie mogę stracić panowania nad sobą. Nie wiem, co to jest, nie przypuszczałem, że coś podobnego może się stać.

Z mroku wyłoniły się wielkie zwierzęta, równie czarne jak ciemność, z mrocznymi

ślepiami. Ledwie je widział, wydało mu się jednak, że przypominają wielkie, bardzo wielkie psy.

Stał zupełnie nieruchomo, nie śmiał nawet drgnąć.

Zaraz jednak zrozumiał, one go otoczyły, lecz nie atakowały.

Chciały go chronić.

Odetchnął z niewysłowioną ulgą.

- Wskażcie mi drogę do Elivevy!

Dolgowi wydawało się, że podróżuje przez jonosferę w otoczeniu olbrzymich zwierząt już przez całą wieczność. Nie była to łatwa droga wśród takiej ciemności, która wkrótce już miała zmienić się w światło.

Wcześniej jednak coś się wydarzyło.

Iskrząca, precudna gra światła zaczęła się przenikać, ściany zorzy polarnej pociemniały, przechodząc od zimnej zieleni w astralny błękit, kobalt i dalej w purpurę. I nagle całe niebo zapłonęło głęboką czerwienią w takim odcieniu zorzy polarnej, jaki Dolg z Ziemi miał okazję oglądać tylko raz, a i wówczas nie bardzo wiedział, co to może znaczyć. Czerwień bowiem nie jest barwą charakterystyczną dla zorzy polarnej, wiedział jednak, że niekiedy się ją widuje.

Wielkie zwierzęta go nie odstępowały, a wkrótce mieli i inne towarzystwo. Coś wyłaniało się z ukrytych pieczar i rozpadlin, jak gdyby zorza polarna była barwną skałą. Rozległ się syk i powarkiwanie, a psy Dolga odpowiadały wściekłym ujadaniem. Istoty, które ich teraz otoczyły, przypominały jakieś wielkie, pełzające zakłęte stworzenia, duchy z bezimiennych otchłani, poruszające się posuwistym ruchem upiory, budzące grozę bestie. Dolg po ciemku nie widział ich zbyt dokładnie, czuł jednak, że cały trzęsie się ze strachu i w duchu słał dziękczynne słowa swoim obrońcom.

Jedna z bestii, która zanadto się zbliżyła, ukąsiła go, lecz trzy psy natychmiast rzuciły się na nią, ona zaś wycofała się z wyciem i zawodzeniem.

A potem... potem w czerwonej płomiennej kurtynie pojawiła się szczelina. Za nią

królowało światło, a na środku tych niby wrót stała drobna postać, otoczona blaskiem.

Eliveva.

Nagle łatwiej było posuwać się w przód, Dolg miał też dosyć światła, by dokładnie przyrzeć się swoim przyjaciółom, i dech zaparło mu w piersiach.

- Ależ... ależ to przecież wilki Marca! - wyjąkał. - Skąd się tu wzięłyście? I dlaczego? Co miały oznaczać te potwory?

Teraz wilki zmieniły się w potężne czarne anioły. Uśmiechały się do niego.

- Wybrałeś niebezpieczną drogę, Dolgu Lanjelinie z rodu czarnoksiężników.

Przewidzieliśmy, że możesz mieć trudności, bo te stwory, które niedawno widziałeś, pochodziły z mrocznych stron twego istnienia. Dobrze wiesz, że nie zawsze wędrowałeś ku światłu, choć twoja dusza jest nadzwyczaj czysta i niewinna.

Dolg kiwnął głową.

Odezwał się inny z czarnych aniołów:

- Zostałeś splodzony z nasienia czarnoksiężników z wywaru, pochodzącego z bezimiennych epok, silnych, lecz nie zawsze świętych mocy, z duchów istot przypominających demony. - To wszystko sprawiło, że musiałeś dźwigać ciężar już od poczęcia.

Trzeci z aniołów podjął:

- Wielokrotnie podczas swej drogi przez życie otarłeś się o zło. Nie zawsze tego chciałeś, lecz niebezpieczne stworzenia zbliżały się do ciebie, ponieważ cię nie rozumiały, nie wiedziały, kim jesteś. Wszystko to cię naznaczyło, dlatego potrzebowałeś teraz raz naszej ochrony.

- Jako najlepszy, najwierniejszy przyjaciel naszego księcia Marca zasłużyłeś na wsparcie - dodał czwarty.

Dolg podziękował im gorąco, oni skłonili głowy i przy wtórze ciężkiego łopotu skrzydeł zagłębili się w ciemność. Zniknęli.

Odwrócił się i pokonał ostatnią część drogi, dzielącą go od Elivevy.

Przez chwilę patrzyli na siebie z uśmiechem w oczach, wreszcie ona podała mu rękę.

- Chodź - powiedziała miękko.

Poprowadziła go przez wrota, które zaraz się za nimi zamknęły.

Przejście z ciemności w światło na chwilę oślepiło Dolga.

- Gdzie my jesteśmy? - spytał szeptem, uznał bowiem, że znajdują się na świętym terenie.

- Wstąpiliśmy w inny wymiar - odparła Eliveva, ściskając go za rękę z radości, że nareszcie jest przy niej. - On istnieje równoległe do ziemskiego.

Dolg kiwnął głową.

- Jest wiele równoległych wymiarów, który to z nich?

Wokół nich panowała niezwykła cisza, a Dolg wciąż widział dookoła siebie jedynie mgłę.

- To zaświaty, ale my tu nie zostaniemy, idziemy dalej.

Dolg nie miał okazji rozejrzeć się lepiej po wymiarze, przez który się przemieszczali, nagle bowiem dostrzegł wreszcie Wielką Światłość.

Dech zaparła mu w piersiach, serce mało nie eksplodowało. Wielka Światłość widniała nad jego głową nieco na ukos, dokładnie tak, jak to zawsze sobie wyobrażał. Owalne, nieruchome światło o barwie ciepłej żółci, pełne, bezgranicznej miłości. Jego promienie sięgały wszystkich ciał niebieskich we wszechświecie. Tak cudownie mocne i łagodne, że Dolgowi z oczu potoczyły się łzy.

- Tak, tak - rzekła Eliveva. - To samo ja czułam pierwszy raz. Ze wszystkimi dzieje się podobnie.

- Tak strasznie się cieszę, że znów cię widzę, najdroższa przyjaciółko - powiedział ciepło.

- Ja także. Teraz już zawsze będziemy razem, Dolgu. Teraz jesteśmy sobie równi. Uśmiechnął się, przesycony szczęściem.

A potem Dolg, dziwak i samotnik, przeniknął w nieskończoną miłość Wielkiej

Światłości, stąd razem z Elivewą i wszystkimi szczęśliwcami, którzy dotarli aż tutaj., miał wspomagać słabe, pozbawione korzeni, samotne, zagubione istoty wszelkich rodzajów istniejące we wszechświecie. Miał służyć wsparciem ich duchom opiekuńczym, pomagać ludziom, zwierzętom i wszystkim innym stworzeniom w odnajdywaniu drogi do Wielkiej Światłości, kiedy nade idzie ich czas.

22

Nadeszła chwila rozstania.

Faron chciał, by w wyprawie na Bliźniaczą Planetę towarzyszył mu Kiro, ten prawdziwy geniusz techniki, a także Sol ze swą znajomością czarów. Pragnął też zabrać samotnych Zinnabara i Algola; Marca, prawdę powiedziawszy, nie miał śmiałości pytać.

Najpierw jednak musieli wrócić do Królestwa Światła, by uzupełnić zapasy i zaopatrzyć się w duże porcje eliksiru Madragów. Mężczyźni pochodzący z tej drugiej planety wyliczyli również całe mnóstwo rzeczy, których tam brakowało, bo Talornin wykorzystał je do budowy swojego statku kosmicznego. Należało uzupełnić skradziony materiał.

Czy pewne już jest, że eliksir został rozpylony nad całą Ziemią? - spytał Móri.

- Nie - odparł Ram. - Na razie jeszcze tego nie wiemy, musimy zebrać informacje.

Wszystkim tym zajmuje się Erion.

Na Erionie spoczywało naprawdę sporo obowiązków podczas nieobecności Farona i Rama. Był wszak również odpowiedzialny za całe Królestwo Światła.

Obcy jednak z wielkim spokojem podchodził do rzeczy.

Statek kosmiczny miał pozostać w tym samym miejscu aż do czasu, gdy Faron ze swymi towarzyszami powrócą z Królestwa Światła, Wystarczyła garstka ludzi, by skompletować załogę. Planowano zresztą częste zmiany w obsadzie, aby wszyscy mieli możliwość znów zobaczyć Ziemię.

Maszyna Śmierci przez kilka dni obracała niczym wahadłowiec. Do Królestwa Światła sprowadzono gondole z Guilin w Chinach i z Gór Kruszcowych na granicy

między Niemcami a Czechami, niektóre z nich wykorzystywano do komunikacji na powierzchni Ziemi. Przydały się też rakiety.

Cała powierzchnia Ziemi została już spryskana eliksirem. Móri i Berengaria prędko odzyskiwali formę w blasku Świętego Słońca w Królestwie Światła, a także dzięki pomocy błękitnego szafiru.

Wreszcie Faron był gotów, by wyruszyć w długą podróż na Bliźniaczą Planetę. Zdumiał się bardzo, gdy Marco przyszedł do niego z prośbą.

Czy możliwe, by i on się tam wybrał?

Nikt chyba nie mógł się z tego bardziej ucieszyć niż właśnie Faron. Szczerze pragnął, by pojechała z nim tak wybitna osoba jak Marco, uznał jednak, że nie może zawracać głowy księciu, który ostatnio wyglądał na bardzo zmęczonego i strapionego.

- Co ci dolega, przyjacielu? - spytał go wreszcie Obcy z wielką życzliwością.

- To... trudno na to odpowiedzieć akurat teraz. Odczuwam potrzebę, by się stąd wyrwać, i to na długi czas. Niedobrze by było dla mnie, gdybym musiał zostać w Królestwie Światła w takim stanie, w jakim teraz jestem.

Faron popatrzył na niego zamyślony, lecz o nic więcej już nie pytał.

Nadeszła chwila rozstania nie tylko z tymi, którzy wybierali się na Bliźniaczą Planetę.

Oto Ram i Indra postanowili, że zamieszkają na powierzchni Ziemi, taką samą decyzję podjęła siostra Indry, Miranda, i jej mąż Gondagil wraz z synkiem Haramem. A skoro cała rodzina postanowiła opuścić Królestwo Światła, zdecydował się na to również Gabriel.

Ziemia była teraz równie pięknym i przyjemnym miejscem jak Królestwo Światła.

Gabriel i jego córki tam przecież się urodzili. Mieli teraz ochotę osiąść w Norwegii.

W ich ślady poszli również Jori i Sassa.

Przyjaciół z Królestwa Światła zdumiał ten wybór, lecz wtedy Indra powiedziała:

- Mylicie się, my sami jesteśmy zbyt przywiązani do Królestwa Światła, chcemy jednak, aby nasze dzieci mogły dorastać w pięknym zewnętrznym świecie,

zostaniemy więc tam, póki nie dorosną. Przecież to nie potrwa więcej niż półtora roku według rachuby czasu Królestwa Światła, potem wrócimy tutaj, do naszych krewnych i przyjaciół, a dzieci będą mogły wybrać same.

Bardzo rozsądnie, pomyśleli ci, którzy słuchali jej słów.

Lecz jakże będzie bez nich pusto!

Statek kosmiczny pędził naprzód ze straszliwą prędkością. Mimo to wiele czasu zajęło im pokonanie połowy toru obiegu Ziemi wokół Słońca.

Marco wiele razy zdążył pożałować swojej decyzji. Dlaczego nie pozwolił, by poleciała z nimi Gwiazdeczka? Miał wyrzuty sumienia, bo nigdy jeszcze nie widział takiej rozpaczki w jej oczach jak wówczas, gdy odjeżdżał, i gorzko teraz za nią tęsknił. Właściwie nigdy chyba nie zaznał uczucia tęsknoty, obcego jego naturze, zwłaszcza że wcześniej pozbawiony był też zdolności do odczuwania ziemskiej miłości.

Teraz jednak tęsknota zalała go jak fala. Raz po raz przypominała mu się Gia, tkwiła we wszystkim, co widział, w każdej jego myśli, i wiedział, że słusznie postąpił, wyjeżdżając, lecz mimo to żałował, bliski rozpaczki.

Berengaria, która wcześniej skarżyła się, że przypadł jej w udziale gorzki los, i przerosła większość chłopców, teraz ogromnie się radowała swym niezwykłym wzrostem, bo choć wprawdzie mierzyła sto dziewięćdziesiąt osiem centymetrów, to Faron był mimo wszystko znacznie od niej wyższy. Mogła swobodnie przejść pod jego wyprostowanymi rękami i było to bardzo przyjemne uczucie dla zakompleksionej dziewczyny.

Właśnie o tym rozmawiała z Faronem i Markiem na pokładzie statku kosmicznego, który unosił się cicho przez przezroczyste jak szkło sfery.

- Czy wybrałeś mnie ze względu na mój wzrost, Faronie? - śmiała się. - Czy też może ja tak urosłam po to, by do ciebie pasować?

To ostatnie pytanie było w zamierzeniu żartem, lecz obaj mężczyźni pozostali poważni, choć się do niej uśmiechnęli.

- Jeśli chcesz usłyszeć prawdę, to powiem ci, że dostałaś specjalny hormon wzrostu.

Berengaria, zdumiona, szeroko otworzyła oczy.

- To prawda - przyznał Faron. - Zapraǳiałem cię już wtedy, gdy byłaś nastolatką.

Razem z Markiem więc zajęliśmy się twoim wzrostem.

- Co takiego? A co by było, gdybym się w tobie nie zakochała?

- Ja wiedziałem, że tak się stanie - spokojnie odrzekł Marco. - Potrzebowałaś tylko trochę czasu. No on wreszcie nadszedł.

- Skąd mogłeś o tym wiedzieć?

- Będąc tym, kim jestem, potrafię niekiedy, lecz zawsze spontanicznie, nigdy na rozkaz, spojrzeć w przyszłość. I zobaczyłem, że zostałaś przeznaczona Faronowi.

- To zabrzmiało trochę strasznie - powiedziała Berengaria drżącym głosem, ale prędko spytała: - Czy widzisz coś jeszcze?

- O, tak - roześmiał się Marco. - Ale o tym nie powiem.

Berengaria z nadzieją ujęła go za rękę.

- Uśmiejasz się, więc to chyba znaczy, że nie jest to nic przykrego.

- Nie - śmiał się Marco. - To nie jest absolutnie nic przykrego.

Również Faron wyglądał na bardzo zadowolonego z tej odpowiedzi. Dobrze było im razem z Berengarią na statku. Mieli mnóstwo czasu na to, by się lepiej poznać i powoli się do siebie zbliżyć.

Kiedy więc Berengaria, która kiedyś przy matce nazwała się „jedyną dziewicą w szkole”, pewnego wieczoru została zaproszona do prywatnego pokoju Farona na pokładzie, nie czuła lęku. Znała Farona, była pewna jego miłości i miała odwagę, by być sobą. W pierwszej chwili ogarnęło ją onieśmienie, lecz ono akurat prędko minęło dzięki jego troskliwym dłoniom i owej szczególnej zdolności kochania, charakterystycznej dla Obcych. Właśnie dzięki niej poczuła się najcenniejszą istotą w całym wszechświecie.

Została kobietą Obcego. Była to niezwykła świadomość.

Sol rozmawiała ze Strażnikiem Algolem. Znajdowali się w manewrowni, tej nocy jemu przypadł dyżur, a dyżurującemu zawsze musiał towarzyszyć ktoś jeszcze, by ten nie zasnął. A ponieważ wieczorem wszyscy się bawili, i to bez jakiegokolwiek specjalnego powodu, ot, po prostu dlatego, że podróż przebiegała bez zakłóceń i uznali, że nadeszła pora na trochę zabawy, padło na Sol, by dotrzymać towarzystwa Algolowi. Ona, będąc po części duchem, nie potrzebowała tyle snu co inni.

Popatrzyła badawczo na Algola.

- Zauważyłam, że często wydajesz się zatroskany.

- Och, to prawda - przyznał, jak gdyby ulgę sprawiło mu to, że nareszcie może zacząć mówić. - Rzeczywiście trochę się martwię. Wiesz, mnie i Zinnabara skierowano na tę wyprawę, ponieważ nie mamy żadnej rodziny, lecz jeśli o mnie chodzi, to jest chyba raczej przeciwnie: ja mam rodzinę, rodziców i rodzeństwo, właśnie na Bliźniaczej Planecie.

- To bardzo miłe - powiedziała Sol. - Rozumiem, że chciałeś tam jechać.

- Owszem - przyznał, lecz z pięknej twarzy Lemuryczyka nie zniknął wyraz udręki.

- Ale jadę tam z bardzo szczególnego powodu.

Sol popatrzyła na niego pytająco.

- Moja siostra ma dwoje małych dzieci, ale dowiedziałem się od jednego z mężczyzn tu, na pokładzie, że kiedy opuszczali Bliźniaczą Planetę, dzieci zniknęły.

- Ojej! Ale chyba już się odnalazły?

- To właśnie chciałbym sprawdzić. Bo widzisz, ono zniknęły po wejściu w czarci krąg.

- Nic z tego nie rozumiem. W krąg, składający się z dwunastu czarownic i jednego...

- Nie, nie - przerwał Algol. - To takie tajemnicze miejsce, polana w lesie, na której w trawie powstał krąg.

- Aha, coś takiego. Ale to przecież zupełnie naturalne zjawisko, po prostu kolonia

małych grzybków rozrasta się w formie kręgu. Takie kolonie potrafią Kisnąć w tym samym miejscu przez kilkaset lat, nic więc dziwnego, że powstają takie przesady.

Algol powiedział nieswoim głosem:

- To nie są tylko przesady, Sol, nie zawsze. Ta planeta jest pełna tajemnic.

Słyszałaś chyba o tajemniczym przejściu do Wielkiej Światłości? To tylko ułamek tego, co tam istnieje w ukryciu.

Sol poczuła się trochę nieswojo.

- A mnie się wydawało, że to w naszym świecie kryje się najwięcej zagadek.

- Uwierz mi, ten drugi jest znacznie bardziej niebezpieczny. Wiadomo, że dzieci, siedmio - , ośmioletnie, chłopiec i dziewczynka, postanowili wybrać się w to zakłute miejsce, żeby czegoś sobie tam zażyczyć. Podobno można tak zrobić, wchodząc w obręb czarciego kręgu. Później nikt ich już więcej nie widział.

- Miejmy nadzieję, że się odnalazły.

- Tak - odparł Algol, trochę jakby nieobecny duchem. - Bo na pokładzie dowiedziałem się czegoś znacznie bardziej alarmującego.

- Co takiego? Obudź się, Algolu, co usłyszałeś?

- Właściwie to nie ja...

Okazało się, że to, co miał do opowiedzenia, było tak przerażające, że już o świcie następnego dnia zwołano zebranie.

23

Plotka nie dotarła do nich wcześniej z tego względu, że to Hutchinson wspominał o całej sprawie, a z nim towarzysze tak naprawdę się nie liczyli.

Gdy wszyscy zgromadzili się w największym pomieszczeniu statku, Faron obrzucił mężczyzn surowym wzrokiem.

- Dlaczego nie dowiedzieliśmy się o tym wcześniej?

Jeden z mężczyzn zaczął się wykręcać.

- To tylko Hutchinson coś takiego mówił, a on tyle wygaduje bzdur. I tylko po to, żeby ściągnąć na siebie uwagę.

- Ale wczoraj wieczorem ta plotka dotarła do Algola. Hutchinson, chcę teraz

poznać prawdę, w jaki sposób się o tym dowiedziałeś. Mów słowo w słowo!
Nerwowego jąkania Hutchinsona nie poprawiła wcale powaga Faron i skierowana na niego uwaga wszystkich zebranych. Wyciąganie esencji z tego, co usiłował z siebie wydusić, okazało się ciężką, wymagającą wiele cierpliwości pracą.

Tuż przed wyjazdem z Bliźniaczej Planety dotarło do niego kilka słów, jakie wymienili między sobą Talornin i Ingelgerius. Pracując jako sprzątac na pokładzie, dwukrotnie usłyszał urywki zdań, których nie rozumiał.

Pierwsze brzmiało: „Dobrze, że uciekliśmy w porę. Reszta niech sobie radzi sama”. Towarzyszył temu wulgarny stłumiony chichot.

To zdanie mogło znaczyć właściwie wszystko.

Drugi raz jednak padły słowa bardziej godne zastanowienia:

„Podobno w roju jest jakiś olbrzymi blok”. „Dokładnie tak samo jak poprzednim razem. Krag się zamknął”.

Zapadła cisza.

- Co to znaczy, Faronie? - spytała Berengaria.

Popatrzył na nią wzrokiem pełnym miłości, ale jego oczy posmutniały, gdy zwrócił się do wszystkich:

- Wiele tysięcy lat temu na Bliźniaczą Planetę, jak wiecie, spadł rój meteorów.

Olbrzymi blok zadrapał jeden bok planety. Została częściowo zniszczona i mało brakowało, a straciłaby równowagę. Wygląda na to, że ten rój meteorów, poruszając się po eliptycznym torze, przeleciał przez przestrzeń i znów kieruje się ku planecie. Talornin musiał to obliczyć albo dowiedzieć się o tym w jakiś inny sposób, w jaki, nie wiem.

- Wydaje mi się, że nikt inny o niczym nie wiedział - odezwał się jeden z mężczyzn.

- A więc dlatego tak mu się spieszyło z budową statku i przedostaniem się na Ziemię - pokiwał głową inny.

- Ale chyba uczeni na Ziemi wiedzieli, że taki rój meteorów się zbliża? -

powiedziała Sol.

Marco odparł:

- Kiedy się zastanowię, to dochodzę do wniosku, że chyba rzeczywiście tak musiało być, ponieważ jednak spodziewano się, że rój przeleci w sporej odległości od Słońca, nikt za wiele się nad tym nie zastanawiał. Pamiętajcie, że tylko my w Królestwie Światła wiemy o istnieniu tej drugiej planety, a mnie na przykład nigdy nie wpadło do głowy, że rój meteorów może zagrozić właśnie jej.

W pokoju znów zapadła cisza. Wszyscy myśleli o tym samym: zacierają ku możliwej katastrofie.

Ale pomysł, by zawrócić i w ten sposób się ratować, nikomu nie wpadł do głowy.

- Należy ewakuować planetę - natychmiast zdecydował Faron. - Każda żywa istota musi zostać przetransportowana stamtąd na Ziemię.

Algol straszliwie pobałdł.

- A zaginione dzieci?

Sol położyła mu rękę na ramieniu.

- Spokojnie, Algolu. Jeśli jeszcze się nie znalazły, pozwól, że ja zajmę się tą sprawą.

Kiro popatrzył na nich i uśmiechnął się.

- Ja pójdę z tobą, Sol.

Algol odetchnął z ulgą.

- Och, dziękuję wam obojgu. Rzeczywiście, w takiej sytuacji mogę spać spokojnie.

- Czy mamy wciąż połączenie z Erionem? - spytał Zinnabar.

- Nie - odparł Faron. - Odlecieliśmy już za daleko. Słońce nam przeszkadza i nawiązanie kontaktu jest niemożliwe.

- Szkoda, przydałoby nam się więcej rakiet.

- Musimy poradzić sobie z tym, co mamy.

- Marco, czy ty nie mógłbyś przesłać wiadomości? Mam na myśli telepatycznie?

- Jedynie Dolg był w stanie przechwycić takie wieści, a jego nie możemy już niepokoić. Jest zresztą teraz nieosiągalny.

Długo dyskutowano tego ranka. Później Faron razem z Kirem przeszli do środkowej wieżyczki statku, w której wcześniej byli tylko raz. Wiedzieli, że znajdują się tam nie zbadane przez nich wcześniej aparaty.

Kiro zajął się okrągłym daszkiem.

- Wydaje mi się... - zaczął mruzczyć, przekręcając kilka gałek na ścianie. - No właśnie!

Sufit się odsunął, odsłaniając przezroczystą kopułę. Kiro odkrył kilka tajemniczych przełączników i po naciśnięciu jednego z nich z podłogi wyłonił się teleskop.

- No proszę - uśmiechnął się zadowolony Faron. - Sprawdźmy, czy nie znajdziemy tego roju meteorów.

Natrafili na niego bardzo prędko. I rzeczywiście, wszystko wskazywało na to, że z olbrzymią prędkością kieruje się prosto na nich.

Tej niesamowitej prędkości nie należało traktować zbyt dosłownie. Odległości we wszechświecie są tak olbrzymie, że na przykład gwiazda Arktur w gwiazdozbiorze Wolarza, która zmierzała ku Ziemi z oszałamiającą prędkością, pędząc tysiące kilometrów na godzinę, z pozoru nie zmieniła swojej pozycji od czasu, gdy Arabowie odkryli ją jakieś dwa, trzy tysiące lat temu.

Rój meteorów wciąż więc był jeszcze daleko.

Ale to nie potrwa długo.

- Talornin miał rację - stwierdził Faron. - Jakiż z niego straszny tchórz! Jak mógł pozostawić całą planetę na pastwę losu tylko po to, by ratować własną skórę!

- Pytanie, czy to nie on tu przegrał.

- Już my się zatroszczymy o to, żeby tak się stało - obiecał Faron. - Sprowadzimy w bezpieczne miejsce ludzi, zwierzęta i wszystko, co tylko żyje na tej planecie.

Co miał na myśli, mówiąc „wszystko, co żyje”, oprócz ludzi i zwierząt, tego Kiro do końca nie pojął. Uroczyście tylko skinął głową.

Parę dni później obudzono ich, by wreszcie na własne oczy zobaczyli cel ich podróży.

- Dobry Boże - szepnęła Berengaria.

- No właśnie - przyznał Faron z ręką na jej ramieniu. - To prawdziwa tragedia.

- Aż tyle wybuchających wulkanów? - z niedowierzaniem pytała Sol.

Jeden z mężczyzn wyjaśnił:

- Ten olbrzymi meteor wyrwał spory kawał skorupy, odkrywając rozżarzone wnętrze, a wulkany nie tak łatwo dadzą się zakorkować.

- Rzeczywiście, to widać - cierpko przyznał Kiro.

Tę część planety, obróconą w ich stronę, otaczał gęsty dym. Wystrzelały z niego błyskawice, a lawa barwiła chmury na czerwono.

- Jak ludzie mogą tu oddychać? - dopytywała się Sol.

- Po drugiej stronie jest lepiej - mruknął jeden z mężczyzn, lecz bez zbytniego entuzjazmu.

Wyglądało na to, że zniszczony pas stanowił mniej więcej dziesiątą część powierzchni planety, stwierdzili to, gdy jeszcze bardziej się do niej zbliżyli i skręcili, by przedostać się na przeciwległą stronę. Zniszczenia nie były tak straszne, jak wydawało się z daleka. Ta strona bardziej przypominała Ziemię, choć Bliźniacza Planeta miała znacznie mniejszą średnicę.

Faron poprosił jednego z mężczyzn, by skontaktował się z jakąś odpowiedzialną osobą na planecie. Chodziło o przygotowanie lądowania.

Okazało się, że mieszkańcy planety odkryli już zagrożenie nadciągające ku nim z przestrzeni kosmicznej. Gdy dowiedzieli się, że wszyscy zostaną przewiezieni na Ziemię, z wielką radością powitali statek. Obecni na pokładzie mieszkańcy planety znali pewną odległą pustynię, na której można było wylądować. Było to ukrywane przed wszystkimi miejsce Talornina, tam właśnie zbudował swój pojazd.

Powitano ich jako bohaterów i wybawicieli. Mieszkańcy Ziemi zdumieni się, widząc, jak wielu tu Obcych, aż wreszcie przypomnieli sobie, że przecież ta planeta to ich pierwotny dom, z którego musieli uciekać, gdy poprzednim razem uderzył meteor. Niektórzy jednak tu pozostali albo też powrócili, by odbudowywać planetę.

Zorientowali się bez trudu, że sporo tu także mniej przyjaznych istot, wszak Królestwo Światła dość beztrudnie pozbywało się szumowin i łajdaków, których za

karę wysyłano tutaj i zatrudniano przy odbudowie planety.

Lecz oczywiście żyło tu wielu porządnych ludzi, a także sporo Lemuryjczyków.

Pod względem liczby mieszkańców planeta nie mogła się jednak równać z Ziemią, było ich tu zaledwie około stu tysięcy.

Chociaż to i tak bardzo dużo, zważywszy, że wszystkich należało teraz stąd zabrać.

Wylądowali w pobliżu jakiegoś miasta i natychmiast rozpoznali charakterystyczną dla Obcych architekturę: lśniące bielą, wznoszące się dość wysoko, domy, pełne tajemniczych wijących się schodów, balkoników, łukowatych przejść i wygiętych mostków między wieżyczkami. Przypominało to wymyślne lodowe zamki rodem z jakiejś osobliwej baśni.

Jakaż szkoda, że to wszystko ulegnie zniszczeniu!

Faron natychmiast zarządził rozdzielanie porcji eliksiru Madragów, którego odrobinę dolano do napoju wszystkim mieszkańcom Bliźniaczej Planety. Wiedział, że już wkrótce się okaże, kto na eliksir zareagował, a kto nie. Trzeba to było sprawdzić, bo przecież znajdowało się tutaj wielu typów spod ciemnej gwiazdy.

Faron poczuł wyrzuty sumienia. Teraz zrozumiał, że Królestwo Światła, starając się rozwiązać własne problemy, wysyłało na Bliźniaczą Planetę ludzi o słabym charakterze, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji takiego postępowania.

Uznano, że nie trzeba rozlewać drogocennych kropli eliksiru w przyrodzie.

Postanowiono się z tym wstrzymać do czasu, aż przeleci rój meteorów.

Albo ominie planetę, albo w nią uderzy.

Berengaria i Sol przechadzały się razem, przyglądały się faunie i florze, charakterystycznej dla Bliźniaczej Planety. Dziwnie było patrzeć na drzewa o długich na metr szpilkach czy raczej kolcach, na kwiaty o barwach nie istniejących na Ziemi, olbrzymie ptaki tak piękne, że nawet paw wpadłby w kompleks niższości i zwierzęta, których gatunek trudno było ustalić.

- Cholernie fajny świat - uznała Sol, która lubiła nowoczesne wyrażenia.

Na Bliźniaczej Planecie były dwie duże międzyplanetarne rakiety zdolne do

natychmiastowego startu. Faron od razu kazał wypełnić jedną z nich rodzinami ze szczególnie zagrożonych okolic, a także Ich zwierzętami domowymi. Rakiety natychmiast wysłano pod dowództwem Zinnabara, a przy sterach zasiadł jeden z członków załogi statku kosmicznego. Załoga tej rakiety miała zawiadomić Eriona, iż na Bliźniaczą Planetę należy jak najszybciej przysłać kolejne tego typu pojazdy. Nikogo nie zdziwiła propozycja Marca, że pomoże podczas tego pierwszego transportu do domu.

Rozpoczęła się ewakuacja.

24

Podczas trwania ewakuacji Algol zabrał Sol i Kira do domu swoich krewnych. Niestety, dzieci się nie zjawily, powiedziała z płaczem matka. Nie było ich już bardzo długo i niemożliwe, by jeszcze żyły. Chyba że zostały porwane przez złe moce przyrody...

Algol błagalnie popatrzył na Sol.

- Wskaż mi drogę do tej polany w lesie! - poprosiła natychmiast kobietę.

- Ale to przecież niebezpieczne miejsce! Czy ona, taka delikatna młoda dziewczyna, jest w stanie coś zrobić? - spytała matka dzieci swego brata Algola.

- Jeśli ktokolwiek jest w stanie zaradzić coś w tej sytuacji, to tylko ona - odparł spokojnie.

- No tak, ma przecież u swego boku takiego silnego mężczyznę - stwierdziła kobieta, zerkając na Kira.

Algol uśmiechnął się krzywo.

Dotarli na polanę z czarcim kręgiem. Sol przyjrzała się kręgowi, a potem wstąpiła weń i uniosła ręce nad głowę. Wypowiedziała głośno kilka słów, których kobieta nie zrozumiała, i zaraz na własne oczy ujrzeli, jak Sol błyskawicznie zapada się pod ziemię i znika.

- Ach, teraz ona już także nie wróci! - zawołała siostra Algola.

- Możesz się nie martwić - uspokajał ją Kiro. - Sol dobrze wie, co robi.

Bez cienia niepokoju usiadł, by na nią czekać. Algol poszedł za jego przykładem, lecz matka dzieci stała w bezpiecznej odległości, bliska szaleństwa ze strachu.

Sol dotarła do podziemnych siedzib. Zamieszkujący je ludek miał w świecie wiele imion. Nazywano go duszkami, małym ludkiem, podziemnymi stworami. Jak mówiono o nim na tej planecie, tego Sol nie wiedziała, zresztą nie miało to większego znaczenia.

Rozejrzała się dokoła. Błędne ogniki oświetlały coś w rodzaju wielkiego hallu, stąd na wszystkie strony rozchodziły się korytarze. Trudno było stwierdzić, który należy wybrać.

- Halo! - zawołała, a korytarzami poniosło się echo. - Hop, hop! Przybywam w pokojowych zamiarach, jestem jedną z was!

Zewsząd rozległy się szepty i pomruki. Z wielu stron dobiegły odgłosy kroków, zza załomów ukazywały się jakieś twarze i zaraz znów znikaly.

Sol czekała. Zaczęła nucić czarodziejską piosenkę, którą, jak wiedziała, duszki rozumieją, bo miała przecież aparaciki Madragów.

Zbliżały się. Najodważniejsze ośmieliły się podejść aż do niej, nieduże, mające ledwie metr wzrostu stworzenia o ogorzalej skórze, ciemnych włosach i w ciemnych, lecz ozdobionych kolorowymi wstążkami ubraniach.

- Kim ty jesteś? - spytał surowo jakiś mały człowieczek. - Nie znamy cię, ty tu nie mieszkasz.

- Przybywam z innej ziemi - odparła Sol. - I przychodzę, żeby was ostrzec i pomóc wam uciec przed wielkim niebezpieczeństwem. Waszej ziemi grozi unicestwienie, i to już wkrótce. Olbrzymie ciało niebieskie zmierza ku waszej planecie i może ją rozbić na kawałki. Pójdźcie ze mną, pomogę wam przedostać się na bezpieczniejszą ziemię.

Co ja wygaduję? pomyślała ogarnięta lekką paniką. Czy właśnie te stworki miał na myśli Faron, mówiąc o wszystkim, co żyje?

Nie przypuszczam, żeby o nich wiedział.

Ale to przecież ważne, je również trzeba ratować! Nie mogą unosić się w przestrzeni kosmicznej, być może rozdzielone od siebie.

Czy przypadkiem ci, których w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego stulecia odwiedziły podziemne stworki w pewnej norweskiej górskiej dolinie, nie otrzymali podobnej wiadomości? Nie był to żaden wymysł, po prostu bliskie spotkanie trzeciego stopnia. Osiem niewielkich stworzeń z wysoką kobietą na czele prosiło, abyśmy my, ludzie, zaopiekowali się naszą Ziemią, gdyż ona należy również do nich.

A ja się jeszcze waham! Oczywiście, że zabierzemy ich na Ziemię.

- Przybędziecie do świata we wnętrzu innej ziemi, do baśniowo pięknego świata, w którym wielu waszego rodzaju żyje już w precudnych wielkich lasach w małych okrągłych domkach na ukwieconych łąkach, gdzie nikt nie będzie was ścigał ani nie odwróci się do was plecami. Macie na to moje słowo.

Przyglądali jej się, szeroko otwierając oczy. W hallu pojawiało się ich coraz więcej.

- Zabierzcie ze sobą wszystko, czego wam potrzeba - mówiła Sol. - Wszystkie wasze zwierzęta i... - chciała już powiedzieć „jeńców”, lecz prędko zdecydowała się na słowo „gości”. Lepiej uważać.

- Gości? My nie mamy żadnych gości.

- Ach, tak? A ja zrozumiałam, że chciało was odwiedzić dwoje ludzkich dzieci.

Popatrzyli na siebie pytająco, poszeptali, wreszcie pokiwali głowami.

- Sprowadźcie bagienno go dziadka - nakazał mały człowieczek.

Sol zadrżała, zdjęta grozą. Bagno? Czyżby dzieci się potopiły?

Tak jednak nie było. Istota, którą Dolg nazwałby Latarnikiem, pojawiła się wreszcie i powiedziała, że dzieci zablądziły i utknęły na czymś w rodzaju wyspy pośrodku strumienia lawy. Ziemia bowiem rozpadła się na dwie szczeliny, którymi popłynęła lawa, a dzieci znalazły się między nimi. Przypominało to trochę rzekę, dzielącą się na dwie odnogi, które później na powrót się zbiegają.

- Ale czy one się nie poparzyły?

- Nie, nie są aż tak blisko strumienia lawy.

- Gdzie jest to miejsce?
- Daleko stąd. Muszą być głodne i wystraszone.
- Och, byle tylko to!

Sol otrzymała zapewnienie od podziemnego ludku, że na pewno przyjdą wszyscy wraz ze zwierzętami i pozwolą się zabrać na tę drugą ziemię. Bagienny dziadek zgodził się wyjść z Sol na powierzchnię. Siostra Algola przeraziła się na jego widok, lecz i Algol, i Kiro przyjęli go z wielkim spokojem. Mieli już przecież okazję spotkać dziwniejsze stwory.

Kiro działał szybko. Sprowadził Maszynę Śmierci i za jej pomocą przeszukali wielkie lasy, dzikie pustkowia, nieubłaganie zbliżając się do zapachu siarki, buchającego z okolic wulkanicznych. Bagienny dziadek, który przez cały czas starał się udawać, że nic nie robi na nim wrażenia ani nie wzbudza strachu, siedział dumny z przodu i wskazywał kierunek.

Znaleźli wreszcie dzieci, które żyły wyłącznie dzięki leśnym jagodom i bagiennej wodzie, cały czas w obawie, że czeka je straszna bura.

Zamiast tego jednak zobaczyły nieznaną piękną damę, która przedstawiła im się jako Sol, i powiedziała, że właśnie dzięki nim uratowany zostanie także cały podziemny ludek. W innym przypadku być może w ogóle by o nim nie pomyślano. Dzieci nie bardzo rozumiały, o co jej w tym wszystkim chodzi, ale najważniejsze, że wcale się nie gniewała.

Mieszkańcy planety wraz ze Strażnikami pracowali z całych sił, by zgromadzić wszystkich ludzi, Lemuryjczyków i Obcych mieszkających na Bliźniaczej Planecie. Największa grupa ratowników miała najtrudniejsze zadanie: odnaleźć wszystkie zwierzęta, które przecież różniły się bardzo od tych na Ziemi. Przydały się tu bardzo aparaciki Madragów i ich eliksir. Strażnicy używali urządzeń termolokacyjnych, inni chwyтали motyle i pozostałe owady, wykorzystywano wielkie pojemniki do przewozu ryb, wabiono też ptaki, by siadły na ziemi i dały się pojmać.

- Noemu było łatwiej - jęknęła Berengaria. - On potrzebował jedynie po parze każdego gatunku. - Zastanowiła się. - Ale to musiały być straszne krzyżówki!

W tym czasie Marco siedział w rakiecie zmierzającej ku Ziemi. Zdawało mu się, że dni strasznie się wloką. Ile czasu spędził z dala od Królestwa Światła? Stanowczo zbyt dużo.

Gia wyrosła wszak na niezwykle śliczną, pociągającą dziewczynę, musi mieć całe mnóstwo wielbicieli. Osiągnęła już wiek, pozwalający jej na małżeństwo, i być może ambitni rodzice już zdołali znaleźć dla niej jakiegoś odpowiedniego kandydata. A co mogła zrobić Gia? Nie wiedziała wszak nic o uczuciach, jakie żywi dla niej Marco, i niemożliwe, by traktowała go jako wybranego dla niej. W dodatku nie wiedziała przecież, czy on kiedykolwiek wróci.

Zorientował się, że popełnił dokładnie takie samo głupstwo jak Faron, gdy nie pozwolił Berengarii wziąć udziału w wyprawie w Góry Czarne. Czyżby oni, potężni mężczyźni, tak mało mieli wiary w siebie?

Gdy tylko rakieta osiągnęła odległość, z której można już było nawiązać łączność z Ziemią, natychmiast skontaktowali się z Erionem. Wprowadzili go w sytuację i przekazali rozkaz, by przygotowano wszystkie rakiety zdolne do wykonywania lotów na długie dystanse.

Erion odparł, że jedna z takich rakiet może zostać wysłana natychmiast, resztę zaś przygotowują najszybciej jak się da. Spytał też, czy przypadkiem na powierzchni Ziemi nie ma promów kosmicznych.

Natychmiast skontaktowali się z Ramem, który już tam przebywał, i rzeczywiście, promy kosmiczne, owszem, były, lecz większości z nich od dawna nie używano.

- No, to bierzcie się do roboty! - przykazał Zinnabar. - Przygotujcie je i ruszajcie w drogę!

Ram obiecał, że natychmiast przystąpią do pracy, i to na najwyższych obrotach. W wyniku tych rozmów rakieta, zbliżając się do Ziemi, napotkała całą armadę pomocniczych pojazdów: promów kosmicznych, rakiet ekspresowych, a nawet

niewielki statek kosmiczny, który dzięki ich akcji znów powrócił do łask.
Na długo jednak, zanim się to stało, Marco nalegał na rozmowę z Erionem.
Wyjaśnił mu dokładnie, że zmierza teraz ku Ziemi i Królestwu Światła, mówił mu,
kto powinien jechać, a kto nie.
A wszystko robił po to, by Gia nie wybrała się w podróż już pierwszą rakieta.
Dziewczyna z natury była niezwykle impulsywna i bardzo możliwe, że tak właśnie
chciałaby zrobić.
Żywił nadzieję, że jego powrót będzie miał dla niej jakiegokolwiek znaczenie.
Ale o swoich myślach nie wspominał nikomu.

25

Na Bliźniaczej Planecie zaczęły się wielkie problemy. Wprawdzie jedna rakieta
spokojnie wystartowała, gorzej jednak było z drugą.
A przecież tak bardzo się im spieszyło.
Teraz naprawdę mieli okazję się przekonać, kim są ci, na których nie działa eliksir.
Drugą raketę zajęli bezwzględni mężczyźni i kobiety, odpychając tych, którzy
mieli nią polecieć.
Strażników przy tym nie było, z wyjątkiem Kira, który kontrolował techniczny stan
maszyny. Pozostali jednak zapoznali się z jego raportem i natychmiast pozostawili
swoją pracę, przekazując ją innym.
Przybywszy do bazy raketowej, zatrzymali się przerażeni.
Łajdacy nie potrafili sterować rakieta. Mieli natomiast Kira i jego właśnie
postanowili zmusić, by bezpiecznie zawiózł ich na Ziemię.
Nie powinni tego robić.
Kiro sam nie byłby w stanie nic zdziałać, szczególnie widząc wycelowane w siebie
aż trzy pistolety i otaczającą pojazd całą gromadę solidnie uzbrojonych mężczyzn.
Strażnicy nie mogli się nawet do niego przedostać.
Faron wściekał się w duchu, że on i jego przyjaciele okazali się w istocie tak
strasznie naiwni. Powinni przecież mieć świadomość, że tu żyją wysoce
niebezpieczni kryminaliści, dysponujący na pewno własnym składem broni.

Teraz znalazł się w kłopotcie. Przecież ci tutaj nie mogą polecieć na Ziemię, w dodatku kosztem dobrych mieszkańców tej planety. No i za cenę życia Kira. Patrzył na nienawistne triumfujące twarze tych ludzi. Bez wątplenia mieli przewagę.

Nie docenili jednak Sol.

Zajęta była akurat wyciąganiem z ziemi dżdżownic dość daleko od bazy, gdy otrzymała wiadomość Faron. Natychmiast zagotowała się z wściekłości.

Chodziło o jej Kira?

Faron prosił, by była ostrożna.

- Ale równie dobrze można prosić o delikatność pustynną burzę - mruknął do siebie, wyłączwszy telefon.

Sol przemieniła się w ducha (i trochę w czarownicę) i w ciągu sekundy znalazła się w bazie. Jednym rzutem oka oceniła sytuację, niewidzialna przedostała się do rakiety i szepnęła Kirowi do ucha, by zachował spokój, bo już ona się wszystkim zajmie.

Łotry nie mogły pojąć, dlaczego ten pilot, ich zakładnik, się uśmiecha. Powinien się przecież bać!

Sol zajęła się przede wszystkim pistoletami wymierzonymi w Kira. Napastnikom serce podskoczyło w piersi, gdy się nagle zorientowali, że trzymają w rękach małe puszyste misie. Zmieszani upuścili je na podłogę, gdzie wylądowały miękko i spokojnie.

Ale Sol jeszcze nie skończyła. Jak błyskawica wydostała się z rakiety i przyjrzała grupie pilnującej dostępu do niej. Nie było ich znów tak wielu, zaledwie ze dwa tuziny, człowiek bowiem nie bywa aż tak zły, jak chętnie się go przedstawia.

Prawdziwie zatwardziały złoczyńców jest niewielu, zresztą właściwie w każdym kryminaliście można znaleźć czuły punkt.

Ci tutaj stanowili wyjątek.

Co robić? zastanawiała się prędko. Co może być najbardziej upokarzające dla takich twardzieli jak oni? Sami macho i trzy kobiety...

Uczyniła kilka gestów, szepcząc naprawdę nieprzyjemne zaklęcie, a Faron i jego ludzie wstrząśnięci patrzyli, jak z buntowników spadają ubrania.

Lecz nagość była ledwie początkiem. Nieogoleni, twardzi mężczyźni z przerażeniem patrzyli na siebie. Otrzymali bowiem kobiece ciała, wcale przy tym nie młode i zgrabne, lecz trochę tłuste i obwisłe, z piersiami i wszystkim, co charakterystyczne dla kobiet.

A trzy kobiety zmieniły się w mężczyzn.

Ach, te przestraszone krzyki, te wrzaski, opętańczy bieg tam i z powrotem, starania, by zakryć najbardziej wstydlive części ciała! Nie, tego Poszukiwacze Przygód nigdy nie zapomną!

Pojmanie i związanie łotrów nie stanowiło żadnego problemu. Krzyczących zaprowadzono do pustego hangaru i tam zamknięto, dopiero wówczas Sol ulitowała się nad nimi i przywróciła im pierwotne kształty, rzuciła im też ubrania. Zadowolona uwolniła swego Kira z fotela pilota.

- Doprawdy, aż trudno uwierzyć w to, co robisz! westchnął drżąc. - Jesteś zbyt wspaniała, byś mogła naprawdę istnieć!

- Oczywiście - roześmiała się Sol głośno, odwracając się do Farona, który także już tu przyszedł. - Co zrobimy z tymi kukułkami, przecież nie możemy ich tu zostawić?

- A dlaczego nie? - zimno odparł Faron. - Byli więźniami, których wypuściliśmy na wolność, a oni nadużyli naszego zaufania. Inni mieszkańcy tej planety przestrzegali nas przed nimi, ale my wierzyliśmy w eliksir Madragów, on jednak na tych złoczyńców nie podziałał. Mają pewną szansę, być może meteor wcale nie zawadzi o planetę, a chyba nie chcemy zabierać tych szumowin na Ziemię?

- No wiesz! - obraziła się Sol. - Chcesz powiedzieć, że mamy ich tak po prostu zostawić? Nie jesteśmy przecież niehumanitarni jak oni!

Berengaria, która nie odstępowała Farona na krok, również wstawiła się za złoczyńcami.

- Przypomnij sobie, jakiego cudu dokonała Indra z pilotami Maszyny Śmierci i co

zrobiła Sol w korytarzu statku kosmicznego! Spryskajcie ich jeszcze raz, zaaplikujcie im porządną porcję, w sam środek twarzy, i potem się przekonamy. Faron pokiwał głową.

- Dobrze, możemy spróbować - zgodził się. - Ale i tak będą musieli czekać, zabierzemy ich na samym końcu.

- Owszem, to rozsądne, jakąś karę powinni ponieść.

- No cóż, wydaje mi się, że Sol ukarała ich już tak surowo, że nigdy nie zapomną. Faron popatrzył w niebo.

- Wciąż jeszcze mamy czas, ale już dzisiejszej nocy będziemy mogli oglądać ten rój meteorów gołym okiem. I to tak wyraźnie, że rozróżnimy większe bloki. Byle tylko pomoc nadeszła w czas!

Olbrzymi prom kosmiczny był załadowany już niemal do pełna. Wszystkie cenne materiały, które przywieźli tu z Ziemi, by pomóc planecie, musieli wyładować i zostawić. Należało wszak zrobić miejsce dla tylu żywych istot, ile tylko dało się pomieścić. Potrzebowali też przecież jedzenia na taką długą podróż.

Sol i Berengaria w towarzystwie jednego z mężczyzn z planety poszły do hangaru z solidnie wypełnionymi rozpylaczami. Psiknęli eliksirem prosto w twarze tych, którzy siedzieli związani pod ścianami. Więźniowie pluli i przeklinali, ale po chwili trzy kobiety zaczęły płakać, mężczyźni zaś ucichli.

Tylko dwóch się nie poddawało.

Sol już miała powiedzieć, że wszystko załatwione, gdy zauważyła nienawistne spojrzenia tych dwóch. Usłyszała także padające z ich ust słowa.

Cóż, skazali się na życie w więzieniu na Ziemi, tyle przynajmniej, było jasne.

Skoro ten skoncentrowany, wręcz skondensowany eliksir na nich nie podziałał, oznaczało to, że jakakolwiek poprawa nie jest możliwa. Dziewczęta rozwiązały wszystkich pozostałych i spytały towarzyszącego im mężczyznę:

- Co zrobimy z tymi dwoma?

- Pozostawcie go mnie - mruknął w odpowiedzi.

Sol i Berengaria uznały, że to dobre rozwiązanie, i wyprowadziły pozostałych na

zewnątrz.

Wkrótce potem z hangaru rozległy się dwa strzały. Dziewczęta zatrzymały się jak wryte.

- Przecież nie o to chodziło - jęknęła Berengaria przerażona.

W zamieszaniu panującym w bazie raketowej przyłączył się do nich Kiro.

- Owszem, lecz być może to najbardziej humanitarne rozwiązanie.

Dziewczęta jeszcze długo potem milczały. Trudno było im się z tym pogodzić.

Widziały, jak mężczyzna wychodzi z hangaru, Faron odebrał mu broń. Zganił go surowo, lecz tamten wyjaśnił, ile krzywd ci dwaj wyrządzili całej cywilnej ludności, ilu ludzi zabili dla własnych korzyści.

Faron położył mu wreszcie rękę na ramieniu na znak, że to, co się stało, należy teraz puścić w niepamięć.

Berengaria zrozpaczona rozejrzała się dokoła.

- Jak my sobie z tym wszystkim poradzimy? - wskazała ręką na morze ludzi i wielkie transporty zwierząt, które wciąż nieustannie przybywały.

- Na pewno się uda - Faron nie tracił optymizmu. Ale zaraz dodał mniej radosnym tonem: - Musi się udać.

Nadbiegł Algol.

- Nawiązaliśmy kontakt z naszymi przyjaciółmi z Ziemi i Królestwa Światła, nadciąga cała flotyła pojazdów kosmicznych! Mogą tu być już jutro.

- Całe szczęście - odetchnął Faron z ulgą.

26

Marco przez cały dzień chodził po Sadze, nie mogąc się skupić. Przed następnym wyjazdem należało przygotować tysiące rzeczy, lecz on myślał tylko o jednym: dlaczego Gia się nie odzywa? Powinna się już dowiedzieć, że wrócił.

Wieczorem nie mógł się już dłużej wstrzymać. Kilkakrotnie przełknawszy ślinę, zadzwonił do Siski.

Po długiej opowieści o Bliźniaczej Planecie, bo Siska chciała się o wszystkim dowiedzieć z pierwszej ręki, udało mu się wreszcie spytać o Gię.

Okazało się, że nie ma jej w domu. Wybrała się na dyskotekę z przyjaciółmi. Na dyskotekę? Marca przeniknął lodowaty chłód. Na dyskotekę! Poczuł nagle, jak ciąży mu jego wiek, zrozumiał, że jego związek z młodziutką Gią nie ma przyszłości.

Przez całe swoje życie nie czuł się nigdy tak jak teraz. Jak stary dziad.

Mruknął jeszcze: „Przełącz jej pozdrowienia” i zakończył rozmowę.

Nie ruszał się z miejsca. Wszystko przestało go już bawić, nic nie miało żadnego znaczenia.

Jeśli miłość jest tak bolesna, to cieszył się, że dano mu było żyć, wcale jej nie znając, przez tyle nieprawdopodobnie długich lat.

Nie chciał nawet liczyć, ile właściwie ich było.

I nic nie pomagało to, że wszyscy zawsze powtarzali mu, że nie wygląda na więcej niż dwadzieścia osiem.

Wewnętrznie wiekiem mógł się równać z kamieniami na Ziemi.

Dyskoteka?

Doprawdy, on jest już zabytkiem!

Następnego ranka, gdy rodzice przekazali Gii pozdrowienia od Marca, mało brakowało, a dziewczyna rozniosłaby dom. Była wszak nieodrodną córką swego ojca i nigdy niczego nie robiła połowicznie. A teraz wpadła w rozpacz.

- Dlaczego nie dowiedziałam się, że on wrócił do domu?

- No, zamierzałaś przecież wyjść wczoraj wieczorem, pomyśleliśmy więc...

- Przecież on znów wyjeżdża! A wy nie powiedzieliście o tym ani słowa!

- Wiedziałaś chyba, że przyleciała rakieta?

- Tak, ale... Ach, tracę tylko czas!

- Gio, nie dokuczaj znów Marcowi! Czy on przypadkiem nie ma dość tego ciągłego niańczenia ciebie?

Ostatnie słowa Siska wypowiedziała do ściany. Giii już nie było. Pędziła ku parkingowi gondoli.

Tsi nauczył ją prowadzić gondolę, ale miał pewne obawy, gdy zobaczył, jak córka obchodzi się z pojazdem. Była niemal równie szalona jak on sam wówczas, gdy po raz pierwszy dostał własną gondolę.

Gia wzniosła się znad parkingu, zataczając śmiały łuk, dokładnie tak samo jak robili kiedyś młodzi Tsi i Jori. Ledwie ominęła wspaniałą posąg na rynku, tak jak i oni, mało na niego nie wpadając, i pognęła niczym burza ku pałacowi Marca, gardząc wszelkimi obowiązującymi zasadami ruchu w powietrzu.

- Jak go nie zastanę, to rodzice dostaną za swoje!

Na szczęście był i tak jak tyle razy wcześniej pobiegła przez czarno - białe pokoje, ożywione tylko barwnymi plamami kwiatów w wazonach.

Marco usłyszał jej nadejście, było trochę tak jak za dawnych czasów, gdy Gwiazdeczka z Kata dreptały, chichocząc w przekonaniu, że nikt ich nie widzi.

Tym razem jednak Gia nie próbowała się chować. Pobiegła wprost do jego gabinetu i zasypała go wymówkami. Dlaczego nie powiedział jej, że przyjeżdża? Tyle nocy przeplakała, kiedy go nie było, bo nie chciał jej ze sobą zabrać, a teraz jeszcze na dodatek nie dał jej znać, że wraca!

Umilkła wreszcie. Zorientowała się, że uderza go pięściami w pierś, aż niesie się echo.

- Dzwoniłem wczoraj - próbował bronić się Marco, ale wiedział, że to złe usprawiedliwienie. Przecież i tak niemożliwie długo z tym zwlekał, czekając, aż ona nawiąże z nim kontakt. - Ale byłaś na dyskotecę - zakończył nieśmiało.

- Co tam dyskoteka! Jakie to ma dla mnie znaczenie? Takie siedzenie i krzyki aż do ochrypnięcia nad piwem, a później migrena od tych migoczących świateł.

- Cierpisz na migreny? - zaniepokoił się natychmiast.

- Nie. Dlaczego nie przyszedłeś do nas do domu? - poskarżyła się z jękiem.

- Nie mogłem - odparł surowo.

- Nie mogłeś? A to dlaczego?

- Tego też nie mogę ci powiedzieć, Gio.

- Mamy przed sobą jakieś tajemnice? Nie wiedziałam! To znaczy, że źle

rozumiałam całą naszą przyjaźń.

- O, to coś więcej niż przyjaźń - powiedział zmęczonym głosem.

- Co takiego? Co ty mówisz, Marco? Czuję się upokorzona, wykorzystana, ty mnie przecież nie chcesz znać!

- Owszem, chcę! Tak nie wolno ci myśleć, moja najdroższa przyjaciółko. Sytuacja jest o wiele gorsza.

- Wypluj wreszcie z siebie to, co tak przeżywasz! - syknęła z temperamentem bez wątplenia odziedziczonym po ojcu.

Marco ujął jej dłonie w swoje ręce. Wyglądał na udręczonego.

- Gio... nie mogę być z tobą. Ty nic nie rozumiesz, ja... ja cię kocham.

A więc to powiedział. Rzucił wszystko na jedną szalę. Nie mogło z tego wynikać nic dobrego.

Dziewczyna na moment zaniemówiła, a wreszcie spytała żalonym głosem:

- No, ale czy to takie straszne?

- Gio, postaraj się mnie zrozumieć. Jesteś zaledwie dzieckiem, a ja...

- Nie jestem dzieckiem! - rozgniewała się. - To ty musisz spróbować zrozumieć.

Pomyśl o Kacie, przecież ona dorastała z taką prędkością jak cielątko, pochodzi wszak z bawolego rodu. Ze mną działo się dokładnie to samo i ja także jestem już teraz dorosła!

Marcowi zadrgały kąciki ust.

- Trudno mi wyobrazić sobie ciebie jako krowę.

Gia usiłowała zachować powagę, lecz w końcu wybuchnęła śmiechem. Ale potem rzekła surowo:

- Teraz obraziłeś Katę. Ja uważam, że ona jest śliczna.

- Kata jest naprawdę czarująca i ty także, każda na swój sposób.

- Dziękuję. A mimo to ode mnie odjeżdżasz, nie pytając nawet, co ja o tym myślę i czego pragnę.

- Chciałem ci wszystko ułatwić, tak żebyś nie musiała mnie odtrącać.

Gia patrzyła na niego pełnym wzburzenia i gniewu oczyma, w końcu odwróciła

się na pięcie i po raz pierwszy Marco usłyszał, jak Gwiazdeczka przeklina.

- Cholera, Marco, nie chcę patrzeć, jak się tak upokarzasz!

Odeszła.

Marco nie ruszał się z miejsca. I znów to samo. To, o czym myślał w drodze do domu o sobie i o Faronie. Doprawdy, czy tak mało mamy wewnętrznej siły, my, potężni mężczyźni?

Czy musimy ranić tych, których kochamy?

Gia miała rację. Zawsze przecież traktowała go jak bohatera. Zawsze.

Czyżby miało mu zabraknąć odwagi, by przyjąć klęskę?

Gia na pewno jest już w gondoli. Zadzwoił do niej.

Usłyszał jej głos.

- Gio - powiedział stanowczo. - Nigdy dotychczas nikogo nie kochałem, to dla mnie takie nowe. Czy ty mnie chcesz?

Miał ochotę dodać: „Czy chcesz takiego starca jak ja”, ale się powstrzymał. Nie wolno myśleć o sobie z taką pogardą, to nikomu w niczym nie pomoże.

- Gio, Gio, dlaczego milczysz? Halo?

- Jestem tutaj - rozległ się miękki głosik za jego plecami. - Czekałam w hallu, sądziłam, że za mną wybiegniesz, ale ty oczywiście tego nie zrobiłeś.

Wziął ją w objęcia, dłonią dotknął elfich włosów.

- Ale telefon też jest w porządku - mruknęła wtulona w jego ramię. - Tak, chcę ciebie. Dziękuję, że zapytałeś. Pamiętaj tylko, nie zawsze jestem grzeczna i pokorna.

- Wiem o tym. Chyba będę musiał porozmawiać najpierw z twoimi rodzicami.

Gia prawie wyrwała się z jego uścisku.

- Marco! Osiągnęłam już dorosły wiek, teraz się zatrzymam. Starsza nie będę już nigdy, a ty chcesz rozmawiać z moimi rodzicami?

- Wybacz, zapomniałem się. To się już nigdy więcej nie powtórzy.

- Ha! Masz dużo pracy?

- Owszem, ale to może poczekać.

Popatrzyła na jego usta, na twarz o idealnym kształcie. Był taki niesamowicie przystojny! Przez głowę przebiegła jej mimo wszystko lękliwa myśl: co na to powiedzą rodzice?

Usta Marca znalazły się bliżej. Ach, co tam rodzice! Gii zaszumiało w głowie. Czują, że traci nad sobą kontrolę, ale chyba w takich momentach tak właśnie powinno być.

Poczuła jego usta na swoich. Jestem już teraz dorosła, pomyślała.

Chociaż nie, jeszcze nie.

Gdy uświadomiła sobie, jaki może być dalszy ciąg, pokój wokół niej zawirował.

Chcę jeszcze z tym poczekać, pomyślała. Powiem mu, że jeszcze nie teraz. Niech to pełne nadziei wyczekiwanie potrwa jakiś czas. To nie zaszkodzi.

Wydaje mi się, że pokochałam go już wtedy, gdy pierwszy raz go zobaczyłam, chociaż w inny sposób. Nie wiem, kiedy moje uczucia się zmieniły, lecz może ze mną było podobnie jak z nim? Nie śmiałam wierzyć, że on, najwspanialszy z ludzi, mógłby się mną zainteresować. Sama nie umiałam się do tego przyznać.

Uwolniła się z jego objęć.

- Marco, musisz wrócić teraz do swoich zajęć. Ma - my przed sobą dużo czasu, a ja chciałabym jeszcze zaczekać.

Zrozumiał. Przecież ona naprawdę była taka młoda, a on rzeczywiście miał mnóstwo pracy. Musiał pozwolić jej odejść.

Później, gdy ucichnie już ten chaos związany z Bliźniaczą Planetą, przeniesie się do świata na powierzchni Ziemi i wiedział, że Gia pójdzie za nim. Będzie musiał znaleźć jakiś sposób, by zaradzić tej nieszczęsnej epidemii AIDS, lecz to nie stanowiło wielkiego problemu. Owszem, udało im się usunąć agresję z ludzkich umysłów, ale przecież pozostawało wciąż jeszcze tyle innych spraw. Różne choroby lub słabe zdrowie z rozmaitych przyczyn, troski, żaloba spowodowana odejściem najbliższych, lęk o rodzinę, zawody miłosne, trudności finansowe - cóż, będą musieli zaprowadzić na Ziemi system Królestwa Światła. No i samotność, brak poczucia bezpieczeństwa, lęk przed tym, że się do czegoś nie dorasta.

Ileż ciężarów musi dźwigać na swych barkach ludzkość!

Na szczęście wojny, zdrady i zło zniknęły już na zawsze. To dobry początek.

Krótko mówiąc, Marco musi wyruszyć na Ziemię i zadbać o to, by ludziom i zwierzętom żyło się dobrze. Już zbyt długo ukrywał się w pełnym spokoju Królestwie Światła.

Cóż, nie przez cały czas było tu tak spokojnie, przecież i oni musieli toczyć swoją walkę, zwłaszcza w Ciemności i w Górach Czarnych. On jednak został obdarzony wyjątkowymi zdolnościami, najwyższa pora, by znów zaczął się nimi posługiwać dla dobra ludzi. Teraz, gdy miał u swego boku kobietę, czuł wręcz potrzebę, by w pełni je wykorzystywać. Zmęczenie i niemoc, nie opuszczające go przez ostatnie lata przeświadczenie, że wszystko i tak jest na nic, zniknęło jak zdmuchnięty płomień. A wszystko to przez kobietę.

Ale jaką kobietę! Marco cieszył się, że Gia chce zaczekać. Sam, prawdę mówiąc, jeszcze nie dojrzał. Wszystko, co łączyło się z miłością, było dla niego takie nowe. Ale... nie przypuszczał, by musieli czekać bardzo długo. Oboje wszak nosili w sobie prawdziwe oceany miłości.

27

Marco nie musiał wracać na Bliźniaczą Planetę, następna lądująca na Ziemi rakietą przywiozła wiadomość, że zmierza tu już niemal cała armada.

Pod koniec na Bliźniaczej Planecie zaczęło robić się gorąco. Opuścił ją wielki statek kosmiczny, pełen Obcych, Lemuryjczyków i ludzi, którzy ze smutkiem patrzyli na to, jak ich świat, ich droga planeta, staje się coraz mniejsza. Siedzieli milczący, wielu trzymało się za ręce, myślą wracali w przeszłość. Myśleli o całym dobru, jakie tam przeżyli, ale i o cięższych czasach.

W oddali zaś na sklepieniu niebieskim widzieli rój jaśniejących iskier, który coraz bardziej przybliżał się do ich dawnego domu. Wiedzieli, że nigdy już nie będą mogli tam powrócić, i ściskali swoje najdroższe rzeczy, które pozwolono im zabrać. Prawdę powiedziawszy, niewiele pozostawili.

Kolejne rakiety i promy kosmiczne jeden za drugim wypełniano i wysyłano na

Ziemię.

Wreszcie Sol przysłała do promu, który oddano jej do dyspozycji.

- Czy ty i Algol zamierzacie lecieć zupełnie sami? - z niedowierzaniem spytał Faron.

Sol roześmiała się.

- Sami nie będziemy, uwierz mi.

- Ale...

Ujęła go za rękę.

- Popatrz! - wskazała palcem.

I Faron zobaczył całą gromadę niedużych, ciemno ubranych istot oczekującą już na wejście na pokład. Stała też cała karawana krów, kóz, koni i innych domowych zwierząt o lśniącej sierści, doskonale utrzymanych.

- Wspaniale, Sol - powiedział Faron niewyraźnym głosem. - Pospiesz się i im pomóż!

Musiał się odwrócić, by ukradkiem otrzeć oczy.

Ku Ziemi odlatywały kolejne promy. Wszyscy Strażnicy wraz z Obcymi po raz ostatni przepatrzyli całą planetę, a przynajmniej zamieszkane okolice. Mieli ze sobą specjalne aparaty, które natychmiast informowały, czy w pobliżu istnieje jakieś życie, czy to na powierzchni planety, czy to w jej wnętrzu lub też na niebie.

- Wykonaliście naprawdę kawał dobrej roboty - oświadczył jeden z Obcych, gdy wrócili do Farona. - Jeden żuczek, to wszystko, co znaleźliśmy. Planeta jest całkowicie pusta.

- Doskonale - ucieszył się Faron. - Bo teraz już trzeba się spieszyć.

Nie musiał im tego tłumaczyć. Ku atmosferze przedzierał się rój meteorów i widać było wyraźnie, że trafi w planetę. O, tak, uderzy z całą pewnością, teraz już gołym okiem widzieli ów wyjątkowo wielki blok. Gdy padły na niego promienie Słońca, jarzył się niczym gwiazda.

- Faronie - odezwał się jeden z Lemuryjczyków z planety. - Mamy jeden

dodatkowy prom. Czy możemy załadować do niego wszystkie instrumenty i aparaty, które tu ze sobą przywieźliście? Dzieła sztuki poleciały statkiem kosmicznym, ale...

- Zabierajcie wszystko, co tylko się da. A potem mogą do niej wsiąść również ci przestępcy, którzy usiłowali porwać rakieta. Tylko pospieszcie się, musimy odlecieć stąd przed wieczorem!

Prom załadowany materiałami wyruszył. A potem stało się to, co musiało się wreszcie stać.

- Faronie! - zawołał Kiro. - Ten prom, którym my mieliśmy odlecieć, nie chce wystartować!

Zapadła cisza.

Berengaria z całych sił starała się nie patrzeć na rój meteorów.

Na Bliźniaczej Planecie zostało teraz niewiele żywych istot. Wszystkie zwierzęta, z wyjątkiem żuczka, którym z taką czułością zajął się tamten Obcy, znajdowały się już w przestrzeni kosmicznej. Tu przebywali jedynie Faron, Berengaria, Kiro oraz kilku Obcych i Lemuryjczyków. Chcieli poczekać aż do samego końca, tak jak kapitan, który jako ostatni opuszcza tonący statek.

Po starcie promu transportowego Berengaria była tu jedynym człowiekiem, lecz ona postanowiła zostać przy Faronie, i kropka.

Wszyscy byli spokojni. Jedynie wyraz oczu zdradzał wewnętrzną panikę. Kiro z pomocnikami jak szaleni starali się naprawić maszynę.

Berengaria czekała gotowa już do wyjazdu i próbowała jak najswobodniej rozmawiać z Faronem. Czasami tylko ukradkiem zerknęła w niebo.

- Słyszałam od kogoś, kto przyleciał ostatnią rakieta, że Indra urodziła synka.

- Pięknie - powiedział Faron roztargnionym tonem. - Na Święte Słońce, czyżbyśmy przebywali tu aż tak długo?

- Sporo czasu zabrała nam sama droga - przypomniała mu. - A jeszcze więcej zgromadzenie wszystkich mieszkańców, zarówno dwu - , cztero - , jak i sześciopalcowych, nie mówiąc już o stunogich. Ale wszystko będzie dobrze, Faronie,

na pewno zdołamy się stąd wydostać!

- Nie chodzi tylko o to - rzekł Faron niechętnie.

Na pewno zdołamy uniknąć największego uderzenia, ale boję się tych wszystkich bloków, które będą pędzić z niesamowitą prędkością naszym torem.

Berengaria zdrząła, wyobraziła sobie, jak wielkie kawały planety uderzają w ich raketę i spychają z właściwego toru, skazując ją na krążenie w przestrzeni po wsze czasy.

Siląc się na optymizm, powiedziała:

- To nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze, żebyśmy mogli być razem.

Surowa twarz Farona złagodniała w czułym uśmiechu.

- Moja najdroższa, gdybyś ty wiedziała, jak strasznie cię kocham.

Przytuliła się do niego niczym spragniony pieszczoł kociak.

- Mów mi więcej takich rzeczy - szepnęła.

Faron spełnił jej prośbę. Wśród desperacji i strasznego zagrożenia znajdowali pociechę we wzajemnej bliskości i czułych słowach.

Ale Berengaria nie chciała mówić wszystkiego. Nie teraz, w tym momencie grozy i niepewności.

Wiedziała bowiem o czymś, o czym on nie wiedział: ona również spodziewała się dziecka.

To mogła być zupełnie niezwykła, bardzo szczególna kombinacja.

Zobaczysz nasz cudowny wspaniały świat, kolego, obiecuję ci to, mówiła w myślach. I poznasz swego fantastycznego ojca. Już ja się zatroszczę o to, żebyśmy się stąd wydostali, tak żeby nie trafiły nas żadne głupie kamienne bloki. Ale nie zaprzętała sobie myśli tym, w jaki sposób mogłaby tego dokonać.

Nadszedł wieczór, bo tutaj, tak samo jak i na Ziemi, dzień różnił się od nocy.

Mężczyźni pracowali pomimo zapadnięcia ciemności. Berengaria widziała ich w blasku reflektorów, siedziała skulona pod ścianą hangaru. Z początku próbowała pomagać, lecz oni poprosili, żeby raczej trzymała się z daleka.

Na zachmurzonym niebie nie było widać gwiazd. Nie wiedziała, czy się z tego cieszy czy nie. Straszny był widok nadciągającego meteoru, ale też i nie ma nic zabawnego w siedzeniu i oczekiwaniu, kiedy niespodziewanie zleci na głowę.

Czyż oni nigdy nie naprawią tej usterki?

Berengaria myślała o wszystkich tych, którzy musieli opuścić własne domostwa, swój kraj, ba, cały swój świat. Jakie to dla nich uczucie? Wszystkie te piękne domy, choć oczywiście nie wszystkie były równie piękne, ogrody, uliczki dzieciństwa, place zabaw i wspomnienia...

Mało widać brakowało, by zasnęła, bo zerwała się przestraszona, gdy ryknęły silniki promu i ktoś coś wołał.

To głos Faron:

- Prom jest gotowy, Berengario! Czym prędzej wchodź na pokład!

Znalazła się na promie w ciągu sekundy. Po cichu policzyła, czy wszyscy są.

- A żuczek?

- I żuczek jest - uśmiechnął się Faron.

Dopiero wtedy Berengaria się uspokoiła.

Doskonale jednak wiedziała, że niebezpieczeństwo wcale nie minęło.

Faron siadł przy niej, od razu poczuła się lepiej, jeśli nawet przyjdzie im umrzeć, zginą razem. Ale... czy naprawdę słusznie robi, zachowując tajemnicę? W takiej sytuacji?

Akurat w tym momencie nie mogła nic powiedzieć, bo silniki strasznie hałasowały, a nie miała zamiaru krzykiem obwieszczać tej nowiny. Oczekwała więc, aż wzniesli się ponad chmury i ich oczom ukazał się meteor w całym swym przytłaczającym ogromie.

Przecież on jest większy od całej Bliźniaczej Planety, pomyślała przerażona dziewczyna.

Tak wprawdzie nie było, lecz bez wątpienia mógł ją doszczętnie zniszczyć.

Berengaria z trudem przełknęła ślinę. Czowała, w jak strasznym napięciu jest jej ciało.

Wreszcie mu powiedziała.

Faronowi zupełnie odebrało mowę. Znieruchomiał. Surowy profil Obcego nie wyrażał absolutnie nic.

Berengaria czekała.

A on wreszcie się odezwał:

- Za wszelką cenę musimy się dostać na Ziemię.

28

Obliczyli, że zderzenie nastąpi, gdy zatoczą już półkole wokół Słońca. Faron mówił, że będzie ono bardzo silne i prom z całą pewnością się zatrząśnie, wszystkie aparaty mogą zacząć mrugać, a niektóre instrumenty przestaną w ogóle działać. Kira i jego współpracowników czeka ciężka praca podczas prób utrzymania promu na właściwym torze lotu.

Zderzenie będzie miało również wpływ na Słońce, które wyrzuci z siebie protuberencje, a wtedy we wszystkich aparatach elektronicznych na Ziemi zapanuje chaos.

Huk eksplozji poniesie się przez Wszechświat niczym echo gigantycznego grzmotu.

- Byle tylko cały system się nie rozpadł - mruknął Kiro. - I tu na pokładzie, i na Ziemi, włącznie, rzecz jasna, z Królestwem Światła.

Bardzo już chciał wracać do domu, do Sol. Każdy zresztą chyba za kimś tęsknił, z wyjątkiem może Obcych i Lemuryjczyków, których domem była Bliźniacza Planeta. Oni zapewne czuli się bardziej zagubieni, niepewni przyszłości, sercem wciąż byli na Bliźniaczej Planecie, a świadomość nadciągającej katastrofy jeszcze bardziej szarpała ich dusze niż innych.

Berengaria szczerze im współczuła.

Wszystkim wydawało się, że prom kosmiczny wlecze się jak ślimak, porusza stanowczo zbyt wolno. Przecież wielkie odłamki mogły w każdej chwili nadciągnąć za nimi i uderzyć w pojazd. Bezczyenne oczekiwanie na zderzenie było prawdziwym koszmarem.

Nic szczególnego jednak się nie działo.

W końcu mężczyźni popatrzyli na siebie zaskoczeni.

- Wybuch powinien już być nastąpić - stwierdził Kiro.

- I to dawno - mruknął Faron. - Czekam na ten wielki wstrząs co najmniej dobie.

- Ja także. Co się mogło stać? Czyżbyśmy źle obliczyli czas zetknięcia?

- Niemożliwe. Nie mogliśmy aż tak bardzo się pomylić.

Nic teraz nie przesłaniało Słońca, meteorów więc nie mogli już zobaczyć. Rój musiał się znaleźć gdzieś w jakimś miejscu za ich plecami, w ćwierć obiegu wokół Słońca, ale nic się nie zgadzało.

- Rzeczywiście niewiele z tego pojmuję - przyznał wreszcie Faron.

- Chcecie powiedzieć, że nie będzie żadnej katastrofy? - z niedowierzaniem spytała Berengaria.

- Na katastrofę już za późno - odparł Faron. - Jakoś się od niej wywinęliśmy, Bliźniacza Planeta także. Nie mam pojęcia, w jaki sposób. Bo przecież ten meteor kierował się bezpośrednio na planetę, niemożliwe, żeby w nią nie trafił.

- A może odgłos zderzenia nie dotarł tutaj?

- To niemożliwe, taki huk na pewno byśmy usłyszeli, i to jeszcze jak!

Berengaria przez chwilę siedziała w milczeniu.

- Właściwie stało się coś takiego, że miałoby się ochotę podziękować jakiemuś tajemniczemu bogu, ale mnie wydaje się to zbyt przesadzone, gdy pomyśli się o wszystkich tych ludziach, którzy w całym świecie giną w wypadkach. No, bo dlaczego akurat ja się uratowałam? Czyżbym była na tyle wyjątkowa, by ten bóg postanowił mnie oszczędzić, a na wszystkich innych nie zważał? Zadowolę się więc podziękowaniem Kirowi i jego pomocnikom, którzy tak świetnie sobie radzą z tą maszyną.

Akurat zbliżali się już do atmosfery ziemskiej i rakieta zaczęła niemożliwie trząść.

Berengaria dodała więc zaraz:

- Ale w zakręty mógłbyś wchodzić łagodniej, Kiro, to przecież istne praktyki spędzania płodu!

Ojej! Tego akurat nie powinna była chyba mówić.

Nikt jednak nie połączył jej słów z rzeczywistością, może z wyjątkiem Faron, lecz on tylko uśmiechnął się tajemniczo.

Właśnie wtedy jeden z Lemuryjczyków zorientował się, że mają towarzystwo.

- Gonią za nami jakieś wielkie psy! - zawołał. - A może to wilki?

Czym prędzej wyrzeli przez okna. Po obu stronach promu gnały czarne wilki, ziejąc czerwonymi jęzorami wystawionymi z pełnych piany gardzieli.

- Czy to jakaś wizja? - spytał ktoś.

- O, nie - odparła Berengaria, która dość dobrze znała kroniki Ludzi Lodu. Kiedyś Indra nieustannie ją nimi karmiła, a ona słuchała, nastawiając uszu i wybałuszając oczy. - Nie, nie, o ile się nie mylę, są to przyjaciele Marca!

Faron popatrzył na nią.

- Chcesz powiedzieć, że to czarni aniołowie? Naliczyli dwadzieścia zwierząt. Tyle samo, ile ukazało się w Górze Demonów.

- Czy to możliwe, by one potrafiły odmienić tor ruchu meteoru? - spytał Kiro. - Tak, by ominął planetę? Tak, by skręcił tuż przed nią?

- Prawdę powiedziawszy, jestem skłonny w to uwierzyć - powiedział Faron. -

Żadne inne wyjaśnienie nie istnieje.

Nagle wszyscy umilkli. W tym samym czasie, gdy wilki zniknęły, a na ich miejsce ukazali się czarni aniołowie, którzy oddalali się od statku leniwie uderzając skrzydłami, wszyscy jednocześnie otrzymali od nich wiadomość:

„To w podzięce za to, że ocaliliście pewien cały świat i tak bardzo poprawiliście inny! Wszak istoty tego świata są również naszymi istotami. Gdyby wymarli ludzie i zwierzęta, cóż by pozostało? Jedyne pustka, również dla nas”.

- Dziękujemy - odetchnął Faron z ulgą.

Wszyscy inni również wymruczeli dziękczynne słowa w nadziei, że czarni aniołowie ich usłyszą. „Usłyszeliśmy” - odparli aniołowie.

- Ale czy aniołowie nie powinni być biali? - spytał któryś z pasażerów z Bliźniaczej Planety.

- Nie wszyscy - uśmiechnął się Kiro. - Ci na przykład nie.

Siedzieli w milczeniu, oszołomieni tym, co przeżyli. A więc tak potężni byli czarni aniołowie, że samą tylko wolą potrafili sterować ciałami niebieskimi.

Ale też i było ich dwudziestu, by dokonać tego cudu.

Wciąż oszołomieni pasażerowie promu dotarli wreszcie do Ziemi i Kiro przeprowadził idealne lądowanie. Wszyscy westchnęli z ogromną radością.

- Wiecie co? - zawołała entuzjastycznie Berengaria. - Wydaje mi się, że zasłużyliśmy na szampana, żeby to uczcić. Nie mam racji?

Kiro roześmiał się.

- Przecież ty się nawet boisz otworzyć butelkę z szampanem.

- Mało która kobieta się tego nie boi - broniła się Berengaria. - To przez ten huk.

Chociaż Indra rozwiązała ten problem jeszcze w czasach, gdy mieszkała na powierzchni Ziemi. Doszła do wniosku, że z upartymi kapslami można sobie radzić za pomocą dziadka do orzechów, a następnym krokiem było otwieranie butelki szampana. Sama to wypróbowałam, rzeczywiście, udaje się bez trudu.

Trzeba przytrzymać jedną ręką, a drugą użyć dziadka do orzechów, korek wychodzi bez problemów i prawie bezszelestnie.

Mężczyźni się roześmiali. Ich zdaniem w szampanie najważniejszy był właśnie huk i piana.

Ale szampana i tak wypito.

Gdy wszyscy nowo przybyli zostali już rozmieszczeni na powierzchni Ziemi albo w Królestwie Światła w zależności od pragnień, stara Matka Ziemia mogła wreszcie odetchnąć w spokoju. Grupa Poszukiwaczy Przygód coraz bardziej się kurczyła, właściwie nie było już potrzeby, by istniała, lecz ich przyjaźń wciąż trwała. Cała rodzina Gabriela przeniosła się do Norwegii, gdzie Ram został ważną osobistością. Przeprowadziła się tam również częściowo rodzina czarnoksiężnika, wszystko bowiem było tam teraz równie piękne i spokojne jak w Królestwie

Światła. Tylko Móri razem z Tiril powrócił na Islandię.

Marco urzeczywistnił swoje pragnienia, by służyć ludności Ziemi swoimi zdolnościami. Gia poszła za nim, z czasem urodził im się syn i córka. Były to dzieci chyba najbardziej zawilej rasy, jaką można sobie wyobrazić, w żyłach Gii płynęła bowiem krew elfów, Lemuryjczyków, istot ziemi i ludzi, do tego zaś dołączyło dziedzictwo Marca: czarnych aniołów i Ludzi Lodu, u których nie należy zapominać o domieszce wschodniej krwi.

Nic więc dziwnego, że były to bardzo niezwykle dzieci, obdarzone doprawdy zdumiewającą urodą i mnóstwem niesamowitych zdolności.

Inni pozostali w Królestwie Światła, jak na przykład Faron i Berengaria. W wyniku bardzo skomplikowanego porodu przyszedł im na świat wspaniały syn, a Faron kochał chłopczyka ponad życie.

Sol urodziła córeczkę, żrenicę oka Kira, którą w tajemnicy uczyła szlachetnej sztuki czarowania. Ojcami zostali również Jaskari, Jori i Armas, zaś Strażnik Góry dumnym dziadkiem, który z otwartymi ramionami przyjął Lisę, wybraną syna. Dostał niegdyś niezłą nauczkę i teraz bardzo zaprzyjaźnił się z synową. Lisa z Armasem wybrali się razem do Czech, żeby sprawdzić, czy nie mogą się tam do czegoś przydać, lecz ponieważ wszystko było w jak najlepszym porządku, zamieszkali w Królestwie Światła.

Elenie i Miszy urodziła się zdrowa córka, a Goramowi i Lilji dwóch synów. Oko Nocy został ojcem całej gromadki pięknych Indianiątek, a Kata urodziła maleńką dziewczynkę w tym samym czasie, gdy jej matka Misa powiła syna. Madragom nie groziło więc już dłużej wyginięcie, a wszyscy ogromnie się z tego cieszyli. Mieszkańcy powierzchni Ziemi serdecznie przyjęli Obcych i Lemuryjczyków, z którymi łączyli się w pary, tak by powstawała nowa rasa. Najpiękniejszą i najbardziej udaną kombinacją było połączenie Lemuryjczyków z ciemnoskórymi ludźmi. Dzieci, które się rodziły z takich związków, obdarzone były niezwykłą urodą i inteligencją. Wielu Lemuryjczyków wróciło na tę drugą, pełną czarów planetę.

Dorastało nowe pokolenie w świecie pełnym pokoju, na Ziemi.

Ludzie radowali się życiem, lecz także czytali powieści kryminalne i oglądali horrory w telewizji, wymyślali również przerażające historie w internecie.

Bo chociaż te historie były jedynie zmyślone, to ludzie zawsze mieli pewien pociąg ku złu, makabrze, ku ciemności, nocy i śmierci. Spokój i szczęście to najwyższe dobro, lecz trochę nudno jest bez napięcia i tajemnicy, i bez łotrów, których można karać.

Wszyscy więc członkowie grupy Poszukiwaczy Przygód opowiadali dalej historie z czasów Ludzi Lodu i rodziny czarnoksiężnika na Ziemi i o wszystkich przeżyciach w Królestwie Światła, a dzieci słuchały, szeroko otwierając błyszczące oczy i żałując, że one nie będą mogły walczyć z potworami i złymi mocami, gdy dorosną. Problem bowiem polegał na tym, że niczego takiego już nie było.

Często miały o to pretensje do swoich rodziców.

Sz szczególnie bystrooka córeczka Sol.

Niniejszym ogłaszam, że to już koniec liczącej 82 tomy trylogii, opowiadającej o losach Ludzi Lodu i rodzinie czarnoksiężnika.

KONIEC OSTATECZNY!

KONIEC DEFINITYWNY!!

KONIEC NIEODWOŁALNY!!!

(Tak mi się przynajmniej wydaje.)

DRODZY POLSCY PRZYJACIELE!

Bardzo się cieszę, że spodobały się Wam moje powieści i że zdobyłam w Polsce liczną i jakże wierną grupę czytelników. Dwudziesty tom serii pt. „Saga o Królestwie Światła”, który trzymacie w ręku, jest ostatnią jej częścią. Ale ja wcale nie zamierzam spocząć na laurach. Spieszę donieść, że obecnie piszę nową serię powieściową, którą nazwałam „CZARNI JEŹDCY”. Ufam, że również i ona spotka się z ciepłym przyjęciem. Nowa seria nie ma wprawdzie wiele wspólnego z „Sagą o Czarnoksiężniku” czy „Sagą o Ludziach Lodu”, ale jak tamte pełna jest zagadek, mistyki i miłosnych uniesień. Jej akcja toczy się w burzliwych czasach inkwizycji w Norwegii, a także na terenie Hiszpanii. Nie byłabym sobą, gdybym zrezygnowała z wycieczek w świat zjawisk nadprzyrodzonych, jest on bowiem częścią mego życia.

Serdecznie Was pozdrawiam

Margit Sandemo